

# Katarzyna Godefroy



## Tango z koniem

Wrocław 2022

Projekt okładki i stron tytułowych  
**Leonard**

Redaktor i korektor  
**Ewa Oliwiecka-Ryszewska**

MEDUZA



Wydawnictwo

Copyright © by Katarzyna Godefroy, MEDUZA Wydawnictwo Wrocław 2022  
Wszystkie prawa zastrzeżone.

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana,  
ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana  
w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Autorki  
i wydawnictwa MEDUZA.

Wydanie I w języku polskim  
MEDUZA Wydawnictwo

e-mail: [meduzawydawnictwo@gmail.com](mailto:meduzawydawnictwo@gmail.com)  
blog: [www.kgodefroy.fr](http://www.kgodefroy.fr)

Wrocław 2022

Dla mojego męża Piotra,  
córek Asi, Gosi, Natalii,  
wnuczki Wiktorii, wnuka Eliota

## Prolog

*Saint-Nom-La-Bretèche, Francja, kwiecień 2017 r.*

Carla z niesmakiem przyglądała się scenie. Nieprzytomna Polka leżała na podłodze, a dookoła ustawili się wianuszek jeźdźców. Życie to nie pudełko czekoladek, to ring, najslabsi przegrywają, pomyślała patrząc na leżącą dziewczynę. Nokaut, wzruszyła ramionami. Nic tu po niej, niech czekają na pogotowie, a ona pójdzie na górę. Straciła ochotę na jazdę, zresztą nie miała z kim, wszyscy członkowie klubu „Pod złotą podkówną” stali pochyleni nad Zuzanną. Skoki w terenie muszą poczekać.

W klubie usiadła na jednym z foteli, żeby zastanowić się, co dalej. Najpierw myślała, że dojdą do porozumienia, ustalą warunki korzystne dla nich obu. Ale Zuzanna, idealistka, wierząca, że ważne są przyjaźń i dobro, nie chciała współpracować, a to niosło ze sobą niebezpieczeństwo. Dla Carli liczyła się kasa – nie smarujesz, zostajesz z niczym.

Miała nadzieję, że Jean-Lou przyjdzie do niej na górę. Wcielenie Clint Eastwooda w młodszej wersji. Wywierał na niej wrażenie spokoju i bezpieczeństwa, a seks stanowił miłą rozrywkę w twardej egzystencji. Nie wiedziała, czy oprócz pożądania żywi do niego coś jeszcze..., a może nie chciała się przyznać do swoich uczuć? Zamiast Jean-Lou do clubhouse’u wszedł Michael. Wysoki, patykowaty, o długich kończynach przypominał jej czerwonego pająka. Uśmiechnęła się pod nosem, ale on inaczej ją zrozumiał.

– Napijemy się kawy? – zaproponował, wpatrując się w nią z fascynacją.

Jęknęła w duchu, kawa z Michałem to ostatnia rzecz, na jaką miała ochotę. Ten zawsze skory do śmiechu Irlandczyk denerwował ją. Jedyne, na co było go stać, to głupkowate żarty. Czasami wybierała się z nim na jazdę po lesie, ponieważ świetnie znał ścieżki i rozmieszczenie przeszkód w terenie. Jako jeździec radził sobie bardzo dobrze, ale nic poza jeździectwem nie mogło ich łączyć.

– Sam się napij, mam coś do załatwienia – odburknęła, wstała i skierowała się ku drzwiom, zostawiając zaskoczonego Michaela samemu sobie.

Lubiła mężczyzn mocnych, władczych, potrafiących nawet siłą sięgnąć po to, czego pragnęła. Pomyślała o ojcu, który fascynował ją i przerażał jednocześnie. Chciała zerwać tę zatruwającą jej egzystencję więź. Wyszła na dwór i zamknąwszy oczy, wystawiła twarz do deszczu. Wsłuchiwała się w krople stukające o dach. Ojciec miał długie ręce i teraz też zdołał ją dopaść. Po raz ostatni, postanowiła. Otworzyła oczy i wytarła dłonią twarz. Pewnym krokiem doszła do forda ka. Mogła pozwolić sobie na czerwone ferrari, ale nie chciała przyciągać uwagi – im mniej osób o niej wie, tym lepiej.

Pojechała w kierunku Rambouillet, a przy Rocheford skręciła do lasu – drzewa otoczyły ją zielonym baldachimem, jednak spokój otoczenia nie harmonizował z jej nastrojem. Nie włączyła muzyki, aby dźwięki nie rozpraszały jej myśli. Czy zasłabnięcie Zuzanny wpłynie na podjęcie działań – czy ktoś zacznie wiązać fakty?

Asfalt przeszedł w ubity trakt. Gdy nie padało, droga była przejezdna, choć pełna dziur, natomiast po ulewach zamieniała się w grzęzawisko. Jej samochód, nie przystosowany do pokonywania przeszkód terenowych, skakał na wybojach. Przy kolejnym wstrząsie pomyślała, że to już nie potrwa długo, załatwi sprawę do końca i wyjedzie stąd. Podjechała pod dom i spojrzała we wsteczne lusterko – nikogo nie zobaczyła.

Automatycznym pilotem otworzyła bramę, która z chrzęstem przesunęła się po metalowych szynach. Wjechała na podjazd.

Dom z szarego kamienia harmonijnie wkomponowany w otaczającą zielen – krzaki azalii wypuszczały pączki gotowe na przywitanie wiosny – wyglądał jak forteca. Grube kraty chroniły okna zasłonięte żaluzjami, wejścia broniły masywne, drewniane drzwi. Weszła do przedpokoju, klucze położyła na szafce, po zaciągnięciu zasuwki włączyła alarm. Nie chciała niczego zostawiać przypadkowi – uważała, że licho nie śpi.

Mieszkanie – urządzone funkcjonalnie i praktycznie, bez zbędnych mebli czy bibelotów – jak wszystkie mieszkania do wynajęcia, pozbawione było duszy. Nic nie nadawało charakteru temu miejscu. Carli to odpowiadało. Od chwili wyjazdu z Włoch zmieniała miejsca pobytu wielokrotnie, nie chciała się do niczego przyzwyczajać.

W salonie włożyła płytę do odtwarzacza i po chwili pokój wypełniły dźwięki jej ulubionego argentyńskiego tanga „Paciencia” Juana D'Arienzo. Zrzuciła z nóg buty i tanecznym krokiem przeszła do łazienki.

Myjąc ręce, spojrzała w lustro, jej twarz nie należała do niej. Zmieniona broda, policzki, kształt i kolor oczu, pełniejsze usta. Wzrok zjechał niżej, spojrzała na powiększone piersi. Uśmiechnęła się do siebie, pieniądze ojca przydały się na coś. Zastanawiała się, czy ojciec wie, jak teraz wygląda, a nie powinien, chyba że puścił za nią „psy”. Poczowała rozchodzące się po ciele gorąco.

Weszła do kuchni. Z kartonowego pudełka wyciągnęła kawałek pizzy do podgrzania w mikrofalówce, a z lodówki butelkę schłodzonego piwa. Oparła butelkę o policzek. Dotyk zimnego szkła sprawił jej przyjemność. Przez kilka sekund delektowała się wrażeniami zmysłowymi.

Nagle znieruchomiała, z zewnątrz doszły do niej szelesty i drapanie. Wyuczonym ruchem wyciągnęła zza paska spodni podłużny przedmiot, kciukiem wymacała niewielkie zgrubienie, nacisnęła. Z rękojeści wyskoczyło ostrze.

Wejście kuchenne można było otworzyć tylko od środka. Muzyka zagłuszała jej kroki, gdy skradała się do drzwi. Otworzyła mocnym szarpnięciem. W kącie przy murze siedział wystraszony kot.

## Rozdział 1

*Wrocław, sierpień 2017 r.*

...Wszystko już było, nikt nie wymyślił nic nowego.

Przerwałam pisanie i zatrzymałam się przy znaku kropki. Jeżeli w ten sposób będzie brzmiał cały artykuł, to popełnię zawodowe samobójstwo. Już mogę położyć się w trumnie i przy-sypać wieko płatkami róż. Prezes Wydajny wykopie mnie za drzwi, nie zważając na własne zapewnienia, że jesteśmy jedną wielką rodziną. Moja praca polegała na wmawianiu ludziom złudzenia, że wszystko jeszcze przed nimi, kilometry nieodkrytych kontynentów, lata świetlne przestrzeni kosmicznych, tylko sięgnąć ręką.

Przygotowywałam pismo zachęcające pisarzy do kontaktu z naszym wydawnictwem. Chciałam przedstawić korzyści płynące ze współpracy z firmą istniejącą od lat na rynku i mogącą pochwalić się wypuszczeniem takich tytułów, jak *Lśnienie ostrza*, *Trup w szafie*, *Zabił ją i uciekł* – znanej autorki kryminałów Agaty Chrzęszcz.

...Współpracujemy ze znanymi i wybitnymi autorami!

Eeee, nieee. Skrzywiłam się i zaczęłam obgryzać długopis z różowym puszką. Różowy to mój ulubiony kolor, ale do pracy ubieram się na czarno. Mała czarna ze sznurem pereł do pasa, włosy ścięte na chłopczycę z lat dwudziestych, oczywiście czarne jak smoła i kapelusz z piórem pawia. Nie, pióro sobie odpuszczę. Do tego czółenka z klamerkami, na niewielkim obcasie. To się nazywa podążać za duchem czasu. Nie to, co Jolanta Smutny z obcasami na dziesięć centymetrów. Ciekawe, kiedy zrobi dziury w podłodze swoimi szpilkami. Popatrzyłam na smog za oknem i zamarzyłam o lawendowych polach, wśród których można oddychać czystym, cudownie pachnącym powietrzem.

Wszystko już było... Mały krok dla człowieka, wielki krok dla ludzkości – Neil Armstrong w stanie hipnozy wylądował na Księżycu, a pobyt na srebrnym globie tylko mu się przyśnił.

Sny o potędze...

Ale oni w żadnym wypadku nie mogą się o tym dowiedzieć! Niech myślą, że wszystko przed nimi. Miliony lat malowania na skalach i wykuwania słów w kamieniu. Niech sobie stawiają pierwsze kroki, jak Armstrong, na nowo odkrytych księżycach i wbijają flagę: Tutaj byłem. Albo byłam.

Ułuda, senna mara.

Jest tylko tu i teraz.

Drapałam się po nosie, gdy weszła sekretarka, pani Gienia. Zastanawiałam się, jak na nią wołali, kiedy była młodsza. Zarówno ona, jak i jej trzy siostry mają imiona pasujące tylko do starszych pań: Alfonsa, Zenobia, Gryzelda, brrrr.

Siwe włosy zaczesane w perfekcyjny kok, ubrana w białą bluzkę z żabotem i granatową garsonkę – wcielenie sekretarki idealnej. Efekt psuły wełniane kapcie. Widocznie w pracy czuła się jak w domu.

- Prezes panią prosi.
- Prezes panią prosi – powtórzyła, gdy nie zareagowałam.
- Nie wie pani, w jakiej sprawie? – Zapytałam podchwytliwie.
- Nie wiem. – Sekretarka była nieugięta.
- Pani Gieniu, pani wszystko wie – starałam się podliznąć.
- Nie wiem, jestem sekretarką, a nie informacją kolejową.

Akurat o pociąg nie pytałam, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego głośno.

– Nie wiem, czego się spodziewać – mruknęłam pod nosem.

– Tego, co zawsze. – Pani Gienia wzruszyła ramionami.

Szurając butami o wyczyszczony cytrynowym płynem Mr. Proper kafelki, opuściłam moją mlecznobiałą przestrzeń. Nasze biura nie miały drzwi. Prezes nie uznawał podziałów i promował swobodny przepływ myśli.

„Jedna wielka rodzina” – ulubiony slogan szefa.

Weszłam do osobistej przestrzeni prezesa.

– Pani Kingo! – Zawołał radośnie na mój widok.

Nie spodobało mi się to, czułam podstęp.

– Tak, panie prezesie, o czym chciał pan ze mną rozmawiać?

– Pani Kingo, pani taka oficjalna, a my tu przecież jak jedna wielka rodzina. Proszę mi mówić po imieniu.

– Eee, panie Tadeuszu... – zaczęłam.

– Na czym stoimy? – Pan Tadeusz wszedł mi w słowo, patrząc wzorkiem plującej kobry. Wiedziałam, że coś ukrywa pod warstwą słodkich, figowych słówek. Nawiasem mówiąc to Kleopatra kazała sobie wnieść kobrę ukrytą w koszu z figami.

– Na podłodze? – Spytałam nieśmiało.

– Proszę mnie nie rozpraszać! – ton głosu prezesa podniósł się o oktawę. – Gdzie są autorzy? Gdzie są książki? Najlepiej, gdyby to było *Pięćdziesiąt twarzy Greya* – rozmarzył się.

*O, tempora, o mores!*<sup>1</sup> przeleciało mi przez myśl.

– Jeżeli w grudniu nie wydamy bestsellera, możemy włożyć klucz pod słomiankę.

Skrzywiłam się nieznacznie, co nie umknęło orlim oczom szefa.

– Proszę się tu nie krzywić! Ma pani coś lepszego do zaproponowania?

– Nową autorkę, świeżą krew, jak lubi pan mówić. – Głos mi zadrżał, odchrząknęłam.

– Jak ona się nazywa? Ta autorka – niecierpliwił się pan Tadeusz.

– Zuzanna Kosińska.

– I gdzie jest? Znaczy się, z pisaniem.

---

<sup>1</sup> *O, tempora, o mores!* – O czasy! O obyczaje! (przewrotne; Wyrzaz zgrozy), aut. Cícero *In Catilinam I, 1*.



W lesie – pomyślałam, ale zachowałam to dla siebie. Szef z groźnie zmarszczonymi brwiami przypominał puchacza wpatrującego się w ofiarę. Nie chciałam zdenerwować go bardziej, mówiąc prawdę, że nasza autorka ma obecnie depresję i kontakt z nią jest utrudniony. Krucha psychika rozsypała się pod wpływem bolesnych okoliczności: choroba ukochanej ciotki, utrata konia. Wydarzenia te tak bardzo wstrząsnęły Zuzanną, że odizolowała się od świata i nie przyjmuje wizyt. Nie jest w stanie skoncentrować się na pisaniu autobiograficznej powieści, w której porusza trudne problemy. Obecnie znajduje się pod wpływem leków antydepresyjnych i jest pod kontrolą lekarza. Wszystkie spotkania z osobami mogącymi wytrącić ją z równowagi – czyli ze mną między innymi – są skazane na niepowodzenie. Rozmowy o książce powodują ogromne emocje, a rozpamiętywanie ciężkich przeżyć doprowadza Zuzannę do utraty zainteresowania cokolwiek i wywołuje uczucie smutku, którego trudno się pozbyć. Na koniec ogarnia ją tak wielkie zmęczenie, że jedynie śpi.

Nie mogę tego wytłumaczyć szefowi, ponieważ jego nadzieje wiążą się z nową powieścią – chciałby zainwestować w bestseller, zarobić na sprzedaży i zyskać sławę. No cóż, wszyscy jesteśmy tylko ludźmi. Westchnęłam.

– I co pani tak wzdycha? Musimy mieć coś na już, inaczej rozdziobią nas kruki i wrony – powiedział melancholijnie. Podeszedł do metalowej szafki oznaczonej literami alfabetu, wyciągnął szufladę z literą K, szybko przejrzał zawartość i wyciągnął cienką teczkę zamykaną gumką: Zuzanna Kosińska. Zajrzał do środka.

– Tu nic nie ma!

Wzburzony zamachał teczką przed moim nosem.

– Ale będzie – zapewniłam skwapliwie, kiwając głową jak plastikowy piesek przy tylnej szybie samochodu.

– Co ma pani zamiar z tym zrobić? – zamruczał groźnie.

Nadzieja umiera ostatnia, myślałam – patrząc pustym wzrokiem na zieloną teczkę.

– Pójdę do autorki z wizytą. To niedaleko, na Czystej. Zabiorę maszynopis i przejrzymy go z panią Basią.

– Pani to by tylko gdzieś chodziła. – Odgłosy niezadowolenia szefa stały się cichsze jak oddalająca się burza. – Pani Gieniu! – Zawołał do otworu w ścianie. – Ma pani ziółka? Wątroba mi dokucza. – Spojrzał na mnie oskarżycielsko. – Widzi pani, ile zdrowia kosztuje mnie rozmowa z panią.

– Na już możemy wznowić serię Nocnego.

– Nocny? Nie znam.

– Marek Nocny, pisze pod pseudonimami, bo uważa, że dzięki temu lepiej się sprzedaje. Wydał u nas cykl powieści pod wspólnym tytułem *Krwiopijcy* – o wampirach pracujących w banku. Dosyć zabawny zresztą.

– Mordowanie ludzi uważa pani za zabawne? – łypnął na mnie okiem.

– Fakt, że od czasu, gdy pracuję w wydawnictwie, zmieniłam spojrzenie na wiele spraw.

– Od jak dawna jest pani u mnie zatrudniona? – spytał, zasiadając w fotelu.

– Od dwóch lat.

– Proszę usiąść. – Machnął ręką w nieokreślonym kierunku. Pod oknem królowało biurko z obrotowym fotelem, na którym spoczywała dostojna postać prezesa. Po przeciwnej stronie dziwacznie powyginane krzesła przywodziły na myśl narzędzia tortur. W kącie ustawiono dwa klubowe fotele i szklany stolik do kawy. Resztę miejsca zajmowały szafki na dokumenty. Usiadłam na skraju krzesła, obawiając się, że z oparcie wysuną się obręcze, unieruchamiając mnie na amen.

– Tylko zmieniłabym okładkę. Ostatnia była w ponurych barwach: szare tło, czarna trumna z wystającą białą ręką. Dałabym coś jaśniejszego – wyjaśniałam, patrząc w skupieniu ponad łusą głowę prezesa – cmentarz na przykład.

– Cmentarz jest jaśniejszy? – zdziwił się pan Tadeusz. – A poza tym mówiła pani, że akcja toczy się w banku. Wampiry wybudowały bank na cmentarzu.

Recht zadowolonego z żartu prezesa słyszeli wszyscy pracownicy, otwarta przestrzeń miała ułatwiać krążenie niczym nieograniczonej weny, brak barier zapewniał swobodny przepływ informacji. Dzięki temu każdy wiedział wszystko na każdy temat.

– A to się pośmiałem – skomentował prezes, wycierając oczy chusteczką w kratę.

– Paryż został zbudowany na cmentarzu. Wiedział pan?

– Zaraz zacznie pani opowiadać horrory i całkiem stracę apetyt. Do rzeczy, pani Kingo, co ma pani dla mnie spod lady? Koniecznie musimy wypuścić hit na rynek, bo w mediach wieje chłodem na nasz temat. Długo nie pociągniemy.

– Mam pierwszy rozdział! – Zawołałam radośnie.

Prezes spoglądał na mnie zażawionymi oczami buldoga.

– Pani Gieniu, – jęknął – ma pani ziółka na wątrobę?

Sekretarka pojawiła się niemal natychmiast.

– Mam tylko miętę, ale pójde do apteki, to blisko.

– To ja skoczę – zaproponowałam żwawo. – Pani Gienia w kapciach nie pójdzie.

Nie czekając na odpowiedź, pobiegłam do mojej części biura po torebkę, a następnie do windy. Na szczęście nie czekałam długo, bo szef mógłby się rozmyślić i wezwać na dywanik. Dziwne określenie, w biurach rzadko widywałam dywany. Stukając obcasami w grysową posadzkę, doszłam do wyjścia. Obrotowe drzwi wypłuły mnie na zewnątrz. Powietrze wibrowało nad nagrzanymi słońcem ulicami, obok mnie przechodzili ludzie w przeciwsłonecznych okularach, podobni do ogromnych much. Podążyłam za nimi jak owca za stadem, przyglądając się mijanym wystawom. Przy sklepie Zara zatrzymałam się na chwilę, podziwiając nową kolekcję. Pomyślałam, że przydałby mi się czarny płaszcz na zimę. Co prawda ostatnie dni sierpnia przyniosły nieco słońca, ale chłodne dni mogły nadejść lada chwila. Przeglądając się w szybie, założyłam włosy za ucho, pozwalając promieniom słońca puszczać zajączki diamentowymi kolczykami odziedziczonymi po babci. Wspomnienie o niej spadło na mnie z ogromną siłą.

Wysoka, bardzo szczupła, brunetka, biała i różowa – figuynka z saskiej porcelany wyjęta z *Damy Kameliowej*. Kobieta lubiąca mężczyzn i wystawny tryb życia, ale marząca o miłości. Miłości burzliwej, namiętnej, takiej jak w *Wichrowych wzgórzach* albo *Madison County*.

Żyła złudzeniami, mężczyźni kupowali jej ciało, jak kupuje się paczkę cygar, ale ona się nie skarżyła. Jako dziecko nie rozumiałam zawilości jej egzystencji, nie widziałam nic nadzwyczajnego w fakcie, że w jej domu zawsze kręciły się panie.

W każdy niedzielny poranek przychodziły do kuchni zaparzyć kawę, ubrane w lekkie peniuarki, z papierosami w długich lufkach przyklejonymi do umalowanych na czerwono ust. Nazywałam je ciociami. Podrosłam i zrozumiałam, jaki rodzaj praktyk prowadziła, a gdy zadawałam babci pytania o to, jak godziła rzeczywistość z marzeniami, uśmiechała się lekko i mówiła: „Lepiej ci poczytam”. Balzaka, Zolę, Dumasa czytała w oryginale, jej miękki głos unosił się i opadał w rytm słów łączących się w zdania i akapity. Muzyka opowieści i tajemniczy język często przenosiły mnie w nierealny świat, i tak kołysana historiami o życiu w dziewiętnastowiecznej Francji zasypiałam. Opowieści wpłatały się w marzenia senne i utrwały w postaci wspomnień, aż sama nie wiedziałam, gdzie kończyła się fikcja a gdzie zaczynała rzeczywistość.

Odeszłam od wystawy Zary. Kilka kroków dalej obejrzałam nowe pozycje wydawnicze za szybą Empiku, przyjrzałam się krzykliwym okładkom, oceniłam zainteresowanie czytelników tematyką powieści, zanotowałam kilka złotych myśli w notesie i oddałam się rozmyśleniom o płaszczu. O eleganckiej czerni podkreślającej moją bladą cerę, którą złośliwi nazywają trupią. Każdy chciałby mieć porcelanową karnację, myślałam – wchodząc do apteki.

– Dzień dobry, czy dostanę coś na wątrobę?

Farmaceutka z zawodowym uśmiechem na nienagannie umalowanej twarzy spojrzała na mnie bez specjalnego zainteresowania. Przeglądała katalog z zagranicznymi wycieczkami.

Z mojego miejsca zza okienka widziałam pióropusze palm na tle niebieskiego nieba i szmaragdową toń morza liżącego biały piasek...

– Owszem, mamy – powiedziała w zamyśleniu. – Dzisiaj jest specjalna promocja na produkty na porost włosów, do dwóch opakowań, trzecie gratis.

Kobieta ożywiła się, proponując mi zakup.

– Ale ja chciałam...

– Tylko dzisiaj – kusila.

– To poproszę.

Przyglądałam się, jak z rozmarzonym uśmiechem wkłada trzy opakowania do papierowej torby. Możliwe, że pomogłam jej wyjechać do egzotycznych krajów.

## Rozdział 2

Drzwi zamknęły się samoczynnie, gdy weszła z ulicy do holu, przesiąkniętego zapachem moczu. Wejście od strony podwórka, stale otwarte, pozwalało okolicznym pijakom na załatwianie potrzeb fizjologicznych w zaciszu czterech ścian. Największą zaletą małego mieszkania wynajmowanego na trzecim piętrze kamienicy, był niski czynsz. Życie z jednej pensji nie pozwalało na wyrzucanie pieniędzy.

Zuzanna, zmarznięta po spacerze ulicami miasta, marzyła, aby jak najszybciej znaleźć się w mieszkaniu. Wchodząc po skrzypiących schodach, spoglądała przez zakurzone okna na podwórze, o tej porze roku opustoszałe i ciche. Późna jesień odstraszała mieszkańców

zimnym deszczem i przymrozkami. Inaczej wyglądało to latem – przez szyby przenikał krzyk dzieci grających w gumę lub klasy. Kobiety przeganiały je z trzepaków, aby odświeżyć dywany, a gdy kończyły, dzieciaki, jak wróble, wracały do akrobatycznych wyczynów.

Właśnie na tym podwórku Zuzanna

i Julia spędziły dzieciństwo.

Zamyślona omal nie zderzyła się ze schodzącą kobietą.

– O, Zuzia, witaj.

Zuzanna nie lubiła tego zdrobnienia, kojarzyło się z piosenką Natalii Kukulskiej „Zuzia, lalka nieduża, a na dodatek cała ze szmatek”. Czy Zuzia może być atrakcyjna i seksowna?

Wołała Zuza, ale pani Nowakowa nazywała ją tak specjalnie, na złość.

– Dzień dobry, pani Nowakowa – odpowiedziała zaskoczona Zuzanna.

Szukała sposobu na uniknięcie rozmowy, jednak Nowakowa zagroziła przejście między ścianą a barierką swoją potężną sylwetką, w woniejącym naftaliną płaszczu z norek. Starsza kobieta wzbudzała w niej lęk – tym bardziej teraz, gdy uśmiechała się do niej drapieżnie.

– Wracasz z miasta?

Zuzanna zastanowiła się, czy pod tym niewinnym pytaniem kryje się niebezpieczeństwo. Wymijająca odpowiedź nie wchodziła w grę. Pani Nowakowa, jeżeli nie dostała wyczerpujących informacji, rozsiewała wymyślone przez siebie plotki.

– Tak, poszłam do pośredniaka.

– Pracy szukasz. – To było raczej stwierdzenie niż pytanie. – Kobieta powinna mieć konkretny zawód. – Nowakowa nie dała Zuzannie dojść do głosu. – Krawcowa na przykład, to jest zawód dla kobiety. Ja moje córki do zawodówek posłałam i teraz mi za to dziękują. Pracę mają, mężów, dzieci. Na wakacje nad morze jeżdżą. A ty co? Ani pracy, ani męża, ani dzieci. To po co ci te studia były?

A ten niby kolega to przychodzi do ciebie? Dawno go nie widziałam.

– Do Stanów wyjechał... – Zuzanna próbowała ukryć zmieszanie.

– Listonosz coś listów nie przynosi – sąsiadka złośliwie zmrużyła oczy.

– Pani Nowakowa, mam jeszcze coś do załatwienia. Do widzenia.

Zuza precyzyjnie się między sąsiadką a barierką. Weszła na drugie piętro. Wkładając klucz do zamka, słyszała jeszcze gderanie tej wścibskiej kobiety. Zamek

zazgrzytał i drzwi stanęły otworem. Z ulgą weszła do kawalerki, gdzie panowało przyjemne ciepło, a w powietrzu unosił się zapach kawy. Wyglądało na to, że wszyscy byli w domu.

Zdjęła buty, a nogi wsunęła w ciepłe kapcie. Płaszcz powiesiła we wnękowej szafie w korytarzu. Niewielką przestrzeń zajmowała szafka na buty, a na niej podstawka od telefonu i czarna torebka mamy. Nad szafką wisiało lustro w ozdobnej, metalowej ramie, oświetlone z dwóch stron małymi lampkami, których żarówki przypominały płomienie świec. Z jednej strony korytarza znajdowało się wejście do kuchni, a z drugiej – drzwi prowadzące do jedyne go pokoju, podzielonego przesuwaną ścianą na dwie części. Na końcu korytarza było pomieszczenie z kabiną prysznicową i toaletą. Weszła do łazienki umyć ręce i przyjrzała się sobie w lustrze. Ciemne krótkie włosy okalały pociągłą twarz z dużymi, prawie czarnymi oczami.

Za ładnie wyciętymi ustami ukrywały się równe i białe zęby. Należała do tej grupy kobiet, które nigdy nie znajdują się na okładkach magazynów, ale promienieją wewnętrznym pięknem. Jedynie ona sama nie była tego świadoma. Wychodząc z łazienki zawołała:

– Hej, to ja. Nie uwierzycie, kogo spotkałam na schodach... panią Nowakową.

Z kuchni wyszła Julia z kubkiem parującego napoju w rękę. Wyższa i szczuplejsza od siostry, włosy związywała w koński ogon, z którego wymykały się niesforne kosmyki. Miały taki sam kolor włosów i oczu, poza tym różniły się pod każdym względem. Julia żywa i pełna energii nie potrafiła ustać w miejscu, jedynie gdy malowała, poświęcała się całkowicie pracy. Była o cztery lata młodsza, studiowała na Akademii Sztuk Pięknych.

– Hej, nie zazdrozczę. Następnym razem, gdy ją spotkasz, krzycz, że się pali, może ktoś wyjdzie ci na ratunek. Chcesz kawy?

– Chętnie. Dlaczego na zewnątrz jest tak zimno? – Zapytała, naciągając rękawy na zmarznięte dłonie.

– Tobie zawsze jest zimno – oświadczyła Julia, wchodząc do kuchni. Przeszła przez pomieszczenie i stanęła między blatem a oknem. Biała firanka zawieszona w połowie chroniła przed wścibskimi spojrzeniami, ale pozwalała na spoglądanie w niebo, po którym wiatr przeganiał chmury. Julia postawiła kubek między niebieskimi doniczkami z fiołkami alpejskimi.

– Też prawda. Nie mogłabym mieszkać na Alasce.

Zuzanna weszła do kuchni za siostrą.

– Na Alasce może nie, ale we Francji, na przykład? – Julia uśmiechnęła się tajemniczo.

– Dlaczego we Francji?

– Zapomniałam ci powiedzieć, przyszedł list od Józefiny. Leży w przedpokoju – wtrąciła mama.

### Rozdział 3

W drodze powrotnej do wydawnictwa postanowiłam złożyć wizytę Zuzannie Kosińskiej, która mieszkała niedaleko fosy. Z nadzieją, że zastanę ją w domu, nacisnęłam przycisk dzwonka. W domofonie rozległy się trzaski i kobiecy głos zapytał:

– Tak?

– Ja do pani Zuzanny Kosińskiej.

Usłyszałam brzęczenie i zamek odskoczył. Weszłam do bramy i ogarnęło mnie uczucie, że już tu kiedyś byłam.

Stałam przed drzwiami mieszkania oznaczonego cyfrą siedem i zapukałam. Zazgrzytał zamek. Julia, siostra Zuzanny, spoglądała na mnie z ciekawością, jej koński ogon bujał koło twarzy. W powietrzu unosił się zapach kawy.

– Pani Alias?

No tak, tego nazwiska nie można zapomnieć. Ani mojej twarzy, którą widziała raz, gdy przyszła z Zuzanną do wydawnictwa. Jeszcze w czasie, gdy pracowałyśmy nad pierwszą powieścią Zuzanny *Wojenny quickstep*.

– Chciałabym zobaczyć się z pani siostrą.

– Ale...

Przysunęłam się bliżej i ściszyłam głos.

– Nowakowa może nas usłyszeć.

Odsunęła się, aby zrobić przejście, a ja natychmiast poczułam się, jakbym znała to miejsce od dawna. Szafka, lustro, nawet lampki były dokładnie takie, jak opisywała Zuzanna.

Czułam się jak bohaterka powieści *Pani Bovary* Flauberta. Żyję z książek, a one odegrały wielką rolę w życiu Emmy.

– Napije się pani kawy? – zaproponowała Julia.

– Z przyjemnością.

Nie byłam dependentem u notariusza i nie miałam zamiaru nikogo uwodzić, ale potrzebowałam czasu, aby wydobyć maszynopis i ze spokojnym sumieniem wrócić do biura. Julia wprowadziła mnie do kuchni. Usiadłam na krześle i rozejrzałam się dookoła – kuchnia wyglądała dokładnie tak, jak w powieści.

– Przyszłam porozmawiać z pani siostrą – zaczęłam, gdy postawiła przede mną kubek parującej kawy i talerzyk z piernikiem. – Pisana przez nią powieść bardzo interesuje wydawnictwo, dlatego przyszłam zapytać, czy mogłaby kontynuować pisanie. Jej powieść interesuje przede wszystkim mnie, wciągnęłam się i chciałabym znać ciąg dalszy – myślałam, patrząc w ciemne oczy rozmówczynie. Widocznie moje spojrzenie wyrażało szczerość i przekonanie o prawdziwym zainteresowaniu dziełem, gdyż Julia powiedziała:

– Powiem jej, aby do nas zajrzała.

Gdy wyszła z kuchni, sięgnęłam do torebki po telefon, by sprawdzić wiadomości. Może ktoś w biurze niepokoił się moją nieobecnością? Na ekranie wyświetliło się jedno nieodebrane połączenie, ale numer był mi całkowicie obcy.

Gdy ugryzłam kęs piernika poczułam smak dzieciństwa. Pulchne ciasto rozpływało się w ustach, a ja przeniosłam się wspomnieniami do starej parterowej willi babci w lesie. Gdy jako mała dziewczynka przyjeżdżałam do babci mieszkającej koło parku Szczytnickiego, wszystko dookoła wydawało się większe niż w rzeczywistości. Babcia Kasia była specjalistką od pierników. W niedzielę, w dniu wyznaczonym przez sędziego rodzinnego jako dzień odwiedzin, mogłam opuścić ośrodek opieki na ulicy Borowskiej, i trzymając babcię za rękę jechać w stronę ZOO. Przez okna tramwaju oglądałam pasące się zwierzęta, rozpoznawałam wielbłądy, znałam je z obrazków, inne były mi całkowicie nieznane. Wielkie, włochate stworzenia z rogami. Fascynowały mnie i przerażały. Wyobrażałam sobie, że tratują ogrodzenie i uciekają z ZOO, siejąc postrach na ulicach Wrocławia. Opowiadałam o tym babci, a ona się śmiała i mówiła, że mam bujną wyobraźnię. Szliśmy przez park, rozmawiając o tym, jak minął mi tydzień w szkole, o koleżankach, a szczególnie o Eli, z którą wymieniliśmy się bransoletkami przyjaźni. Ela miała długie rude warkocze, przypominała Anię z Zielonego Wzgórza; może dlatego byłam taka dumna, że wybrała mnie na przyjaciółkę.

W domu zakładałyśmy z babcią fartuszki, wyciągałyśmy cukier, mąkę, jajka, ja ucierałam ciasto, wylizując resztki z żółtej miski. Z brunatnej masy pachnącej przyprawami



do pierników, spod zwinnych palców babci, wyskakiwały zające, miśki, koty o migdałowych oczach. Powstawały lukrowane domy i serca z różanym środkiem. Nie mogłam się doczekać, kiedy te cudenka będą gotowe do wyjęcia z pieca, niecierpliwie pytałam co kilka minut: „Czy to już, babciu?”. Babcia pokazywała kuchenny zegar i tłumaczyła, że kiedy duża wskazówka będzie na tej cyfrze, a mała na tej, to będzie już. Jak zahipnotyzowana patrzyłam na zegar, wydawało mi się, że czas stanął w miejscu i wskazówki nie ruszają się wcale.

Po udrękach czekania, gdy upieczone pierniki mogły wreszcie opuścić piec, babcia przygotowywała kubek kakao dla mnie, filiżankę arabiki dla siebie i delectowałam się ciastkami.

Po południu ja kolorowałam, a babcia – obserwowałam ją znad książeczki z obrazkami – siadała ze szklanką bursztynowego płynu w fotelu, długie nogi przerzucała przez poręcz i patrzyła w kryształ, jakby chciała wyczytać przyszłość.

Wejście Julii wyrwało mnie z zamyślenia.

– Zuza zaraz przyjdzie, tylko się ubierze.

Podeszła do kredensu, ukroiła kawałek piernika, przez chwilę jadłyśmy w milczeniu. Do kuchni cicho wsunęła się Zuzanna, blada, o oczach otoczonych ciemnymi obwódkami i sinych ustach, ubrana w granatowy dres, wzbudzała litość.

– Słucham?

Z trudem przełknęłam ciasto.

– Czy mogłaby pani przekazać mi maszynopis? – Zapytałam łagodnie.

Przyglądała się rozpalonymi jak od gorączki oczami, językiem zwilżyła wargi.

– Mam tylko trzy rozdziały – wyszeptała, opadając na krzesło.

– Chcesz ciasta? – Julia patrzyła na Zuzannę z troską w oczach.

– Wody, poproszę – szepnęła, po czym wypila duszkiem wodę podaną przez Julię.

– Przynies skoroszyt z mojej szafki, bardzo cię proszę.

– Czasami myślę, że to zły sen, obudzę się rano i będzie jak dawniej – powiedziała Zuzanna po wyjściu siostry. – Ciocia jest w szpitalu, a Eklerek...

nie wiem... – Głos się jej załamał.

– Ktoś się chyba zajmuje pani ciocią? – Spytałam zaniepokojona.

– Tak, brat mamy mieszka teraz we Francji. Jest lekarzem, wziął krótki urlop.

– Konia może pani odszukać, zgłosić na policję. – Wierciłam się na krześle, nie wiedząc co powiedzieć dalej. Zuzanna uśmiechnęła się blado.

– Carla tak to zorganizowała, że policja nie weźmie sprawy. Eklerek został sprzedany legalnie.

– Carla? – Nie mogłam sobie przypomnieć tego imienia.

– No tak, pani jej nie zna, piszę o niej dopiero w trzecim rozdziale.

Zaczął mi kielkować w głowie pewien pomysł, ale nie byłam pewna na sto procent, jak go wprowadzić w życie, dlatego nic nie powiedziałam.

– Trochę to trwało, ale znalazłam. Na twojej szafce leży sterta książek. – Julia podała mi czerwony skoroszyt.

– Podejrzewa pani Carłę o udział w zniknięciu konia?

Pojawiła się w klubie i niedługo potem właściciel Eklerka postanowił go sprzedać i nikt nie chciał mi powiedzieć, co się z nim stało. Zresztą przeczyta pani o tym. – Westchnęła ciężko Zuza. – I oprócz tego ciocia dostała wylewu.

Siła złego na jednego – pomyślałam i przytuliłam czerwony plastik do piersi.

– Przeczytam i zadzwonię do pani. Mam pewną myśl, ale muszę ją sprecyzować.

Dopiłam kawę, podniosłam się z krzesła i dodałam:

– Niech pani dba o siebie, nie jest jeszcze za późno na odnalezienie konia.

W oczach Zuzanny pojawiła się iskierka nadziei.

– Myśli pani? – Spytała, ściskając moją rękę.

– Sprawdzę kilka detali. Zadzwonię.

Sięgnęłam po torebkę i udałam się do wyjścia, Julia deptała mi po piętach.

– Jeżeli robi jej pani złudną nadzieję, to wpadnie w jeszcze gorszy stan – syknęła, otwierając drzwi.

– Myślenie, „co by było gdyby”, jej nie pomoże. Trzeba działać, jedynie w taki sposób wyjdzie z depresji.

– I co pani proponuje?

– Zadzwonię – powiedziałam, schodząc ze schodów.

Na ulicy zaczęłam się zastanawiać, czy przypadkiem nie oszalałam.

Nie miałam pojęcia o sytuacji, a już doszłam do przekonania, że konia można odzyskać. Przynajmniej spróbować – myślałam, zakładając przeciwsłoneczne okulary. Skręciłam przy fosie, przecięłam park koło Wrocławskiego Teatru Lalek i nie zbaczając z drogi,

dotarłam do firmy. Siedziba wydawnictwa mieści się na czwartym piętrze starej kamienicy, a w piwnicy jest dyskoteka. Gdy zostaję dłużej, żeby zredagować wiadomości o naszej ofercie dla autorów, z którymi współpracujemy, słyszę dudnienie basów. Na początku muzyka mnie irytowała. Nie potrafiłam się skupić, taneczne rytmy disco pozbawiały zdolności logicznego myślenia, słowa rozsypywały się jak źle złożona układanka. Gdyby to był walc, to co innego, ale „łup, łup, buc” doprowadzało mnie do szewskiej pasji. W aptece nabyłam zatyczki do uszu i teraz mam spokój, czuję tylko drżenie ścian.

Obrotowe drzwi wessały mnie do środka, wpychając w objęcia portiera, pana Józefa.

– Witam, pani Kingo. – Skłonił się w pas i wyciągnął dłoń obciążoną białą rękawiczką. Chcąc nie chcąc, podałam moją. Złożył na niej uroczysty pocałunek.

– Dzień dobry, widzieliśmy się już dzisiaj, panie Józiu.

– Dla mnie to czysta przyjemność.

Szopka z całowaniem powtarzała się za każdym razem, gdy pan Józef widział mnie na horyzoncie. Zastanawiałam się, czy robił to też innym paniom, ale z żadną nie byłam na tyle zaprzyjaźniona, aby zapytać. Gdy zakończyliśmy ceremonię powitalną, nacisnęłam przycisk od windy. Sprawdziłam dyskretnie, czy pan Józef nie patrzy, i wytarłam rękę chusteczką.

Drzwi się rozsunęły, ukazując moim oczom, grubą jak wieloryb, główną księgową Jadwigę Wrzeszcz. Przykrótka spódnica odsłaniała jej masywne uda. Obleczone w sweterek z angory przyciskała do siebie torebkę ze skóry węża.

– Pani pojedzie później. – Nacisnęła przycisk i drzwi zamknęły się przed moim nosem.

Czekałam, przyglądając się paznokciom. Czerwony pasował do głębokiej czerni sukienki. Do paznokci dobieram torebkę i buty, mam zestawy w różnych kolorach, natomiast sukienki mam tylko czarne. I pończochy ze szwem. Winda zjechała, tym razem bez pani Jadzi, wsiadłam i pojechałam na czwarte piętno.

Na palcach przesłam koło wnęki szefa, przestrzeń biurowa była na wyciągnięcie ręki... Prawie dotarłam do mojego kawałka podłogi.

– Pani Kingo, o ziólkach, mam nadzieję, pani nie zapomniała?

Odwrociłam się z promiennym uśmiechem.

– Kupiłam tabletki na porost włosów, w promocji.

Podaliśmy mu papierową torebkę. Przed gniewem prezesa uciekłam do mojej przestrzeni biurowej. Wyciągnęłam skoroszyt, zeskanowałam trzy pierwsze rozdziały powieści, która powinna stać się bestsellerem, aby podźwignąć nas z dna rozpacz. W każdym razie pozwoliłaby podskoczyć w rankingu. Wrzuciłam skoroszyt do torebki i nie czekając na windę zbiegłam po schodach.

Tramwajem siódmką dojechałam na Powstańców Śląskich. Dzięki babci mogłam uważać się za szczęśliwą posiadaczkę własnego kąta. Mieszkanie składało się z pokoju z wnęką kuchenną i miniaturowej łazienki, którą pomalowałam na pomarańczowo, żeby nabrała ciepła. Żółty za bardzo kojarzy się z „siusianiem w serze” Alice Munro. Przed oczami pojawił się mój ulubiony cytat z jej powieści: „Łazienka przybrała odcień głębokiej oranżowej żółci. Jakbyśmy byli w serze, ocenił Hugon, kiedy skończyliśmy malować. Rzeczywiście, przytaknęłam. Dobrze powiedziane, twórco fraz. Ucieszył się, choć ucieszyłby się bardziej, gdyby to napisał. Później za każdym razem, kiedy pokazywał komuś łazienkę, mówił: Widzisz ten kolor? Jakbyśmy byli w serze. Albo: Jakbyśmy siusiali w serze”<sup>2</sup>.

Rzuciłam na fotel torebkę i zabrałam się za przygotowanie posiłku. Miałam wybór między pizzą podgrzewaną w mikrofalówce a sałatką z makaronem i szynką. Włożyłam pizzę do kuchenki, a sama usiadłam w fotelu z zamiarem przejrzenia zawartości czerwonej teczki. Zapaliłam stojącą lampę, chociaż nie było ciemno – przytłumione światło otulało pokój na kształt woalu, który ukrywał brzydotę pomieszczenia. Przynajmniej w moich oczach. Jak kapcie z czasem dopasowują się do stopy, tak ten pokój dopasowywał się do mnie. Czekając na brzęczyk mikrofalówki, ułożyłam się wygodnie, otworzyłam skoroszyt i zagłębiłam w lekturze. Niektóre fakty znałam, inne dopiero odkrywałam.

*Saint-Nom-La-Bretèche, Francja, listopad 2016 r.*

*I co dalej? – Pomyślała Zuzanna, zamykając drzwi boks. Niczego nie była pewna, nawet tego, czy będzie miała z czego zapłacić za następny miesiąc.*

---

<sup>2</sup> Alice Munro, *Coś, o czym chciałam ci powiedzieć*, tłum. Bohdan Maliborski, wyd. Świat Książki, Warszawa 2014, s. 22.

*Przeciagnęła dłonią po szyi konia, pod palcami czuła aksamitną skórę. Minął rok, odkąd zdecydowała się na wynajem, do tej pory tego kroku nie żałowała, nie będzie rozpaczać i teraz. Nie będzie sobie wyrzucać, że zamiast odkładać pieniądze, płaciła za pensjonat i lekcje jazdy konno. Nie wzięła pod uwagę choroby ciotki Józefiny; zresztą kto mógł to przewidzieć.*

*– Najedz się do syta, bo nie wiem, czy będziemy mieli co jeść za miesiąc. – Zarzuciła ogłowie na ramię i spojrzała raz jeszcze na konia leniwie żującego siano.*

*– Bardzo dobrze sobie poradziłaś. Wsiadłaś w siodło i odchyliłaś się w ramionach do tyłu. To był ostatni moment, bo za mocno poleciałaś na przód konia.*

*Głos trenerki wyrwał ją z rozmyślań.*

*– Dziękuję. Masz rację, przed oczami miałam ziemię zbliżającą się w zawrotnym tempie. – uśmiechnęła się blado.*

*– Jeszcze kilka miesięcy temu leżałabyś twarzą w piachu. Robisz duże postępy, ale to jeszcze nie powód, aby spocząć na laurach.*

*– On nie chciał mnie zrzucić.*

*– Nie. Jakby chciał, to wystarczyło tylko, żeby podniósł tyłek. Na przyszłym treningu popracujemy nad dosiadem.*

*Zuzanna kiwnęła głową w odpowiedzi, wiedziała z doświadczenia, że z Elisabeth nie ma dyskusji. Ściągnęła siodło przewieszane przez drzwiczki boksu i skierowała się w stronę siodlarni. Po schodach weszła do pomieszczenia ze sprzętem i odłożyła siodło na miejsce. Przez chwilę przyglądała się ogłowiom wiszącym na ścianie, poprawiła wodze, aby równo wisały, i zeszła do stajni. Wolnym krokiem udała się w stronę wyjścia, przez ramię rzuciła ostatnie spojrzenie w stronę Eklerka.*

*– To do jutra.*

*Wyszła z budynku, powietrze pachniało sianem i końską sierścią. Lubiała ten zapach, działał na nią uspakajająco. Oddychała głęboko, jakby chciała zatrzymać część świata, który właśnie miała opuścić.*

*Wróciła do domu i pogrążona w myślach, wchodziła stopień po stopniu, przystawała na półpiętrach, przesuując niewidzącym wzrokiem po ustawionych na parkingu samochodach i kolorowo ubranych ludziach śpieszących do swoich zajęć. Nawet ten ciepły, jak na październik, dzień nie cieszył zbytnio. Zgrzytający dźwięk uzmysłowił jej, że już dawno powinna naoliwić zamek, bo pewnego dnia klucz w nim utknie na amen, co przysporzy*

*dodatkowych kłopotów. Ale nie chciała o tym myśleć, nie dzisiaj. Jej sytuacja była taka sama jak wczoraj i jak tydzień temu; zdała sobie sprawę, że dłużej nie może chować głowy w piasek i wmawiać sobie, że jakoś to będzie.*

*Przeszła do kuchni, pstryknęła włącznikiem, przytłumione papierowym kloszem w czerwone ryby światło rozlało się po kuchni. Nie było jeszcze ciemno, ale chciała popracować na komputerze. Piu-piu zaświergotał na przywitanie; podeszła do klatki i przeciągnęła palcem po metalowych prętach, zdobywając się na cień uśmiechu. Sięgnęła do szafki po garnek. Przekładając brzęczące naczynia, wyciągnęła kociołek do mleka. Zaszczął rozpalany płomień, postawiła naczynie na kuchence i podeszła do stołu. Rozłożyła swój podręczny laptop i przyjrzała się pierwszej stronie. Pole maków promieniowało pozytywną energią. Tym razem kolor czerwony wydał jej się agresywny. Wrzuciła na przeglądarkę folder ze zdjęciami, gdyż poczuła potrzebę zmiany. Przed oczami przesunęły się zdjęcia z wakacji, z roześmianą Julią przy fontannie, z mamą w Muzeum Sztuki Luwru – największym muzeum na świecie, kolejne znowu z Julią i wielkimi torbami na zakupy z H&M, siostry na ławce nad Sekwaną i jeszcze na trawniku w parku. Natrafiła na zdjęcie Eklerka na lekcji z Elisabeth. Koń został uchwycony w klusie, ona stała w strzemionach, uśmiechając się do osoby robiącej zdjęcie. Kask zasłaniał czoło i oczy. Była ubrana w jasną bluzkę z krótkimi rękawami i ciemne spodnie do jazdy.*

*Wymyślę coś, nie mogą sprzedać konia – przebiegło jej przez myśl. Poczula zapach przypalonego mleka, zerwała się od stołu, odpychając krzesło, które z głuchym stukiem uderzyło o posadzkę. Sąsiedzi znowu powiedzą, że urządzam libacje – pomyślała. Dopadła kuchenki i przekręciła kurek. Garnek oblepiała czarna skorupa szycząca nieprzyjemnie przy wkładaniu do wody.*

*– Cholera jasna! – Krzyknęła, kiedy gorące mleko pochlapało jej bluzkę. Wybiegła z kuchni, drzwi łazienki z hukiem uderzyły o ścianę. No, tym razem sąsiedzi pójdą ze skargą do administracji. Przysłowie „pijany jak Polak” nie wzięło się znikąd, a hałasy dochodzące z mieszkania dobitnie świadczyły o jej predyspozycjach.*

*Poplamioną koszulkę wrzuciła do wiklinowego kosza na bieliznę, z wieszaka ściągnęła górę od piżamy. Miękki materiał delikatnie otulił jej ciało.*

*Wyciągnęła czarny notes i narysowała linię w połowie kartki. Na jednej połowie napisała „tak”, a na drugiej „nie”. Notowała swoje umiejętności oraz zawody w zasięgu jej możliwości. Spojrzała na listę z zadowoleniem.*

*Przynajmniej wiem, jakich ogłoszeń szukać, stwierdziła, włączając komputer i logując się na stronę Pôle emploi<sup>3</sup>. Niestety nie było niczego z jej listy.*

*– Trudno, poszukam jutro.*

*Przeszukując wnętrze szafki kuchennej, znalazła opakowanie chleba tostowego i słoik dżemu. Wyciągnęła z lodówki karton z sokiem jabłkowym. Zadowolona przygotowała tosty, które jadła na stojąco, nie martwiąc się okruszkami spadającymi na podłogę. Ze szklanką soku w ręce przeszła do pokoju i włączyła telewizor. Nadawali wiadomości. Przez chwilę przysłuchiwała się informacjom, ale nie zainteresowały jej zbytnio. Przełączyła na kryminal i chwilę później zasnęła jak kamień.*

*Otworzyła oczy, gdyż Piu-piu skrzeczał w najlepsze. Ranki lubiła najbardziej, pozwalały na spokojne rozpoczęcie dnia.*

*– Co słyhać? – Spytała papużkę, wsypując ziarna do klatki.*

*Zaparzyła kawę i sięgnęła do szafki po płatki kukurydziane. Radio nadawało jej ulubioną piosenkę „Sound of silence” Simona i Garfunkela. Nucąc pod nosem sięgnęła po jogurt. Spalony dzień wcześniej garnek leżał w zlewie czekając, aż go doczyści.*

*Usiadła przy stole, który służył jej także jako miejsce do pracy na komputerze. Nie miała wielu sprzętów. Kupiła stół, szafę z przesuwanymi drzwiami oraz półki na książki. Popijając kawę, przyglądała się przez okno sąsiadom idącym w kierunku parkingu i zastanawiała się, jak zaplanować dzień – chciała pojechać do klubu, choć nie miała treningu z Elisabeth.*

*Otworzyła klatkę, aby papużka Piu-Piu mogła skorzystać z większej przestrzeni latając swobodnie po pokoju, i poszła do łazienki. Myjąc zęby, przyglądała się sobie w lustrze. Uważała, że jej biodra są za szerokie, to był jej słaby punkt. W klubie z lekką zazdrością przyglądała się koleżankom o szczupłej sylwetce. Uważała, że w bryczesach prezentują się dużo lepiej niż ona. Wrzuciła szczoteczkę do pojemnika, nalata wody do kubka, wyplukala usta, po czym przeszła do sypialni – sporego pokoju o bladoniebieskich*

---

<sup>3</sup> Pôle emploi – Centrum Pracy, tłum aut.

*ścianach, z oknem zasłoniętym firanką, przez którą widać było niebo. Przed zaśnięciem lubiła spoglądać w gwiazdy, ich migotanie przypominało jej światła miasta, w którym mieszkała. Koło łóżka stała drewniana szafka nocna, z budzikiem i rozłożoną książką. Na ścianach rozmieściła półki oraz zdjęcia najbliższych. Jej mama z siostrą, obie opalone, uśmiechały się bez troski do obiektywu, z tyłu widać było sylwetkę wieży Eiffla. Pamiątka ich wspólnej wizyty w Paryżu w czasie wakacji.*

*Były też zdjęcia Józefiny. Starsza pani, wysoka i szczupła, z włosami związanymi w kok. Natomiast w młodości miała blond loki spływające do ramion i niebieskie oczy. Z wiekiem włosy przyprószyła siwizna, oczy wyblakły.*

*Józefina kazała na siebie mówić po imieniu, gdy Zuzanna po raz pierwszy przekroczyła próg jej mieszkania i postawiła walizkę na podłodze w przedpokoju. Samotna i bezdzietna zaproponowała swojej dalekiej młodej krewnej przyjazd do Francji, utrzymanie i niewielką pensję w zamian za opiekę. Zuzanna po skończeniu socjologii rozglądała się za pracą i propozycja wydawała jej się niezwykle kusząca. Ominęło ją rozpychanie łokciami w poszukiwaniu etatu, godziny wyczekiwania pośród innych kandydatów na efekty rozmowy kwalifikacyjnej.*

*Spędzały czas na rozważaniach o życiu, książkach, wspomnieniach z czasów wojny.*

*Józefina przyjechała do Paryża w wieku piętnastu lat do pracy w charakterze opiekunki do dzieci. Zatrudniła ją bogata żydowska rodzina posiadająca apartament zajmujący całe piętro kamienicy na placu Opery. W lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku jej pracodawcy zostali zatrzymani i umieszczeni na zimowym stadionie kolarskim Vel d'Hiv, na którym policja zgromadziła zatrzymanych tego dnia podczas łapanek Żydów.*

*Przez pięć dni i nocy mężczyzn, kobiety, jak i ponad cztery tysiące dzieci przetrzymywano bez jedzenia i wody, w makabrycznych warunkach sanitarnych, aby później, po krótkim pobycie w obozach przejściowych istniejących na terenie Francji, zagonić ich do bydłowych wagonów i wywieźć do Oświęcimia i Trebłinki.*

*Józefina uniknęła aresztowania, gdyż jak każdego ranka udala się do pobliskiej piekarni na zakupy. Uciekła z miasta, tułała się po wsiach i miasteczkach, szukając zatrudnienia.*

*Zatrzymała się na fermie w Normandii, gdzie za dojenie krów dostała pokój oraz wyżywienie.*



*Nie była jedyną osobą z Polski, na fermie pracował też Dymitrow, na którego okoliczni mieszkańcy wołali Metro i do jego obowiązków należała opieka nad końmi. Rano zaprzęgał do wozu dwa potężne perszerony, które pracowały w polu, wieczorem karmił je, czyścił z brudu i potu po całym dniu pracy.*

*Po przygotowywanej przez gospodynię kolacji, na którą składała się zupa z wkładką mięsną oraz kromka chleba z masłem, wszyscy zbierali się przy kominku. Mężczyźni skręcali papierosy albo nabijali fajki tytoniem i opowiadali historie.*

*Na wsi życie toczyło się według rytmu pór roku i prac z nimi związanych, nawet wojna nie była w stanie tego zmienić.*

*Dwa spokojnie spędzone lata przerwał nalot sił alianckich w czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku.*

*Ciocia Józefina była w pełni sił, miała doskonałą pamięć, chętnie opowiadała o tym, co ją spotkało w czasie wojny. O utraconej miłości do amerykańskiego oficera...*

Zastanawiałam się, jak skończy się opowieść Zuzanny, w którym miejscu jej spokojna narracja urwie się jak wystrzępiony sznurek. Choroba osłabiła autorkę tekstu, czułam jej apatię w sposobie prowadzenia bohaterki, w opisach codziennych czynności – zwykłych i banalnych.

Nie pociągał mnie sposób przedstawienia historii, ale historia sama w sobie. Miała potencjał i jak drogi kamień – dopiero co wykuty ze ściany – potrzebowała obróbki. Bohaterka za bardzo się snuła, była nijaka, opisy – za długie, mówiące o niczym. Czekają nas sporo pracy, przede wszystkim trzeba ożywić bohaterkę stworzoną przez Zuzannę i dać jej konkretny cel. Zabrzęczała kuchenka, ale nie zwróciłam na to uwagi, czytałam dalej.

Gdy odłożyłam skoroszyt, w pokoju panował półmrok, tylko lampa rzucała jasny krąg światła na podłogę. Położyłam głowę na oparciu i patrząc na ciemny sufit, myślałam dlaczego nikt nie chce powiedzieć, gdzie przebywa koń. Dlaczego jego sprzedaż jest otoczona tajemnicą? Coś musi się za tym kryć... Tylko co?

Gdyby go sprzedali do rzeźni, nie robiliby z tego tajemnicy. Sięgnęłam do torebki po notes z wizerunkiem sowy, zanotowałam: ceny zwierząt rzeźnych, artykuły dotyczące koni. Poczekam do jutra i skorzystam z biurowego internetu, może przyjdzie mi do głowy konkretny pomysł.

Poszłam do kuchni, otworzyłam kuchenkę i wyciągnęłam pizzę. Była zimna.

## Rozdział 4

Wysłałam z domu dość wcześnie, chciałam mieć czas na opracowanie planu, zanim natknę się na prezesa. Plik z komputera wysłałam na drukarkę, która z cichym szumem wypluwała zadrukowane kartki. Ja w tym czasie przeglądałam internet w poszukiwaniu informacji. Czytałam o cenach mięsa w różnych regionach Francji, gdy usłyszałam krzątanie w pokoju pani Gieni.

– Dzień dobry, pani Basia jest w pracy? – Wsunęłam głowę przez otwór w plastikowej ścianie.

– Nie ma. – Gienia nie oderwała wzroku od rozłożonej gazety, najmniejszym ruchem nie zdradziła zainteresowania moją sprawą.

– A kiedy będzie? – Zapytałam naiwnie, przewidując z góry odpowiedź.

– Nie wiem. – Sekretarka całą uwagę skierowała na kolorowe obrazki; ja mogłam poczekać, horoskop na następny tydzień – nie.

– Muszę poprawić tekst – jęknęłam boleśnie.

– Nie umie pani poprawić tekstu? – Pani Gienia spojrzała na mnie ze zdumieniem.

– Każdy ma rolę w wydawnictwie. Jestem od kontaktów z autorami, pani Basia od korekty, pani od p... – urwałam pod mrozącym krew w żyłach spojrzeniem, nasza rozmowa nie przebiegała w samo południe, ale z wyrazu twarzy sekretarki wyczytałam, że to może być dla mnie godzina zero. Chciałam powiedzieć: parzenia kawy, ale ugryzłam się w język i szybko dokończyłam: – od przygotowywania dokumentów.

Spojrzenie złagodniało, pani Genia złożyła gazetę, włożyła do szuflady i wykazała zainteresowanie moją osobą.

– Pani Basia mieszka na Królewskiej.

– We Wrocławiu?

– W Wilnie.

– Ratunku! – Zawołałam z rozpaczą. – Jak mam pracować?! Wyślę jej fragmenty mailem, a potem zrobimy wideokonferencję, żeby wprowadzić poprawki.

– Niezdrowe podniecenie doprowadzi panią do zguby. Powinna pani pić melisę i medytować.

Pani Gienia wstała z krzesła, zetknęła z sobą końcówki kciuka i wskazującego palca, zamknęła oczy i powtarzała przeciągle „om”<sup>4</sup>. Możliwe, że przeszła szkolenie u tybetańskich mnichów, ale ja i medytacja w tym momencie zupełnie do siebie nie pasowałyśmy. Wszystko się we mnie gotowało.

– Pani Gieniu! – Zawołałam.

– Tak? – Zamrugła oczami, jakbym wyrwała ją z transu.

– Potrzebuję numer telefonu do pani Basi!

– Nie musi pani krzyczeć, pani Kingo. Wszystkie dane są dostępne w folderach pracowników. Usiadła, wygładzając spódnicę, po czym odwróciła się do mnie tyłem, dając do zrozumienia, że audyencja skończona. Rzuciłam się do komputera i szybko przejrzałam folder z danymi personelu. Alias, Bury. Kto to jest Bury? Aha, pan Józef – mruczałam pod nosem. O, jest, Dziwił.

– Był telefon do pani wczoraj. – Pani Gienia zdecydowała się do mnie odezwać.

– Tak? Kto dzwonił? – Oderwałam wzrok od listy nazwisk.

Pani Gienia powoli otworzyła firmowy kalendarz i śliniąc wskazujący palec, odszukała wczorajszą datę.

– Nocny Marek.

– Zadzwoń do niego później, teraz mam coś innego na głowie.

Marek Nocny został jako jedyny ze starej gwardii. Agata Chrzęszcz opuściła wydawnictwo i przeniosła się do rynkowego potentata, skuszona obietnicą wyższych prowizji. Niech jej ziemia lekką będzie.

Pan Marek miał jedną wadę – jak już dopadł słuchacza, to nie puszczał aż do ostatniej kropli krwi. Dręczył nieszczęśnika opowieściami o swoich ostatnich wizjach dotyczących kreatur o dziwnym zwyczaju sypiania w trumnach, unikających światła dziennego i delektujących się krwistoczerwonym napojem. Co do napoju, nie mam nic przeciwko, też lubię czerwone wino, ale zwyczaje tych stworzeń są dalekie od reguł współżycia społecznego. Można je nawet zaliczyć do działalności przestępczej. Prowadzą bank, którego wierzeje otwierają o zmroku. Przyciągają petentów obietnicą

---

<sup>4</sup> Om – święta sylaba [hinduizmu](#) i buddyzmu. Zaczyna wiele mantr, *Encyklopedia PWN*.

wysokiego oprocentowania, kuszą podwojeniem oszczędności. Klienci zostawiają pieniądze, a następnie znikają w niewyjaśnionych okolicznościach.

Miałam nieodparte uczucie, że już to kiedyś czytałam.

W każdym razie nie wiem, skąd pan Marek bierze swoje wizje. Może coś wacha? Siedzi nad oparami unoszącymi się nad pachnącą siarką otchłanią i, jak kiedyś Westalki, odczytuje przyszłość. Albo dużo pali. Tak czy siak, pewnie prowadzi niezdrowy tryb życia.

Zapisałam numer w notesie i wróciłam do siebie. Rozejrzałam się za podłużnym, czarnym urządzeniem, ale na biurku leżała tylko torebka Lollipops z zawieszka w kształcie kota. Nie jestem miłośniczką zwierząt, ale breloczek przypadł mi do gustu. Kucnęłam, sprawdziłam pod biurkiem, oprócz kotów z kurzu nie znalazłam nic więcej. Podniosłam torebkę, i proszę – telefon był pod spodem. Wystukałam numer, po kilku bipach kobiecy głos spytał przeciągle:

– Taaak?

– Dzień dobry, mówi Alias Kinga, czy mogę rozmawiać z panią Barbarą Dziwił?

– Przy telefonie – wymruczał kobiecy głos.

– Jest mi pani potrzebna w pracy!

– W jakiej sprawie? – Pani Basia nie wydawała się zaniepokojona, ani nawet zainteresowana.

– Mam maszynopis Zuzanny Kosińskiej do poprawy. Ma pani bezpośrednie połączenie?

– Bezpośrednie połączenie? Mogę dojść na piechotę.

– Z Wilna?

W słuchawce rozległ się śmiech.

– Wynajmuję mieszkanie na Podwału.

– Czyli mogę się pani spodziewać za piętnaście minut?

Odetchnęłam z ulgą, gdy rozłączyłam się po ostatnim pożegnaniu. Wydrukowane kartki włożyłam do teczki i mogłam na spokojnie przemyśleć sytuację. Uda się, czy się nie uda, oto jest pytanie. Czytelnicy połkną, jak rybka haczyk, czy też będziemy dopłacać do interesu?

W tym wypadku nic nie było pewne – autorka w depresji, usunęła się ze świata, obojętna na sukces i wysokie dochody. Zresztą z kasą też nie wiadomo. Jak powieść się nie

sprzeda, to wszyscy pójdziemy z torbami. Przyglądałam się teczce, próbując odgadnąć przyszłość. Na dwoje babka wróżyła – stwierdziłam, zakładając gumkę przytrzymującą okładkę.

– Jestem. – Barbara Dziwił stanęła w wejściu.

Widzę, chciałam powiedzieć, ale zamiast tego uśmiechnęłam się promiennie, obnażając uzębienie. U większości zwierząt jest to oznaka agresji, natomiast u ludzi świadczy o pozytywnym nastawieniu. Paradoks taki.

Pani Basia ubrana na szaro przywodziła na myśl zjawę z przeszłości, kobieta-widmo, jedynie granatowa w czerwone kwiaty chustka na głowie stanowiła kolorowy akcent. Kontakt miałyśmy najczęściej mailowy, widywałyśmy się rzadko, ostatnio na noworocznej imprezie firmowej. Teraz najchętniej przywiązałabym ją do krzesła, aby nie odrywała się od pracy.

– Proszę usiąść, mam dla pani zadanie specjalne.

Pani Basia z rozpaczą spojrzała na biurowe krzesła, miały tę szczególną cechę, że były niewygodne, nawet od patrzenia na nie bolały plecy.

– To nie potrwa długo. Napije się pani kawy?

– Nie, dziękuję, piję tylko herbatę z samowara – powiedziała, siadając.

Pominięłam milczeniem uwagę o samowarach, nie byłyśmy na przyjęciu w Pałacu Zimowym.

– Mam do rozwiązania zagadkę, podam znane mi elementy, może uda się pani dojść do nowych wniosków. Ja się kręcę w kółko. Muszę odnaleźć konia.

– Proszę zatrudnić detektywa, ja poprawiam teksty, studiowałam dziennikarstwo, nie kryminalistykę. – Podniosła się z krzesła.

– Dziennikarstwo? Doskonale, ma pani dryg do tropienia sensacji i to jest nam potrzebne. Powiem, co wiem. Książka, o którą mi chodzi, jest oparta na faktach. Opisany w niej koń zapadł się pod ziemię, sprzedany legalnie, ale nikt nie wie albo nie chce powiedzieć, komu. Podejrzewam, że w sprawę wplątana jest jedna z bohaterek, Carla, Włoszka, ale jak i po co? Tego nie wiem. Przeczytam fragment dotyczący tej kobiety. Proszę usiąść.

Otworzyłam teczkę i wybrałam odpowiednią stronę.

*Saint-Nom-La-Bretèche, Francja, grudzień 2016 r.*

*Weszła do siodlarni, gdzie na ścianach wisiał sprzęt jeździecki z imieniem odpowiedniego konia. Wybrała czarne siodło z napisem „Eclair” oraz ogłowie z wędzidłem munsztukowym niezbędnym w czasie zawodów. Tak zaopatrzona zeszła do stajni, aby przygotować konia. Kiedy weszła do boksu Eklerek spojrzał na nią ze spokojem.*

*– I jak tam, piękniśiu, gotowy do startu?*

*– Mówisz do konia po polsku?*

*Zuzanna odwróciła się w stronę wejścia. Przy sąsiednim boksie stała nieznana jej kobieta. Wysoka blondynka, zielony, połyskujący sweterek podkreślał kolor oczu, a także uwypuklał kobiece atuty. Zgrabna sylwetka świetnie się prezentowała w obcisłych spodniach do konnej jazdy. Zuza poczuła ukłucie zazdrości.*

*– Tak, zdarza się, że mówię po polsku. Skąd wiesz? Zazwyczaj wszyscy myślą z rosyjskim.*

*– Jestem tłumaczem. Nie znam polskiego, ale rozróżniam języki. – Uśmiechnęła się, odsłaniając równe zęby. – Mam na imię Carla.*

*– Ładne imię, włoskie?*

*– Tak, pochodzę ze Sieny.*

*– Zuzanna. Mam jazdę za kilka minut. Porozmawiamy później? Koło siodlarni jest club-house, można stamtąd oglądać ujeżdżalnię, a przy okazji napić się kawy.*

*– Dzięki za info, na pewno skorzystam.*

*– I co pani na to?*

*– Ładna, inteligentna, pewna siebie kobieta. Dlaczego miałyby coś kraść? – Pani Basia patrzyła na mnie sceptycznie.*

*– Dla pieniędzy, pozycji, z zemsty. Kobiety lubią się mścić.*

*– Zuzanna zrobiła jej krzywdę?*

*– Nie wiem, nie ma nic na ten temat w tekście. – Pomachałam teczką dla podkreślenia moich słów.*

*– Dlaczego szuka pani tego konia?*

*– Bez konia nie będzie dalszego ciągu, a bez dalszego ciągu... – urwałam, robiąc wymowną pauzę.*

– Przeczytam i zadzwonię. – Wzięła ode mnie teczkę i wyszła, a właściwie przeniknęła przez ścianę niczym duch. Przez chwilę spoglądałam za nią z ciekawością, niektórzy mają zdolność rozplywania się w powietrzu. Zdawałam sobie sprawę, że było to, mówiąc słowami Wiecha, „złudzenie apteczne”, jednak wywarło na mnie spore wrażenie. Oglądałabym ścianę pewnie jeszcze dłużej, ale zadzwonił telefon. Mrugała zielona lampka, czyli połączenie wewnętrzne.

– Alias, słucham.

– Telefon do pani. – Sekretarka puściła mi do ucha muzykę, nie pytając, czy jestem wolna, mogłam mieć ważną sprawę do załatwienia, ale pani Gieni to nie interesowało.

– Alias, słucham – powtórzyłam, gdy zapadła cisza.

– Dzień dobry, pani Kingo. – Poznałam ciepły baryton.

– Dzień dobry, panie Marku. Co nowego u pana?

– Chcę się podzielić dobrą nowiną. Dzwoniłem na prywatny numer, ale pani nie odbierała. – W głosie zabrzmiała nuta skargi. Zastanawiałam się, jak to się stało, że miał mój telefon; nie mogłam sobie przypomnieć, abym mu go dawała. Albo byłam pijana w trupa...

– Jaka to nowina?

– Chciałbym pani pokazać osobiście – zamruczał kusząco.

– Przyjdzie pan do biura? – Zaproponowałam.

– Jest pora obiadowa, zapraszam panią do restauracji. Którą pani proponuje?

– Włoską, w rynku, odpowiada panu? – Powiedziałam bez zastanowienia. Może we włoskiej restauracji wpadnie mi do głowy rozwiązanie zagadki konia Zuzanny.

– „La Scala”? Świetnie, będę za kilka minut.

Zarzuciłam torebkę na ramię i skierowałam się do windy. Akurat myślałam, czy Nocny zna wszystkie restauracje we Wrocławiu, gdy usłyszałam groźny pomruk:

– Dokąd znowu pani idzie? – Zwalista postać prezesa zagroziła mi drogę. Ubrany w garnitur w prążki, bez krawata, ale z kwiatem w butonierce, dziś była to paśowa róża, bardziej przypominał ojca chrzestnego niż ojca rodziny. Brakowało mu tylko kapelusza i futerału na skrzypce. Przyglądał się mojej osobie ze zmarszczonymi brwiami, pewnie szok po tabletkach jeszcze nie minął.

– Na spotkanie z klientem.

– Chyba będzie pani go szukać na ulicy, bo tutaj kolejki nie ma.

A co to, wyprzedaż czy rozdajemy pączki od Bliklego? pomyślałam ze złością. Oczekuje ode mnie cudów. Klienci mają walić oknami i prosić o wydanie ich twórczości. Jeżeli chce wydawać, co mu wpadnie pod rękę, to proszę bardzo, tylko niech nie płacze, że nikt nie chce kupować. Ludzie różne rzeczy piszą, problem w tym, aby ktoś chciał to czytać.

– Pan Marek Nocny zaprosił mnie na obiad – powiedziałam z wyższością, prezes zszedł mi z drogi.

– Pani do mnie później przyjdzie – rozkazał, odchodząc.

Rozdrażnił mnie, zjechałam na parter zła jak osa. Wyszarpnęłam rękę panu Józefowi i bez słowa wyszłam z budynku. Szłam szybkim krokiem, minęłam przejście Świdnickie i znalazłam się w rynku. „La Scala” trzeszczała w szwach, stanęłam niezdecydowana, nie wiedząc, co robić.

– Mamy zarezerwowany stolik w głębi. – Marek Nocny stanął koło mnie znienacka. Miał na sobie czarny płaszcz, kapelusz, okulary przeciwsłoneczne, wyglądał jak inspektor policji incognito.

– Nie spodziewałam się pana... tak szybko.

Z rozgrzanej słońcem ulicy weszliśmy do chłodnego wnętrza. Kelnerzy w białych fartuchach opasanych wkoło bioder uwijali się po sali. Nocny poprowadził mnie do stolika, podsunął krzesło, ciepły oddech musnął moją szyję, gdy siadałam.

– *Le noir te va si bien*<sup>5</sup> – szepnął.

No naprawdę, podrywanie móglby sobie darować, wiem, że w czarnym mi do twarzy, o mojej porcelanowej cerze też już od niego słyszałam. Nie żeby mi się nie podobał. Był taki mroczny. Włosy związywał w kucyk z tyłu głowy, co nadawało mu charakter dandysa, wiecznego młodzieńca. Jego oczy błyszczały tajemniczo, jakby ukrywał sekret. Zadbane dłonie pisarza z krótko obciętych paznokciami sprawiały przyjemne wrażenie. Tylko usta, wąskie i blade, jakby pozbawione krwi, odpychały mnie od niego. Nie mogłabym go pocałować, brrr. Zadrżałam na tę myśl.

– Pani drży, może coś na rozgrzewkę? – zaproponował.

Patrząc na temperaturę na zewnątrz, musiałabym pochodzić z Afryki, aby drzeć z zimna. Nie chciałam go wtajemniczać w moje przemyślenia, dlatego odpowiedziałam:

---

<sup>5</sup> *Le noir te va si bien* – tytuł filmu *W czarnym ci do twarzy*, reż. Jacques Bral, tłum aut.



– Kieliszek czerwonego martini, poproszę.

– Z lodem? – Spytał.

No naprawdę, za kogo on się bierze, jeszcze zaproponuje mi seks w restauracyjnej łazience!

– Dużo bym dał, aby się dowiedzieć, o czym pani myśli.

Lepiej nie.

– Chciał mi pan coś pokazać – nawiązałam do telefonicznej rozmowy. Kelner przyniósł drinki, mogłam sączyć schłodzone martini i odprężyć po ciężkim dniu. Nocny wyjął z kieszeni i położył na stole podłużny przedmiot – przypominał miniaturowych rozmiarów trumnę.

– To moje dziecko.

Oszalał! Facet zwariował! Świeci słońce, życie jest piękne, knajpiany muzyk śpiewa „O sole Mio”, a jemu odbiło. I dlaczego to musiało paść na mnie? Dlaczego on nie mógł pójść do kogoś innego? Matko, on odciął temu dziecku mały palec! Co mam zrobić? Dzwonić na policję? Zostanę współdziałowcem zbrodni. Byłam tak przerażona, że wypiliśmy martini jednym haustem.

– Pokazać pani?

– Nie! Nie chcę oglądać!

Spojrzał na mnie z zainteresowaniem, przekrzywił głowę i oparł się o krzesło.

– Zdenerwowana jest pani dzisiaj. – Upił łyk krwawej mary. – To pendrive, na którym zapisałem moją najnowszą powieść. Po włożeniu do komputera odczyta pani plik *Betsy – królowa wampirów*. Chyba, że ma pani inne, lepsze propozycje – powiedział urażony.

Napięcie opadło, serce odnalazło normalny rytm, przepelniona uczuciem wdzięczności przechyliłam się w jego stronę i złapałam rękę o szczupłych palcach.

– Panie Marku, bardzo przepraszam. Rzeczywiście jestem rozkojarzona, miałam trudny dzień.

Nie rozmijałam się z prawdą. Dzień był pełen emocji, chciałam go udobruchać, aby zatrzeć nieprzyjemne wspomnienia.

– Rozumiem... – Uścisnął moją dłoń. – Byłem cztery razy żonaty. Czasami myślę, że znam kobiety, ale one potrafią mnie zaskoczyć. Pani jest osobą, jakiej jeszcze nie spotkałem, wrażliwą, zabawną, inteligentną. – Jego palce delikatnie gładziły moją skórę.

No to klops, umarł w butach. Co mam zrobić? Wyrwać rękę? Sama mu ją dałam. Cztery żony, niezły wynik. Co on z nimi robi? Zakopuje w ogródku? – Myśli przelatują przez mózg z prędkością TGV, powodując ból głowy. Intensywnie szukałam wyjścia z sytuacji. Czułam na sobie przenikliwe spojrzenie Marka, przyszpilające mnie jak motyla, bałam się złapać głębszy oddech.

– Muszę pana na chwilę opuścić. – Zabrałam rękę, uśmiechając się przeprasząco.

Dyskretnie wybadałam położenie łazienki, a po ustaleniu kierunku podeszłam do drzwi oznaczonych rysunkiem kobiety. W środku zastanawiałam się nad rodzajem taktyki – czy zostać dłużej, udając nagłą niedyspozycję, czy odliczyć do trzydziestu i wyjść. Właściwie nie miałam opracowanego planu na takie sytuacje; postanowiłam, że to przemyśle.

Spojrzałam w lustro i z zadowoleniem przyglądałam się odbiciu: długie rzęsy przyciemnione tuszem, pełne usta pociągnięte zmysłowo błyszczącą pomadką efektownie dopełniały całości, dołeczki w policzkach dodawały uroku.

W miarę szczupłą sylwetkę – kilka dodatkowych kilogramów ukrywałam pod ściągającymi majtkami – zawdzięczałam wchodzeniu po schodach na siódme piętro wieżowca, w którym mieszkałam. Poprawiłam włosy i opuściłam bezpieczne schronienie. Miałam nadzieję, że Nocny zapomniał o wątku matrymonialnym naszej rozmowy.

– Proszę mi opowiedzieć o Betty, tak ma na imię prawda? – Zapytałam, siadając przy stoliku.

Marek wypiął pierś i uśmiechnął się kącikami ust. W tym momencie kelner przyniósł zamówione dania, odebrałam talerz z gnocchi z warzywami i tartym serem. Marek wbił widelec w stek, z którego wypłynęła strużka krwi. Odwróciłam oczy i rozejrzałam się po sali. Na blatach stołów przykrytych obrusami poustawiano świece, wystrój restauracji przypominał wnętrze wiejskiego domu, z zawieszonymi na ścianach pękami cebuli i czosnku. Mój wzrok zatrzymał się na warkoczu z czosnkiem. W razie potrzeby nie będę wahała się go użyć.

– Betsy to królowa wampirów. – Usłyszałam głos Marka.

– Pracuje w banku? – Spytałam, starając się okazać zainteresowanie.

– Pracowała za życia. Wpadła pod samochód, ratując kota. Obudziła się w domu pogrzebowym jako wampirzyca.

Matko, ale chora opowieść. Kto będzie chciał to czytać?

– Fascynujące. Historia ma, niewątpliwie, potencjał.

Oderwał wzrok od talerza i spojrzał uważnie, pewnie się zastanawiał, na ile jestem szczerą. Nie wiem, jak wypadło prześwietlenie promieniami X, bo nic nie powiedział.

– Zabiorę pendrive, przeczytam, wtedy będę mogła powiedzieć coś więcej. Proszę przyjść do biura w przyszłym tygodniu, uzgodnimy szczegóły.

Wytarł usta chusteczką i pomachał kelnerowi ręką.

– Kawa? Deser? Mają pyszne tiramisu.

– Poproszę. I podwójne espresso.

– To u pani lubię. Zdecydowanie.

Co on u mnie zdecydowanie lubi? Lepiej nie dociekać, gdyż może się to skończyć tragicznie. Ciekawość to pierwszy stopień do piekła, mówi przysłowie. Nie mam zamiaru skończyć jako ofiara czarnej mszy. Dokończyłam gnocchi i oddałam pusty talerz kelnerowi.

– Panie Marku, obiad policzymy na koszt firmy.

Przez chwilę bawił się płomieniem świecy.

– To u pani mniej lubię, zmysł praktyczny. Wszystko przelicza pani na pieniądze?

Sięgnęłam po leżącą na stole mini-trumnę i schowałam ją do torebki. Jeszcze się rozmyśli, bo rozmowa przybrała niebezpieczny obrót.

– Nie, nie zawsze. Teraz prowadzimy rozmowę biznesową, dlatego uważam, że koszty powinna ponieść firma.

– Zaprosiłem panią i chciałym, aby tak zostało.

– Czuję się zaszczycona.

Marek się rozluźnił i opadł na oparcie krzesła.

– Zobaczymy się zatem w przyszłym tygodniu? Zdąży pani przeczytać?

Chciałam powiedzieć, że nie mam nic innego do roboty, ale ugryzłam się w język.

Wyglądałoby to mało profesjonalnie.

– Tak, bez problemu. – Zanurzyłam łyżeczkę w ciastku. – Był pan we Włoszech?

Uniósł jedną brew i uśmiechnął się nieznacznie.

– Chce mnie pani zabrać?

Nie, zupełnie niedobry pomysł. Wszystko dzisiaj idzie mi na opak.

– Chciałam wiedzieć, czy zna pan ten kraj?

– Za dużo słońca, mam alergię, to się nazywa fotowrażliwość. Ale czego się nie robi dla apetycznych kobiet... – Pokazał w uśmiechu białe, ostre zęby.

Następca Hannibala Lectera, na pewno nie zostanę z nim sam na sam.

– Czyli nie zna pan, trudno. Poszukam informacji w internecie.

– Przykro mi, że nie mogłem pomóc. Odprowadzić panią? – Zapytał, gdy wyszliśmy na zewnątrz.

– Dziękuję, zrobię po drodze zakupy, nie będę pana zatrzymywać. – Założyłam okulary

i pożegnałam go gestem dłoni.

Przechodząc koło Opery, wstąpiłam do cukierni po pączki. Nie ma to jak poprawić sobie humor sporą dawką cukru. Nie byłam zadowolona z przebiegu spotkania. Dostałam co prawda nową powieść, ale czułam się dziwnie, jakbym weszła na trzęsawisko, które może mnie wciągnąć szybciej, niż zdążę zawołać o pomoc. Z cukierni poszłam od razu do wydawnictwa. W holu podeszłam do pana Józefa.

– Przepraszam panie Józiu, nie byłam zbyt miła dla pana. Pączka na przeprosiny? Ze skórką pomarańczową, pycha. – Wyciągnęłam papierową torebkę w kierunku portiera. – Szef mnie zdenerwował.

– Nie ma problemu, pani Kingo. – Pan Józef sięgnął po pączka. – To jak z kurami.

– Kurami? – Zdziwiłam się.

– Kolejność dziobania: szef dziobie panią, pani dziobie mnie.

Poruszona życiową filozofią pana Józia, wsiadłam do windy. Na czwartym piętrze dopadł mnie gniew najwyższego.

– Z czym pani przychodzi? – Zagrzmiało w przestrzeni biurowej. Wszłam do gabinetu szefa i położyłam pamięć USB na biurku.

– Panie prezesie, mam nową powieść. Na już.

Wzrok prezesa złagodniał, spojrzał na mini-trumnę z wyrazem czułości, a następnie zwrócił spojrzenie na moją osobę.

– Pani Kingo, pani taka oficjalna, a my tu przecież jak jedna wielka rodzina. Korekta, skład, łamanie i rzucamy na rynek. – Zacierał ręce z radości. – Czytała pani?

– Jeszcze nie.

– To na co pani czeka? Proszę zabrać się do pracy. Za co pani płacę?

Zabrałam – oryginalny w kształcie – pendrive i wyszłam na spotkanie z wampirzycą Betsy. Nie było to takie złe, jak podejrzewałam. Powieść mnie wciągnęła, przez noc przeczytałam całą. Pełna zwrotów akcji, narracja pierwszoosobowa prowadzona z humorem powoduje, że czytelnik z zainteresowaniem śledzi losy bohaterki. Betsy ma pociąg do markowych butów, bardziej przejmuje się stanem czółenek, niż faktem, że przemieniła się w kreaturę wypijającą krew nieświadomym zagrożenia mieszkańcom Minneapolis.

„Zamykałam drzwiczki samochodu, kiedy pewien detal przykuł moją uwagę. Czyżby to była rysa na nowych pantoflach? Dwie pary w ciągu tygodnia! Miałam dosyć: ten styl życia zdecydowanie nie był dostosowywany do moich butów”<sup>6</sup>.

Zadowolona poszłam rano do biura, zaczęłam przygotowywać dane potrzebne do kampanii promocyjnej, gdy zadzwonił telefon; czerwona lampka oznaczała rozmowę spoza firmy.

– Wydajny i spółka, dzień dobry.

– Pani Kingo, sprawdzała pani Sienę? – Usłyszałam kobiecy głos.

– Prawdę mówiąc, nie – odpowiedziałam zaskoczona. Przez Betsy i jej buty zapomniałam o Eklerku.

– Proszę sprawdzić. Przyjdę z poprawionym tekstem w przyszłym tygodniu. – Pani Basia się rozłączyła.

„Siena. Miasto i gmina we Włoszech, w Toskanii, w prowincji Siena. Ważne centrum turystyczne”<sup>7</sup>.

Zobaczmy dalej. Zaintrygowana wpisałam w przeglądarkę *Siena*.

„W Sienie zachowana została w pełni antyczna struktura miasta. Do najwspanialszych zabytków należy katedra z XII wieku (*Duomo*), której główna fasada została ukończona w 1380 roku. W skład kompleksu wchodzi baptysterium i kampanila. W środku znajduje się oktagonalna ambona autorstwa Nicola Pisano oraz płaskorzeźby, które wykonali Donatello, Ghiberti, Jacopo della Quercia i inni XV-wieczni rzeźbiarze. Inne zabytki: główny rynek *Piazza del Campo* z *Palazzo Pubblico* i *Torre del Mangia* oraz

<sup>6</sup> Mary Janice Davidson, *Nieumarła i bezrobotna*, cykl: *Królowa Betsy*. T. 2, przeł. Ewa Spirydowicz, Agnieszka Ufland, wyd. Amber 2011, s. 57.

<sup>7</sup> Źródło: *Wikipedia*.

ratusz. Zabytkowe centrum Sieny zostało w 1995 roku wpisane na listę światowego dziedzictwa kulturalnego UNESCO”<sup>8</sup>.

Szkoła malarska zwana sienieńską założona na przełomie trzynastego i czternastego wieku...

Jeden ze starszych uniwersytetów na świecie, powstał w tysiąc dwieście czterdziestym roku...

Ze Sieny pochodził Jacopo della Quercia... W Sienie żyła i działała święta Katarzyna...

Jacopo? Nie znam.

Dwa razy do roku w Sienie odbywa się wyścig konny Palio di Siena – jedna z ważniejszych atrakcji turystycznych miasta.

Wyścigi konne? Jakiś punkt zaczepienia, powoli układanka zaczyna nabierać kształtów. Sprawdzę, kto wystawia konie, kto ostatnio wygrał. Tylko Eklerek nie był koniem wyścigowym. Nie miałam pomysłu jak to ugryźć dalej. Zastanowię się nad tym później, teraz dokończę wpisywanie danych do promocji książki Nocnego i przejdę się do Jolanty Smutny, specjalistki od PR. Przy okazji omówię projekt okładki z Jackiem Smutny – grafikiem. Nic dziwnego, że szef ciągle mówi o rodzinie, Jolanta i Jacek to jego córka i zięć. Rzadko widzi się ich na korytarzu, najczęściej siedzą zamknięci w pokoju – oni jedyni mają drzwi, które można otworzyć i zamknąć.

Co robią za zamkniętymi drzwiami? Myślę, że pracują. Zapukałam i czekałam na odpowiedź, jak do gabinetu lekarza. Po chwili usłyszałam kobiecy głos:

– Proszę wejść.

Jolanta z rozwichrzoną fryzurą stała przy biurku i oglądała foldery reklamowe.

– A to pani, pani Kingo, cóż panią sprowadza?

Zdziwiłam się, przecież nie przyszłam na ploteczki, tylko w sprawie służbowej, co innego mogłabym robić w pracy?

– Pani Jolu, trzeba będzie przygotować promocję nowej książki Nocnego w mediach. Właściwie teraz nazywa się M. Davidson. Newsy w gazetach, informacje na forach społecznościowych. Poprosić blogerów o recenzje?

---

<sup>8</sup> Tamże.

– Zrobi się, a jaki to gatunek? – Jolanta Smutny sięgnęła po katalog ze spisem adresów kontaktowych.

– Groza, horror, fantastyka.

– Napiszę do magazynu „Okolice Strachu”. Blogerów także poinformuję. Internet bez dwóch zdań. – Spojrzała na mnie i zobaczyłam czerwony ślad na szyi. Albo mam omamy albo wampiry weszły do akcji.

– Pan Jacek jest? Mógłby przygotować projekt okładki.

– Wyszedł w pilnej sprawie. – Pani Jola lekko się zarumieniła. – Przekażę mu. A w jakim stylu okładka?

– Coś seksownego, chodzi o królową wampirów. – Puściłam do niej oko.

Pani Jola upuściła folder na podłogę, pośpiesznie się pochyliła, aby pozbierać rozrzucone kartki. Jedna wpadła pod biurko, kucnęłam, żeby ją podnieść i zauważyłam leżące przy krześle czerwone, koronkowe figi. Podałam pani Joli kartkę, życząc jej miłego dnia. Wyszłam z pokoju zastanawiając się nad różnymi aspektami życia. Przychodzimy na świat, umieramy. Kółko się zamyka. Co jest ważne? Praca, miłość, pieniądze? Każdy dąży do czegoś innego. Chcemy stworzyć nowy wspaniały świat.

Uśmiechnęłam się sama do siebie na myśl o filigranowych stringach. Jolanta z mężem znaleźli sposób na zabicie biurowej nudy. Ja nie miałam z kim, moje życie było tak samo puste i bezbarwne, jak przestrzeń pod biurkiem – bez kolorowych oznak pożycia, jedynie z kotami z kurzu. Od śmierci babci Kasi swoje życie wypełniałam postaciami z książek, wymyślonymi historiami, które brałam za najprawdziwszą prawdę. Nie potrafiłam się przywiązać do osoby z krwi i kości; interesował mnie jedynie pan Darcy albo hrabia Monte Christo. Koledzy z roku wydawali się przy nich papierowi i płascy. Żaden związek nie utrzymał się dłużej niż kilka tygodni, po pewnym czasie przestałam próbować. Układ na jeden wieczór całkowicie mi wystarczał. Nie potrafiłam się przywiązać nawet do zwierzaka. Przypomniłam sobie o Zuzannie i jej koniu. Muszę do niej zadzwonić.

– Dzień dobry – mówi Kinga Alias – Czy mogłabym rozmawiać z panią Zuzanną? Tak, wiem, że nie jest w najlepszej formie, ale obiecałam zadzwonić i przekazać, co ustaliłam. Dziękuję, poczekam.

Wsluchana w ciszę w telefonie oglądałam zakurzony sufit. Biuro od dawna domagało się odświeżenia, ale szef uważał, że skoro tynk nie leci nam na głowę, to nie ma potrzeby – jego wymagania nie były zbyt wygórowane, jednak klienci mogli mieć na ten

temat inne zdanie. Autorzy na fali wybierają wydawnictwa o lśniących posadzkach. W marmurach przegląda się sukces. Z rozmyślań o hostessach oferujących szampana w długich kieliszkach wyrwał mnie słaby głos Zuzanny.

– Słucham?

– Pani Zuzanno, tu Kinga, obiecałam zadzwonić, jak się czegoś dowiem. Nie mam zbyt wiele informacji, ale wszystkie drogi prowadzą do Rzymu, to znaczy do Sieny. Czy mogłaby się pani ze mną spotkać, powiedzmy jutro?

– Tak, proszę przyjść do nas na kawę.

– Świetnie, to do jutra. Do widzenia.

Odłożyłam słuchawkę z poczuciem dobrze spełnionego obowiązku. W sobotę spokojnie porozmawiamy i rozważymy możliwe posunięcia. Usiadłam do komputera z zamiarem wyszukania niezbędnych elementów układanki.

Nazajutrz, wyspana i w doskonałym humorze, pojawiłam się pod bramą kamienicy na Czystej. Zastanawiałam się, czy wpadnę w objęcia pani Nowakowej. Sąsiadka z opowiadania Zuzanny wtrącała nos w nie swoje sprawy i mogłaby zadawać pytania, na które nie miałabym ochoty odpowiedzieć. Cenię prywatność i nie lubię mówić o sobie. Zresztą o czym tu opowiadać? Dom dziecka nie był krainą czarów.

Bez przeszkód wdrapałam się na trzecie piętro i zapukałam. Tym razem drzwi otworzyła mama Zuzanny; gładko spięte ciemne włosy zaznaczone srebrnymi nitkami nadawały jej twarzy surowy wygląd, ale kurze łapki w kącikach oczu świadczyły o skłonności do śmiechu.

– Dzień dobry, jestem umówiona z Zuzanną. Kinga Alias.

– Słyszałam o pani. Dzień dobry. Była już pani u nas? Proszę wejść do kuchni – dodała, kiedy skinęłam głową.

Usiadłam przy stole, na którym pojawiły się filiżanka kawy oraz talerzyk z ciastem. Przekładaniec, wafel posmarowany konfiturą z wiśni na przemian z masą kajmakową. Miód w gębie.

– Dzień dobry, pani Kingo. – Zuzanna wsunęła się do środka. Patrzyła na mnie z napięciem, odgarniając włosy z czoła.

Wyciągnęłam notes z zapiskami.



– Dzień dobry – odpowiedziałam z uśmiechem, pośpiesznie przełykając ostatnie kęsy wafla. – Mam kilka wiadomości i jedną propozycję.

Zuzanna usiadła, a ja wytarłam chusteczką usta z kawałków wafla i zaczęłam tłumaczyć.

– Zacznę od informacji, które zebrałam. W Sienie organizowane są dwa razy do roku zawody konne, może to mieć związek, ale nie musi. Ciekawostką jest fakt, że w ostatnich startował Eclair de Zeus, nie wygrał, ale piszą, że to koń z potencjałem.

– Jak się nazywa? Eclair? – Zuzanna pochyliła się w stronę moich notatek. – Ale on nie biega!

– Czytam pani artykuły z gazet. Na wnioski przyjdzie czas. Uważam, że koń żyje i jest szansa, aby dociec, co się z nim stało.

– Co pani chce zrobić?

– Tu leży pies pogrzebany. – Zuzanna popatrzyła na mnie z wyrzutem, ale niezrażona ciągnęłam dalej. – Musimy pojechać do Francji.

– My? – Oczy Zuzanny zrobiły się okrągłe jak spodki.

– Nie znam ani klubu, ani jeżdżących tam osób. Trzeba zachować tajemnicę. Ciekawe, jak zareaguje Carla na pani widok? Możemy wyjechać w piątek.

– Ja też pojedę. – Julia przysłuchiwała się rozmowie stojąc w drzwiach kuchni.

– A gdzie będziemy spać? Jest nas za dużo na mieszkanie u cioci. – Oszołomiona Zuzanna spoglądała na siostrę.

– Mogę spać w kuchni na dmuchanym materacu. Długo chce pani zostać? – Julia zwróciła się w moją stronę.

– Tydzień, nie dłużej, muszę wrócić do pracy.

– I czego się pani spodziewa?

Powinna zostać detektywem, zamiast malować martwą naturę. Ma smykałkę do przesłuchiwania ludzi.

– Tego, że Carla zareaguje, jeżeli to ona jest odpowiedzialna za zniknięcie Eklerka. Ludzie robią dziwne rzeczy, gdy są zaskoczeni, a ona nie spodziewa się zobaczyć pani siostry. Wyjazd ułatwił jej życie. Carla mogła odetchnąć, bo przeciwniczka poddała się.

Zuzanna wyglądała na zagubioną, jakby straciła wątek rozmowy, Julia zmarszczyła brwi.

– Czy pani nie przesadza? I skąd takie wnioski?

– Z dedukcji. Sherlocka Holmesa pani zna? – Spokojnie dopiłam kawę. – Autor Arthur Conan Doyle, proszę poczytać. Lektura poszerza horyzonty.

– Nie będziemy się teraz kłócić. – Zuza otrząsnęła się z letargu. – Jedziemy w trójkę, gdzie będziemy spać? Zresztą sprawdzimy to już na miejscu. Kto kupuje bilety?

– Ja kupię, gdy będę pewna daty wyjazdu. Mój szef jeszcze nic nie wie o projekcie. W tym momencie do kuchni weszła mama dziewczyn. Z ustami podkreślonymi szminką i przyciemnionymi rzęsami wyglądała niezwykle apetycznie, jakby to powiedział Nocny. Może ich ze sobą poznam? On miał około pięćdziesiątki, tak twierdził w wywiadach. A ona? Pięćdziesiąt? Pięćdziesiąt pięć? Czy moja mama lubiła się malować? Jak by wyglądała, gdyby żyła? Gdyby samolot doleciał do miejsca przeznaczenia, zamiast lądować awaryjnie? Las Kabacki wyrwał w mojej świadomości piętno nieszczęścia, katastrofy, która zmieniła bieg historii. Mojej historii. Odruchowo sięgnęłam do naszyjnika, dotknęłam gładkiej powierzchni pereł i powoli odzyskiwałam spokój. Perły wcale nie są – wbrew temu, co sądzi ogół – zimne i obojętne. Bije od nich blask skrywanej tajemnicy.

Pani Elżbieta Kosińska mój wzrok skupiony na niej – odczytała jako krytykę, bo szarpiąc nerwowo za zamek, otworzyła torebkę i przejrzała się w lusterku. Widząc nieskazitelną makijaż zwróciła się do córek:

– O czym rozmawiacie?

– Jedziemy do Francji. – Julia patrzyła na mnie oskarżycielsko.

– Coś z cicią? – Pani Elżbieta pobladła pod warstwą pudru.

– Nie, nic się nie stało, to pani Kinga proponuje wyjazd.

– W jakim celu? – Mama skrzywiła usta imitując uśmiech.

Jestem przekonana, że nie zrobiłam na nich dobrego wrażenia. Zbyt bezpośrednia, zamiast wybierać sposoby przypodobania się innym, stawiam na autentyczność. Nie noszę masek, ani nie ukrywam się za przybranymi pozami, co nie wszystkim przypada do gustu.

– Szukamy Eklerka.

Mama parsknęła kpiąco.

– Niedorzeczny pomysł, Zuzanna nigdzie nie pojedzie. Jest chora.

– Czy wszyscy muszą decydować za mnie? – Zuzanna z zarumienioną twarzą zwróciła się do mamy. – Chcę pojechać, może dowiem się czegoś nowego, a Kinga ma ochotę mi pomóc! – Zamilkła na moment, jakby zabrakło jej odwagi, ale po chwili zwróciła

się do mnie, mówiąc pewnym głosem: – Jeśli mamy jechać razem, to mówmy sobie po imieniu.

– Co zrobicie, gdy okaże się, że to szajka przestępców? Ukradli konia, żeby go sprzedać z zyskiem, a jak wejdziecie im w drogę, to wystrzelają was jak kaczkę.

– Mamo, za dużo kryminałów oglądasz. Pojedziemy na kilka dni, odwiedzimy ciocię w szpitalu, sprawdzimy w klubie, czy mają nowe informacje i wrócimy do domu. – Zuzanna wyglądała jakby wróciła jej chęć działania. Pomysł wyjazdu wyrwał ją z ośpienia, podeszła do mamy

i pocałowała ją w policzek. Pani Kosińska uściśnęła córkę i wyciągnęła do mnie rękę na pożegnanie.

– Idę do pracy, mam spotkanie z klientem, porozmawiamy, kiedy wrócę. Nie powinno to długo trwać. Do widzenia pani.

– Do widzenia. – Uściśnęłam dłoń aksamitną w dotyku. Ręce to najlepsza wizytówka. Osoby pracujące fizycznie mają skórę szorstką i chropawą, moja rozmówczyni na pewno nie pracowała w fabryce.

– Ja też niedługo pójdę, ustaliłyśmy chyba wszystko. Zadzwoń, gdy kupię bilety.

Zuzanna pokiwała głową w odpowiedzi, a Julia zaczęła znosić przybory do malowania, mruknęła coś niezrozumiale pod nosem, gdy się żegnałam.

Po powrocie do domu wyjęłam czerwony skoroszyt, usiadłam w fotelu – jedynym, jaki posiadałam – i odnalazłam fragment mówiący o Julii i malowaniu przez nią martwych natur.

Powinnam ją lepiej poznać przed podróżą.

– *Dlaczego we Francji?*

– *Zapomniałam ci powiedzieć. Przyszedł list od Józefiny. Leży w przedpokoju. – Mama weszła Julii w słowo, przesuwając w stronę starszej córki jej ulubiony kubek z czarnym kotem,*

*logo kabaretu „Le Chat Noir”.*

– *Dziękuję. – Zuzanna ogrzała ręce o ciepłe naczynie.*

– *Co za pomysł kazać mówić do siebie Józefina. – Julia pokręciła głową, a koński ogon zatańczył w rytm jej ruchu.*

– *Brzmi lepiej niż Józefa. I co pisze?*

– *Proponuje ci pensję w zamian za opiekę – odpowiedziała mama, hałasując garnkami wyciąganymi z szafki.*

– *Nie wiem. – Zuzanna w zamyśleniu oparła się o ścianę. – Może znajdę tutaj pracę... – powiedziała bez przekonania i pociągnęła łyk kawy*

– *Możesz wyjechać tylko na kilka miesięcy, później wrócisz. Zwiedzimy Paryż, będzie ekstra! – zawołała Julia pełna entuzjazmu.*

– *Przecież nie musisz odpisywać w tej chwili. Kiedy się zastanowisz, to podejmiesz decyzję. – Pani Kosińska jak zwykle myślała racjonalnie.*

*Zuzanna postawiła kubek na blacie, gdzie na ozdobnym talerzu leżała ryba w otoczeniu marchewki, ziemniaków i cebuli.*

– *Na obiad będzie ryba? – zaciekawiała się.*

– *To nie ryba, to martwa natura – odpowiedziała wyniośle Julia – Właśnie maluję.*

– *Malujesz? – Zuzanna sięgnęła po szkicownik, który leżał na krześle. Na kartkach widniały szkice, pokreślone ze złością, jakby Julia uznała, że są do niczego. Położyła szkicownik przed Julią, stukając palcem w pustą kartkę.*

– *Czekam na natchnienie.*

– *Zanim się doczekasz, ryba się zepsuje. Możesz znaleźć inny temat.*

*Mama zaczęła skrobać rybę w zlewie.*

– *Zuza, obierz warzywa, proszę.*

– *Julia, podaj mi nóż i deseczkę do krojenia. – Zuzanna położyła szkicownik na blacie i usiadła przy stole, przesuwając pozostawione w nieładzie pędzle i farby. – O co chodzi z tą martwą naturą? – zapytała, obierając marchewkę.*

– *To temat ćwiczenia na zajęcia z malarstwa – odparła obrażona Julia. – I co mam teraz zrobić? Namalować pusty talerz?*

– *Gdy zjemy rybę, dostaniesz ości – roześmiała się Zuzanna.*

– *Bardzo śmieszne. – Julia skrzywiła się z dezaprobatą.*

– *Andy Warhol malował puszki z zupą albo butelki po coli. A tak przy okazji, obraz „Lekcja anatomii doktora Tulpa”, to też jest martwa natura?*

– *Tam jest tylko jeden martwy, reszta jest żywa – odparła Julia.*

– *To namaluj samych martwych.*

– Dziewczynki, możecie zmienić temat? – Pani Elżbieta nie doceniła rozważań na temat martwej natury. Włożyła rybę do żaroodpornego naczynia, przykryła masłem startym na wiórki i zwróciła się w stronę Zuzanny.

– Skończyłaś z warzywami?

– Prawie. Cebula mnie piecze w oczy.

– Julia, rozłóż talerze, proszę.

– Nie ma miejsca. – Julia patrzyła na stół, gdzie na jednym końcu Zuzanna obierała warzywa, a na drugim leżały przybory malarskie.

– Pochowaj pędzle i farby, to miejsce się znajdzie. Nie mam teraz czasu na przepychanki z wami. Idę na drugą zmianę, zjem obiad i wychodzę – w głosie mamy zabrzmiała nuta zniecierpliwienia, ale po chwili zapytała już normalnym tonem: – Co w pośredniaku?

Zuzanna zwleką z odpowiedzią. Wiedziała, że pytanie padnie wcześniej czy później, a nie chciała rozczarować mamy, która patrzyła na nią pytającym wzrokiem.

– To samo co miesiąc temu. Muszę szukać sama. – Podeszła do zlewu i odkręciła wodę. – Aha, mogę pracować w Lotto.

– I? – zapytała mama, wkładając rybę do piekarnika.

– Będę sprzedawać losy.

– Super! Możesz sprawdzać, które są pełne. Wygramy miliony! – zawołała zachwycona Julia.

– Co zrobisz z tymi milionami? – spytała spokojnie Zuzanna, myjąc ręce.

– Będę podróżować, zwiedzę Paryż, Wenecję, Londyn, zobaczę wszystkie muzea. A ty kupisz sobie konia!

Zuzanna zeszywniała przy zlewie. Nie patrzyła na Julię, żeby nie pokazać, jak bardzo dotknęły ją słowa siostry. Kupno konia już dawno odłożyła na półkę z niezrealizowanymi marzeniami. Utrzymywały się z pensji matki, oglądając każdy grosz, zanim decydowały się go wydać. Julia kupowała przybory malarskie dzięki pomocy babci i wujka – brata mamy. Koń był poza zasięgiem ich możliwości.

– Mogłabyś wystartować w zawodach, no wiesz, tych, w których nie mogłaś brać udziału, bo...

– Julia, przestań. – Zuzanna oparła głowę o zimne kafelki.

*W kuchni zapanowała cisza. Julia pozbierała rozrzucone pędzle i farby, po czym wyszła. Mama objęła Zuzannę ramieniem.*

*– Kiedyś kupisz sobie konia.*

*Nie chcę żadnego innego konia, pomyślała Zuza. Spojrzała na mamę. Twarz kobiety znaczyły zmarszczki wokół oczu i ust. Włosy gładko upięte w kok nadawały jej surowy wygląd. Wyglądała starzej niż wskazywał wiek w metryce.*

*– Tak, mam, może kiedyś.*

*Obiad zjadły w milczeniu przerywanym stukaniem widelców o talerze i prośbami o podanie warzyw czy chleba. Gdy skończyły posiłek, mama włożyła swój talerz do zlewu i wyszła z kuchni. Z przedpokoju słychać było brzęk pudełek o blat szafki, prawdopodobnie malowała się przed wyjściem do pracy. Po chwili weszła do kuchni ubrana w wełniany granatowy płaszcz i czarne kozaczki. Z torebką w rękę podeszła do córek, żeby je ucałować.*

*– Czemu siedzicie takie naburmuszone? – zapytała, uśmiechając się.*

*W odpowiedzi usłyszała tylko niezrozumiałe pomruki.*

*– Mogę wrócić późno, nie czekajcie z kolacją.*

*Po wyjściu mamy Zuzanna poszła do dzielonego z siostrą pokoju i wzięła książkę pozostawioną na szafce nocnej. Gdy wróciła, Julia rozkładała rekwizyty niezbędne do malowania. Na stole postawiła dzbanek z kwiatami wyciętymi z papieru, a na talerzu ułożyła plastikowe owoce. Zuzanna usiadła i przyglądała się z zainteresowaniem poczynaniom siostry.*

*– Te owoce są z plastiku – powiedziała, kładąc książkę na kolanach.*

*– Tak, nie będę za każdym razem kupować świeżych.*

*– Wyglądają dziwnie.*

*– Nie masz zupełnie wyobraźni. Nie będę tego malować tak, jak wygląda. Muszę zachować proporcje, a reszta to kwestia talentu. – Julia odwróciła się do siostry machając plastikową gruszką.*

*– Dobrze, nie denerwuj się. – Zuzanna przeniosła wzrok na książkę i przerzuciła strony.*

*Przez pewien czas słychać było jedynie tykanie zegara i szelest przewracanych kartek.*

*– Z tym wyjazdem do Francji... – Przerwała ciszę Julia. – Dlaczego nie chcesz jechać?*

Oderwałam oczy od tekstu i spojrzałam przez okno. Nie miałam firanek, szyby przesłaniały żaluzje, pomiędzy niebieskimi listewkami widziałam sąsiednie bloki z zapalonymi światłami. Może Julia czuła się winna, że namawiała siostrę na wyjazd? Może miała wyrzuty sumienia, bo po zniknięciu konia Zuzanna wpadła w depresję? Boi się o nią, to zrozumiałe, a ja stanowię zagrożenie.

Włączyłam muzykę i przy dźwiękach „Marsza tureckiego” Mozarta przygotowałam sobie kolację.

Niedzielę spędziłam w objęciach Rhetta Butlera, na ławce w ogrodzie botanicznym. Promienie słońca łaskotały mój kark, kiedy pochylona nad książką przenosiłam się do Południowej Karoliny. Ale w poniedziałek, kiedy wysiadałam z tramwaju, chmury zakryły słońce, a krople deszczu pracowicie zaczęły zmywać kurz z chodników i strumieniami spływały do studzienek kanalizacyjnych. Przechodnie chronili się pod parasolami, a ja zarzuciłam kaptur na głowę i skierowałam się w stronę budynku, w którym znajdowały się biura wydawnictwa Wydajny i spółka. Obrotowe drzwi wciągnęły mnie do holu, gdzie czekał pan Józef w białych rękawiczkach. Westchnęłam i podałam mu dłoń. Po ceremonii powitania wjechałam windą na czwarte piętro. Rozsiadłam się jak mogłam najwygodniej w fotelu, aby przejrzeć dokumenty w programie Word, kiedy do pokoju wpłynęła pani Basia.

– Przeczytałam i poprawiłam. Proszę, tutaj jest pani powieść. Nie powiem, żeby mnie zbyt mocno ekscytowała... – Zrobiła dziwną minę, kładąc teczkę na biurku.

– To pierwsza wersja. Napięcie się podkreści. – Uśmiechnęłam się promiennie. Przyzwyczaiałam się, że nasza korektorka przechodzi do sedna bez wstępów, typu dzień dobry czy piękny mamy dzień. Herbaty nie proponowałam. Samowara nadal nie mieliśmy.

Spojrzała na mnie zaskoczona.

– Jak to pierwsza wersja? Przecież ma być na już.

– Na już mamy Nocnego.

Dalej nie rozumiała. Patrzyła na mnie zdziwionymi oczami, w których przeglądało się niebo.

– Marek Nocny, autor powieści grozy. Pisze najczęściej o wampirach – wyjaśniłam spokojnie.

– Nie czytałam. – Pani Basia nagle się zamyśliła, ściągnęła brwi, a na czole pojawiła się zmarszczka. – Nie pamiętam, chyba z nim nie pracowałam.

– Nie. On bardzo dobrze pisze, jego teksty nie wymagają korekty, a estetyczne poprawki wprowadzam sama.

– Stara szkoła. – Jej twarz rozjaśniła się, aż zaczęła bić od niej tajemnicza aura. – Młodzi już tak nie piszą – dorzuciła z westchnieniem.

Pani Gienia zajrzała do pokoju.

– Ma pani gościa.

W progu stanął Marek Nocny we własnej osobie.

– O wilku mowa – powiedziałam, wychodząc zza biurka. – Dzień dobry.

Podaliśmy mu rękę, którą ucałował czule. Następny galant do kolekcji.

– Pani Basiu, przedstawiam pani naszego czołowego autora.

Gdy Marek Nocny spojrzał na Basię, zobaczyłam jak między nimi przeskakuje iskra. Oczy korektorki zrobiły się ogromne jak jeziora w Szkocji, a znany autor powieści wampirycznych nieomal padł na kolana, całując obie jej dłonie. Faj, pomyślałam mimo woli. Jak z komedii sentymentalnej. Musiałam mieć nietęgą minę, bo Marek szybko się wyprostował, a Barbara zaczęła nerwowo wygładzać włosy.

– To my już pójdziemy – powiedziała słabym głosem.

My? Zdziwiłam się tak bardzo, że aż otworzyłam buzię.

Basia złapała Marka za rękę i pociągnęła w głąb korytarza. Poszedł, wpatrzony w nią cielejącym wzrokiem.

– Ale historia – powiedziałam na głos.

– Mówiła pani coś? – Gienia wsunęła głowę przez otwór w ścianie.

– Mówiłam, że straciłam kontakt z rzeczywistością.

Gienia przyjrzała się uważnie.

– Zaraz ją pani odzyska. Szef panią prosi.

Idąc korytarzem, zastanawiałam się, czego może chcieć. Nie przygotowałam promocji książki, bo tym zajmuje się Jolanta i jej małżonek Jacenty Smutny. Niech z pretensjami zwróci się do nich. W końcu za coś im płaci.

– Z czego się pani tak cieszy?

Pytanie szefa zbiło mnie z nóg. Bezwiednie uśmiechałam się do moich myśli.

– Marek Nocny złożył mi wizytę – powiedziałam szybko.

Spojrzał na mnie z niedowierzaniem znad gęstych, oprószonych siwizną brwi.

– I to panią tak cieszy?



Wzruszyłam ramionami.

– W jakiej sprawie mnie pan wezwał?

– Chcę, aby dopilnowała pani promocji książki. Wszystko ma być zapięte na ostatni guzik.

Mina mi zrzedła.

– Tym powinna się zająć pani Jola... – W moim głosie zabrzmiała nuta niepewności.

– Jolka... – zamyślił się na chwilę. – Nie wiem, czym ta dziewczyna się zajmuje, ale praca nie posuwa się do przodu.

Ja wiem – chciałam powiedzieć, ale ugryzłam się w język. Nie byłam przekonana, czy ta wiedza jest szefowi do czegoś potrzebna.

– Jadę do Francji – zdobyłam się na odwagę, żeby opowiedzieć o moich planach.

Prezes się naburmuszył, wyglądał jak chmura gradowa.

– Mamy ważniejsze rzeczy na głowie, przyjemności odłóży pani na później.

– Nie mogę, w piątek wyjeżdżam, i to nie są przyjemności, tylko praca nad książką pani Kosińskiej! Poza tym mam jeszcze zaległy urlop!

– Ja tej pracy pani nie zlecałem, a na urlop nie ma teraz czasu. Może już pani nie wracać – burknął obrażony i najwyraźniej rzeczywiście tak myślał, bo dodał poważnym głosem, patrząc w kierunku okna: – Złoży pani wypowiedzenie u pani Jadwigi, zatrudnię kogoś na pani miejsce. Dostanie pani odprawę, oczywiście.

Pochylił się nad papierami, dając do zrozumienia, że rozmowa skończona.

Nogi miałam jak z waty, gdy wracałam do pokoju, który jeszcze piętnaście minut temu uważałam za własny. Deszcz spływał po szybach, jak łzy po policzkach. Tyle pracy na marne. Dwa lata życia przekreślone, bo nie chciał mi przyznać urlopu. Przecież to się w głowie nie mieści, żeby w ten sposób traktować pracowników. Pociągnęłam nosem, szukając w torebce chusteczki. Czulałam się urażona, moja duma własna doznała uszczerbku.

Zaczęłam pakować rzeczy, gdy do pokoju wkroczyła Jadwiga Wrzeszcz z kartką papieru w ręce. Wręczyła mi ją z radosnym uśmiechem.

– Pani wypowiedzenie, tutaj trzeba podpisać.

Postukała w kartkę czarnym paznokciem. Kolor lakieru dobrany do okoliczności. Udałam, że wycieram nos i osuszyłam łzy. Niedoczekanie, aby ta zołza miała powód do

radości. Sięgnęłam po długopis i podpisałam papier. Jadzia sprawnym ruchem wyciągnęła go z moich dłoni.

– *Adieu* – rzuciła na wychodnym.

Zabrałam zdjęcia rodziców i babci, przeszukałam szuflady, ulubiony różowy długopis i notatnik w sowy wrzuciłam do torebki. Nikomu nie musiałam zostawiać klucza. Windą zjechałam na parter. Nieprzyjemne wiadomości rozchodzą się lotem błyskawicy, podejrzewałam, że pan Józef był na bieżąco z firmowymi nowinkami, ale nie zrobił wyjątku i jak co dzień pochylił się całując moją dłoń. Zrobiło mi się ciepło w okolicach serca – jednej osobie będzie mnie brak. Pan Józef przyłożył dwa palce do czapki, stuknął obcasami, a obrotowe drzwi po raz ostatni wypuły mnie na zewnątrz.

Wracając do domu, kupiłam bilety do Paryża.

– W środę? – Julia omal się nie zakrztusiła. – Jak to w środę? Miało być w piątek.

– Zmiana planów. Szybciej dostałam hmm... urlop. – Nie miałam zamiaru wtajemniczać jej w komplikacje zawodowe. – Wyjazd o dwudziestej z dworca autobusowego. Proszę przyjść wcześniej, oddamy bagaże razem.

W słuchawce zapanowała cisza, Julia zastanawiała się nad odpowiedzią.

– Dobrze, przyjdziemy wcześniej.

Pożegnałyśmy się i odłożyłam telefon, rozmyślając nad sytuacją. Brak pracy nie stanowi wielkiego problemu, przynajmniej przez pewien czas. Odłożyłam pieniądze na czarną godzinę, a teraz właśnie nadszedł czas próby. Gdy wyjaśnimy zniknięcie Eklerka, wyłożę potrzebną kwotę na wydanie powieści *Tango z koniem*. Kłopoty zaczną się, gdy położę sprzedaż, ale tym będę się martwić później. Podbudowana na duchu zajrzałam do lodówki, ale zobaczyłam tylko światło. Chcąc nie chcąc, wybrałam się na zakupy. Nie chciałam zapychać lodówki przed wyjazdem, dlatego postanowiłam żywić się kanapkami.

W środę spakowałam walizkę na tydzień, włożyłam czarną sukienkę i trencz, a szyję owinęłam jedwabnym szalem. Ulubiony naszyjnik zostawiłam w domu z obawy, że mogłabym w podróży o coś zaczepić – i perły, srebrną kaskadą, posypałyby się po podłodze. Całości dopełniły niebieskie czółenka dopasowane pod kolor paznokci. Tak przygotowana wyszłam na spotkanie przeznaczenia.

Julia z Zuzanną czekały na dworcu, odprowadzała je mama. Zauważyłam, że miała zaczerwienione oczy.

– Dzień dobry – powiedziałam nieśmiało.

– Dzień dobry – Pani Kosińska podała mi rękę. – Mam nadzieję, że to będzie owocny wyjazd.

– Ja również.

– Dziewczynki rozliczą się z panią po przyjeździe. Nie będzie pani płacić za ich bilety.

Uśmiechnęłam się w odpowiedzi, kwestia pieniędzy była dla mnie niezwykle delikatna. Cieszyłam się, że sama podjęła temat.

– Wzięła pani coś do czytania? Podróż zajmie około szesnastu godzin. Mój brat wyjedzie po was, bo z Paryża trzeba dojechać do Saint-Nom-La-Bretèche.

– Mam dwa tomy *Millenium* Larssona, powinno wystarczyć. Dziękuję, to miłe, że pomyślała pani o wszystkim.

– *Millenium*? Nie znam. – Popatrzyła na mnie pytająco.

– Historie kryminalne, z którymi styka się dziennikarz Mikael Blomkvist z *Millenium*, czyli gazety poruszającej tematy ekonomiczne.

Kiwnęła głową, ale nie wiem czy moja opowieść ją porwała.

– Dziewczynki, przywitajcie się z panią Kingą – zwróciła się do stojących obok córek. Julia cała na czarno wyglądała jak komandos przygotowujący się do akcji. Nie miała przyjaznej miny, podając mi rękę. Zuzanna ze świeżo ułożoną fryzurą, podmalowana, w jeansach, koszulce z napisem „I Love You” oraz narzuconą na ramiona grafitową marynarką wyglądała ponętnie i zachęcająco. Nikt nie mógłby przypuszczać, że kilka dni temu była ofiarą depresji. Uśmiechnęła się na przywitanie.

– Cześć, fajnie cię widzieć.

Odpowiedziałam uśmiechem.

– Ciebie też. Nie macie problemów w podróży? – zwróciłam się z pytaniem do obu siostr.

Julia posłała mi mordercze spojrzenie i włożyła słuchawki do uszu.

– Nie – odpowiedziała Zuzanna. – Masz plan?

Zmieszałam się. Nie miałam, ale nie chciałam się do tego przyznać.

– Przyjedziemy na miejsce, rozejrzemy się, a następnie pojedziemy do klubu. Zobaczymy, jakie zrobisz wrażenie? Kto się wystraszy?

– Myślisz, że kogoś spłoszymy?

– Bez dwóch zdań. Nikt się ciebie w klubie nie spodziewa?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Wypłoszymy ptaszka z kryjówki.

– Mam nadzieję, że nie będzie to niebezpieczne – dorzuciła zaniepokojona mama.

– Zostanę w pobliżu.

Wtedy nie wiedziałam, jak bardzo się myliłam i że zbyt lekko podeszłam do tej podróży. Traktowałam to jak przygodę, wyzwanie. Pociągała mnie tajemnica kryjąca się za zniknięciem konia. Nie myślałam o konsekwencjach.

Autobus z napisem „Paryż” wjechał na stanowisko, dziewczyny rzuciły się mamie na szyję, a ja czekałam w kolejce do wejścia.

Po sprawdzeniu paszportów i włożeniu bagażu do luku zajęłyśmy miejsca w środku. Siostry razem, ja po drugiej stronie przejścia, przy oknie. Obok mnie rozsiadł się młody człowiek z dredami na głowie i słuchawkami zakrywającymi pół twarzy. Rozmowa nie wchodziła w grę, z czego skorzystałam, wyciągając z podręcznego bagażu drugi tom *Millenium* i nakładając słuchawki. Kierowca po przywitaniu i objaśnieniu przejazdu, włączył amerykański film akcji. Wyłączyłam się, całkowicie wchodząc w pokręcony świat Lisbeth Salander. Inteligentna. Fotograficzna pamięć pomaga jej w rozwiązaniu zagadek zarówno kryminalnych, jak i matematycznych. Aspołeczna, uwodzi młodego mieszkańca Grenady równie sprawnie jak wypija butelki miejscowego piwa...

Po dwóch godzinach kierowca zarządził postój, większość pasażerów wyszła na zewnątrz, aby rozprostować nogi, zjeść kolację albo porozmawiać z towarzyszami podróży. Wsunęłam do torebki przybory toaletowe, zabrałam książkę i ustawiłam się w kolejce do łazienki, obok mnie stanęła Zuzanna.

– Co czytasz?

Pokazałam jej stronę tytułową.

– *La fille qui revait d'un bidon d'essence*<sup>9</sup>...– urwała i zaskoczona zapytała: – Znasz francuski?

– Tak, moja babcia była Francuzką.

Popatrzyła na mnie z zaciekawieniem.

– Opowiedz o niej.

– Może kiedyś.

---

<sup>9</sup> Stieg Larsson, *La fille qui revait d'un bidon d'essence*, Actes Sud 2006. [Dziewczyna, która igrała z ogniem] tłum. aut.

Zmieszała się i zmieniła temat.

– Byłaś już w Paryżu?

Roześmiałam się, kręcąc głową.

– Nie miałam okazji, ale dużo czytałam. *Paris macabre*, znasz?

– Nie słyszałam.

– Polecam, opisuje wszystkie makabryczne historie, które miały miejsce w Paryżu.

– Brzmi ponuro, wolę weselsze opowieści.

– Ponure, ale ciekawe, o tym jak Balzak zwiedzał paryską ubojnię zwierząt.

Urwałam. Niestety nie zdążyłam ugryźć się w język, a Zuzanna spłoszyła się i zapadła w sobie. Następnym razem powinnam opowiedzieć jej o babci, zamiast gadać głupoty.

– Ale to było w dziewiętnastym wieku – wyjaśniłam, jakby to mogło poprawić sytuację.

Uśmiechnęła się smutno, a ja weszłam do wolnej kabiny. Gdy wyszłam, Zuzanny nie było. Wracając do autobusu, myślałam o tym, jaka jestem niedelikatna i bez wyczucia, podchodzę do ludzi obcesowo, jak Lisbeth Salander. Podobnie jak ona lubię rozwiązywać zadania logiczne, nie mam problemów ze zrozumieniem, jak funkcjonuje większość urządzeń, choć wynika to z faktu, że dużo czytałam, a nie ze specyficznego uszkodzenia mózgu. Obie wychowywałyśmy się w instytucjach społecznych, miałyśmy więcej wspólnego, niż można by było przypuszczać.

W autobusie Julia spała przy oknie wtulona w fotel, miejsce Zuzanny pozostało puste. Przyszła wraz z ostatnią grupą podróżnych.

Śniadanie jedliśmy już we Francji, obie siostry siedziały razem przy stoliku, na którym stały dwie filiżanki i talerz z rogalikami. Zuza ręką poklepała krzesło, gdy stanęłam w wejściu przydrożnej restauracji.

– Chodź do nas – zawołała wesoło. Widocznie zapomniała o moim wczorajszym *faux pas*.

– Jak spałyście?

– Jako tako – Julia przyjęła postawę naturalną, licząc się z tym, że miałyśmy ze sobą spędzić cały tydzień.

– Nie umiem spać w takich warunkach – poskarżyła się Zuzanna. – Myślałam całą noc o tym, co zastaniemy w klubie.

Zerwałam się z krzesła

– Skoczę po kawę. Ktoś chce? – zapytałam pośpiesznie, aby zejść z niebezpiecznego tematu.

Zuzanna sięgnęła do torebki i podała mi banknot.

– Nie będziesz za nas płacić, dla siebie weź także, ja stawiam, na kawę mnie jeszcze stać. – Mrugnęła łobuzersko okiem.

Zapłaciłam za kawę, napełniłam trzy filiżanki w ekspresie, ułożyłam na tacy i przyniosłam do stolika.

– Jeszcze sporo czasu do Paryża, macie coś do czytania? – Oddałam resztę pieniędzy i postawiłam filiżanki z kawą.

– Przeglądam internet, a poza tym słucham muzyki. – Julia widocznie nie była zwolenniczką słowa drukowanego.

– Mam *Życie z depresją* – pochwaliła się Zuzanna – Nic tak nie poprawia nastroju jak świadomość, że depresja nie jest wyrokiem.

– Mówiliśmy ci o tym z mamą wiele razy, podobnie jak doktor Adamski, ale nie chciałaś słuchać. – Julia spojrzała na siostrę z wyrzutem.

– Prawdę mówiąc, dopiero teraz to do mnie dotarło. – Zuzanna uśmiechnęła się rozbrajająco i zwracając się w moją stronę, spytała: – Ty pewnie czytasz *Millenium*. Lubisz kryminały?

– Wszystko lubię, ale kryminały pozwalają poznać zawilosci ludzkiej psychiki. Motywacje są jak układanka. Trzeba znaleźć wszystkie elementy, aby stworzyć obraz.

– Zastanawiałaś się, dlaczego Eklerek zniknął? – Zuza z uwagą wpatrywała się w filiżankę z kawą, jakby chciała czytać z fusów. Fusów tam nie było.

– Zazwyczaj ludzi motywują pieniądze albo władza. Uznanie. Co jeszcze ludzi skłania do podjęcia ryzyka? Podsumujmy: nie skakał, nie biegał. Coś szczególnego? Rzadka rasa? – starałam się znaleźć trop.

Zuzanna pokręciła przecząco głową.

– Koń jakich wiele.

– Pasażerowie się zbierają. – Julia odwróciła głowę w stronę wejścia, obserwując grupkę osób.

Koń jakich wiele... powtarzałam w myślach, wypiłam zimną kawę, rogalika włożyłam do kieszeni trenca i wyszłam z restauracji.

W autobusie nie mogłam skupić się na czytaniu, gdyż pasażer po prawej prowadził niekończące się rozmowy telefoniczne. Zapewniał wszystkich znajomych po kolei, że będzie na czas i nie muszą się martwić. Następnie wtajemniczał ukochaną w zawiłościach labiryntu uczuć. Jak dla mnie wystarczyłoby pięć minut, ale on opowiadał dobrych kilka godzin. Mówi się, że szczęśliwi czasu nie mierzą. Od miłosnych historii sąsiada rozboleła mnie głowa, żałowałam, że zatyczki do uszu zostawiłam w domu. Nie byłam nawet pewna, czy wzięłam tabletki przeciwbólowe. Zatopiona w ponurych rozmyślaniach nie zauważyłam zjazdu na obwodnicę Paryża. Nagle moim oczom ukazało się miasto, o którym Henryk IV powiedział, że warte jest mszy.

## Rozdział 5

Z nosem przyklejonym do szyby obserwowałam budynki, szerokie ulice, mijające nas z prędkością światła samochody. Wszystko wydawało się pociągające i warte uwagi. Otwierało się przede mną miasto, o którym tyle słyszałam od babci, chciałam zgłębić jego tajemnice, spacerować bulwarami, odwiedzić ogrody założone przez Katarzynę Medycejską, żonę Henryka II – miłośnika turniejów rycerskich. Chciałam wyjść naprzeciw zagadkom przeszłości, kierowana potrzebą poznania miejsca, gdzie historia i współczesność przenikają się wzajemnie. Spijałam widoki przesuwające się przed moimi oczami.

Zauważyłam w oddali metalową konstrukcję – literę A rysującą się na tle nieba.

Wieża Eiffla. Miała wpisać się w krajobraz na czas wystawy światowej i obchodów stulecia rewolucji – została na stałe jako symbol miasta. U jej stóp rozciągają się Pola Marsowe, miejsce dawnych manewrów wojskowych, a także wyścigów konnych. W tysiąc osiemset osiemdziesiątym dziewiątym – roku wystawy – miasto przejęło teren od wojska. Od tysiąc dziewięćset ósmego roku zaczęło się przekształcanie terenów militarnych w park. Prace, rozpoczęte w *belle époque*, zakończone w szalonych latach dwudziestych, nadały mu obecny kształt. Jest to ogród otwarty dla publiczności, zarówno w dzień, jak i w nocy.

Rozmyślając nad historią miasta, zapomniałam o rozgadany sąsiedzie, a co ważniejsze – o bólu głowy.

Zatrzymaliśmy się na placu Zgody, dawnym Republiki, gdzie w czasie rewolucji zostali straceni Ludwik XVI i Maria Antonina. Zawahałam się na chwilę. Przecież Ludwik XVIII, brat ostatniego króla, pojawił się na tronie Francji zaraz po klęsce Napoleona w Rosji w roku tysiąc osiemset czternastym! Historia kołem się toczy. Jeden odchodzi, koronę zakłada drugi.

Po wyjściu z autobusu rozglądałam się wkoło tak, że omal głowa mi nie odpadła. O ironio, na placu Republiki niejedna głowa rozstała się z resztą ciała, ja jednak wolałam zachować moją na swoim miejscu.

Nie wiedziałam, czemu przyglądać się najpierw: czy fontanom, czy ogrodom Tuileries, czy budynkom po stronie ulicy Royal. Stałabym dalej, niezdecydowana na co patrzeć, gdyby nie Zuzanna. Podeszła do mnie i klepnęła lekko w ramię.

– Jutro przyjedziemy zwiedzić Paryż, teraz trzeba odebrać bagaże.

– Dobrze – Pozwoliłam jej zaprowadzić się do luku bagażowego, gdzie odebrałyśmy nasze walizki. Julia stała nieco dalej i rozmawiała przez telefon, po chwili się rozłączyła i przywołała nas ruchem dłoni.

– Musimy podejść, gdyż tutaj nie ma gdzie zaparkować. – Złapała walizkę za rączkę, a następnie ruszyła przed siebie. Niewiele myśląc, ruszyłyśmy jej śladem.

Szłyśmy ulicą de la Reine – możliwe, że nazwanej tak na pamiątkę Marii Antoniny, ostatniej królowej Francji.

Baldachim z liści otaczających nas drzew chronił przed promieniami słońca, na trawnikach udekorowanych kwiatami gołębie szukały okruchów strzepniętych przez wracających do pracy Paryżan... Było ich jednak niewiele. W sierpniu mieszkańcy opuszczają stolicę, miasto przejmują w posiadanie turyści. Turyści, tacy jak ja, z zadartymi głowami podziwiają widoki, zamiast patrzeć pod nogi i rzucać okruchy ptakom.

– Uwważaj, zaraz wejdiesz w psią kupę! – Zuzanna ze śmiechem złapała mnie za ramię i ściągnęła na bok.

Jeszcze tego brakowało, abym upaćkała samochód wujka dziewczyn. Na stałe wpisałabym się w historię rodziny. Oglądałam buty, czy aby na pewno były czyste, gdy usłyszałam męski głos.

– Dzień dobry, pani Alias. Tomasz Radwański, miło mi.



Podniosłam oczy. W polu mojego widzenia pojawił się otoczony promieniami słońca Apollo we własnej osobie i uśmiechał się do mnie, wyciągając rękę na powitanie. Stałam jak żona Lota zamieniona w słup soli. Po chwili uścisnęłam mu dłoń, mamrocząc „Dzień dobry”. Wysoki, barczysty, z kilkudniowym zarostem, ciemne, krótkie włosy przetykały srebrzyste nitki. Wpatrywał się we mnie, a w jego szarych oczach migotały ogniki. Koszula z krótkim rękawem o stalowym kolorze podkreślała barwę tęczy. Brązowe lniane spodnie ze skórzanym paskiem i mokasyny na nogach uzupełniały obraz mężczyzny na wakacjach.

– Ciekawe nazwisko...

Nie będę na ulicy zwierzać się z mojego życia, nawet jeśli wygląda jak grecki bóg światła. Zmieniłam nazwisko, gdyż po śmierci taty dziadkowie odrzucili propozycję opieki nad sierotą. Nie chcieli wychowywać dziecka „prostyutki”, jak tłumaczyli. Opowieść byłaby długa i skomplikowana.

– Płynę pod prąd i stąd nazwisko, które może pasować do każdej postaci.

Nie wiem, czy zrozumiał moje tłumaczenie, ale uśmiechał się dalej, tylko oczy zmrużył, jakby oślepiiony blaskiem słońca.

– Włożymy bagaże i odjeżdżamy, inaczej dostanę mandat. Cześć dziewczyny, cieszę się, że was widzę. – Objął obie siostrzenice i przytulił do siebie.

– Kości mi połamiesz – zawołała Julia, odsuwając się ze śmiechem.

Otworzył bagażnik czerwonego clio i zapakował nasze torby.

– Dobrze, że nie jesteście grube, bo samochód nie jest zbyt duży.

Dziewczyny zajęły miejsca z tyłu, a ja usiadłam obok kierowcy. Nie wiedziałam, jak się zachować w towarzystwie mężczyzny, który wywierał na mnie elektryzujące wrażenie, bałam się ruszyć, aby go nie dotknąć i nie dać mu odczuć, że nie jest mi obojętny. Patrzyłam przed siebie, kiedy on zakładał okulary przeciwsłoneczne, przygotowując auto do opuszczenia parkingu i wjazdu na ulicę. Gdy włączył się do ruchu, puścił radio.

– Jakiej muzyki słuchacie? – Spojrzał we wstecznym lusterku na dziewczyny.

– Co dają. – Zuzanna nie była wybredna.

– Masz SkyRock? Przynajmniej byłoby coś rytmicznego.

– Lubisz mocne uderzenie? Nie wiem, jakie stacje odbiera to urządzenie. Mogłaby pani sprawdzić? – zwrócił się do mnie.

Przeszukałam wszystkie kanały, wyciskając z radia tylko piski i trzaski. Kierowca uśmiechał się sam do siebie, co mnie wyprowadzało z równowagi.

– To może płytę pani znajdzie? Zuza, masz gdzieś płyty?

Aha, czyli samochód należy do Zuzanny.

– W schowku powinno być pudełko z krążkami.

Wyciągnęłam czarne pudełko i przejrzałam zawartość. Wybrałam piosenki Louane.

– A pani czego słucha najchętniej? – obrócił głowę w moim kierunku, obserwując zza okularów, jak przyglądam się sceptycznie okładce płyty.

Wolałabym, żeby patrzył na drogę, samochody mijały nas ze wszystkich stron. Spory ruch nawet latem, poza tym przechodnie wychodzili nie wiadomo skąd i pojawiali się przed maską niczym duchy.

Nie miałam zamiaru opowiadać o moich zainteresowaniach, o tym, że słucham Mozarta i Bacha, że muzyka sakralna mnie uspokaja, dlatego odparłam wymijająco.

– Wszystkiego.

Czyli niczego. Nie można lubić wszystkiego, zdawałam sobie z tego sprawę, ale nie byłam gotowa na szczerą rozmowę. Tomasz przestał mnie badać spojrzeniem, odwrócił wzrok w kierunku jazdy i w aucie słysząc było tylko głos piosenkarki, która swoją karierę zawdzięczała udziałowi w programie „The Voice”.

– Co słysząc u cioci? – przerwała ciszę Julia.

– Sytuacja się nie zmieniła. Jest pod opieką lekarzy, powinna zostać poddana operacji, jednak w jej wieku to ogromne ryzyko. Czyli nic nowego. Nie jestem neurochirurgiem, ale nie ma co robić sobie nadziei na poprawę. Mówimy o siostrze mojej mamy, miała wylew, leży na intensywnej terapii – zwrócił się do mnie z wyjaśnieniem.

Zastanawiam się, czy on ma oczy dookoła głowy, skoro co chwilę się odwraca. Lepiej niech patrzy na drogę. Przechodnie mocno mnie stresowali, bo nie zważali na światła i wychodzili na ulicę, kiedy im przychodziła ochota. Na szczęście wjechaliśmy na przedmieścia, w których ruch był mniejszy.

– Tak, wiem. Józefina. Miałam okazję wydać jej wspomnienia wojenne spisane przez Zuzannę.

– Pani zajmuje się wydawaniem książek? – Nie wiedzieć czemu odkrycie mojego zawodu ogromnie go ucieszyło.

– Tak, dzięki temu poznałam pańską siostrzenicę. Zajmowałam się wypuszczeniem na rynek jej pierwszej książki – *Wojenny quickstep*.

– I jak pani ocenia twórczość Zuzy?

– Ma dobry styl, wyważony, powolne tempo akcji daje czytelnikowi czas na wgłębienie się w historię. W dzisiejszych czasach, gdy wszyscy są ogarnięci szalonym pędem, powieści o powoli rozwijającej się fabule są jak oaza spokoju. Osobiście lubię tego typu książki. Czytał pan *Gorące mleko* Deborah Levy?

– Nie miałem okazji.

– Można powiedzieć, że w tej historii nic się nie dzieje...

– Uważasz, że mojej powieści nic się nie dzieje? – Zuzanna weszła mi w słowo.

No i masz babo placek, muszę jej wytłumaczyć, co miałam na myśli, inaczej znowu wpadnie w depresję.

– Według mnie to jest jeden ze sposobów przedstawiania świata, wcale nie gorszy niż inne. Wszystko zależy od gustu, wrażliwości, upodobań. Kogoś bawi, gdy przechodzień ślizga się na skórce od banana, kogoś innego – nie. Jeden lubi szybką akcję, pogoń i napięcie, ktoś inny uwielbia wczytywać się w opisy krajobrazów, uczuć bohaterów, ich przemyśleń. Każdy powinien znaleźć w literaturze coś dla siebie.

No dobra, tyle na temat, co kto lubi. Na drugi raz postaram się nie wspominać o upodobaniach literackich.

Przez chwilę przyglądaliśmy się okolicy. Wzdłuż drogi rozciągały się lasy, które otaczały Paryż zielonym płaszczem, dzięki czemu mieszkańcy mogli tu odetchnąć świeżym powietrzem, urządzić piknik, pojeździć na rowerze albo na koniu. Nie będę pytać, czy Zuzanna urządziła sobie przejażdżki, gdyż wspomnienie Eklerka nadal boleśnie ją dręczyło i każdą uwagę na ten temat przyjmowała z płaczem. Poczekam do jutra z zadawaniem pytań. Gdy pojawimy się w klubie, porozmawiam o koniach.

Dojechaliśmy do kompleksu trzypiętrowych budynków wchodzących w skład małego osiedla ze skwerkiem, ławeczkami, sklepem i kafejką. Tomasz zaparkował przy wejściu i zwrócił się do Zuzanny, podając jej klucze.

– Idź na górę z panią Alias i nastaw wodę na kawę, ja przyniosę bagaże. Julia, potrzy masz drzwi, dobrze?

Nie usłyszałam odpowiedzi. Wsiadłam z auta i zaczęłam rozglądać się za sklepem, który mijaliśmy, gdyż poczułam głód. Nie jadłam śniadania, rogalik dalej spoczywał w

kieszeni, zapomniałam o nim w autobusie, a podczas drogi zredukował się do garści okruchów. Chciałam się go dyskretnie pozbyć. Przewiesiłam płaszcz przez ramię gotowa do kontaktów z tubylcami.

– Pójdę kupić coś do jedzenia, widziałam sklep niedaleko. Proszę mi mówić Kinga.

Tomasz spojrział znad okularów, wyciągając walizki z bagażnika.

– Mam w domu pizzę i kruche ciastka, powinno dla nas wystarczyć.

– Kupię sałatę, sos, owoce... ma pan chleb?

– Z wczoraj.

– To wezmę świeży.

– Zna pani język? To co prawda samoobsługowy, ale czasami trzeba umieć się dogadać.

– Tak, znam.

Nie dodałam nic więcej, weszłam na chodnik i podążyłam za własnym instynktem. Przecięłam skwerek z bulgoczącą cicho fontanną, na rogu dostrzegłam witrynę sklepu Casino. Weszłam z radosnym *bonjour* na ustach, ale kasjerka spojrziała na mnie ponuro, jakby miała podejrzenia co do moich intencji.

Nie odpowiedziała, zajęta ważniejszymi sprawami. Przyjęłam pierwszy afront ze spokojem, gorsze rzeczy mogą się człowiekowi przydarzyć niż brak zainteresowania ze strony ekspedientki. Wzięłam koszyk i przeszłam się wzdłuż regałów, szukając produktów na szybki obiad i kolację. Zakupy nie zajęły mi dużo czasu, sięgałam po artykuły, które wydawały się najbardziej potrzebne, najdłużej zastanawiałam się nad sałatą: w liściu czy celofanowym opakowaniu? Wybrałam liściastą, więcej pracy z myciem, ale za to mniejsze zanieczyszczenie środowiska. Kierując się tą samą zasadą przy kasie, wzięłam bawełniany worek zamiast plastikowej reklamówki.

Dźwigając nieporęczny worek, doszłam do skweru, gdzie na jednej z ławek siedział Tomasz i palił papierosa. Wiedziałam, że musi mieć jakąś wadę, inaczej byłby facetem idealnym, a tacy w realnym życiu nie występują. Położyłam zakupy obok i przez chwilę przyglądałam się z dezaprobatą, jak puszcza kółka z dymu.

– Właśnie rzucam palenie – poinformował, jakby czytał w moich myślach. – Czekam na panią, bo nie ma pani klucza do drzwi. – Zgniół niedopałek i wrzucił go do kosza. – Dziewczyny przygotowują obiad. Co tam pani ma w worku? Bordeaux?

– Do pizzy się przyda. – Usiadłam koło niego i wystawiłam twarz do słońca.

– Pewnie jest pani głodna, chodźmy do domu. Wezmę torbę, aż dziw, że pani ręki nie urwało.

Słuchając go jednym uchem, weszłam na trawnik opróżnić kieszeń z resztek niedoszłego śniadania. Tomasz zamilkł i ze zdziwieniem przyglądał się, co robię.

– To jakiś rytuał? Za każdym razem, gdy pani gdzieś przyjeżdża sypie pani okruchy na ziemię?

– Zapomniałam zjeść śniadania.

– Śniadanie nosi pani w kieszeni?

– Nie miałam czasu w restauracji, a w autobusie zapomniałam. Ot i cała historia – tłumaczyłam po drodze.

– Drugie piętro – rzucił, gdy weszliśmy na schody.

Zza przymkniętych drzwi dochodziły żeńskie głosy, weszłam do mieszkania pachnącego świeżo parzoną kawą.

– Wejdz i się rozgość, tak bardzo się cieszę, że tu przyjechałyśmy. – Zuzanna okręciła się na pięcie. – Pizza gotowa, możemy jeść. – Zaprowadziła mnie do kuchni.

– Wyjmij kieliszki, pani Kinga kupiła czerwone wino. – Tomasz wyciągnął butelkę z worka i postawił na stole.

Kuchnia była niewielka, stolik, krzesła i kuchenka zajmowały prawie całą przestrzeń. Na ścianach wisały szafki na przybory kuchenne, okno osłonięte białą koronkową firanką wychodziło na parking. Stół nakryty obrusem w polne kwiaty, z niebieskimi talerzami i karafką z wodą robił przyjemne wrażenie. Zuzanna postawiła kieliszki, a ja usiadłam tyłem do okna. Promienie zachodzącego słońca łagodnie ogrzewały plecy. Zuzanna wyciągnęła gorącą pizzę, a kuchnię wypełnił zapach pieczonego sera, od którego ślina napłynęła mi do ust, żołądek gwałtownie dopominał się jedzenia.

– Gdzie Julia? – Tomasz rozlał wino i rozejrzał się po pomieszczeniu, jakby ktoś mógłby się w nim schować.

– Bierze prysznic. Inaczej wszyscy będziemy sobie wchodzić w paradę.

– No to za udany wyjazd. – Wzniósł toast, stuknęliśmy kieliszkami, upiliśmy łyk i zabraliśmy się za konsumowanie. Pizza była wyśmienita, ciasto pulchne, a ser się rozpływał.

Do kuchni weszła Julia w płaszczu kąpielowym i z ręcznikiem na głowie.

– Smacznego, pięknie pachnie. Kawa już jest?

– Tak, grzeje się. Pijemy za pomyślność waszej wyprawy. – Tomasz podał jej kieliszek, brzęknęło szkło przy kolejnym toaście.

– Opowiedzcie więcej na temat projektu odzyskania konia. Elżbieta próbowała mi tłumaczyć, ale niewiele zrozumiałem. O co chodzi? – zapytał, kiedy zajęliśmy się jedzeniem.

– Po pierwsze chcemy się dowiedzieć, co się z nim stało. To trochę dziwne, że koń rozpływa się jak bańka mydlana. Po drugie, jeżeli będzie taka możliwość, spróbujemy go odkupić – wyjaśniłam, odkładając sztucce. Wytarłam usta papierową chusteczką leżącą obok talerza i spojrzałam na Zuzannę, wpatrującą się we mnie jak w ósmy cud świata.

– Nie mówiłaś nic o odkupieniu Eklerka.

– Bo dopiero teraz przyszło mi to do głowy.

– Pozostaje jeszcze problem utrzymania konia. Zuzanna nie ma pracy, oszczędności topnieją. Nie jestem przeciwny, ale lepiej wszystko przemyśleć, niż się potem rozczarować. Najpierw trzeba go odnaleźć, co nie jest pewne. Pani zawsze tak się rzuca z motyką na słońce?

Zastanowiło mnie jego pytanie. Może rzeczywiście nie byłam przygotowana na tę wyprawę? Może mamie Zuzannę złudzeniami? Jakie intencje kryła chęć odnalezienia konia?

Chodziło o pomoc, czy raczej o wyjazd do Paryża, skoro okazja się sama nasunęła? A jeśli się nie uda? Czy wzięłam pod uwagę wszystkie okoliczności? Gdy wrócimy z niczym? Jak Napoleon po klęsce w Rosji powiem: trzeba było się cieplej ubrać? Obracałam w głowie wszystkie możliwe odpowiedzi, oglądając je po kolei i rozważając, co powiedzieć.

– Wie pan, co jest napisane na grobie Charles’a Bukowskiego? – Podniosłam głowę i spojrzałam na mojego rozmówcę. Zdziwił się, unosząc brew, jakby się zastanawiał, z czym teraz wyskoczę.

– Nie widzę związku, ale proszę powiedzieć.

– „Jeżeli już o coś zabiegasz, idź na całego, w przeciwnym razie nawet nie zaczynaj”.

– Brawo Kinga! – Zuzanna klasnęła w dłonie.

– Bierze pani swoją wiedzę od alkoholików i outsiderów, którzy nie akceptują zastanego porządku społecznego? Ciekawe, dokąd to nas zaprowadzi.

Nie chciałam wchodzić na grząski teren rozpraw o sensie lub bezsensie podejmowanych decyzji. Sama nie byłam pewna, czy moje decyzje przyniosą pożądany efekt.

– Buntownik wprowadza zaskakujące rozwiązania. Innowacje ze szczyptą kontrowersji, żeby było pod prąd, na przekór *status quo*. Toczy bój z systemem – tu ma pan rację. Walczy z ogólnie obowiązującymi regułami, lubi prowokować. To, co zastał, zmienia na zupełnie inne, w jego mniemaniu lepsze, aby zbudować własny porządek. Czy Bukowski chciał zmieniać świat? Nie wiem, żył na marginesie społeczeństwa, przepełniony sceptycyzmem wobec ludzi, jednocześnie poszukując bliskości. Opisywał własne doświadczenia: alkohol, biedę, niedolę pisarza i słabości dotykające każdego z nas. Pomimo wulgarnego języka i prostego stylu, jego twórczość ujmuje wrażliwością i głębokim zrozumieniem ludzkiej natury.

Tomasz stukał palcami w stół, grając tylko jemu znaną melodię, Julia się nie odzywała, zatopiona w myślach spoglądała w okno za moimi plecami. Trudno było odgadnąć, czy rozmyślała na temat naszej rozmowy, czy coś zupełnie innego zaprzętało jej głowę. Zuzanna zebrała talerze.

– Kto chce kawy? – zapytała.

– Chętnie. – Podsunęłam filiżankę.

– Ciastko? Co prawda z pudełka, nie piekarni, ale nie ma co wybrzydzać. Jutro kupimy prawdziwe, francuskie wypieki. – Podała talerzyk z ciastkami.

– Poproszę. – Wzięłam krusze z kawałkami czekolady, która rozpląwała się w ustach, zostawiając smak kakaowej słodyczy. Popiłam ciastko kawą, dodając gorzką nutę – to było to, co lubiłam najbardziej. Słodko-gorzkie wariacje.

Rozkoszowałam się smakiem kawy i czekolady, słuchając toczącej się rozmowy. Zuzanna, Tomasz i Julia z ogromnym zaangażowaniem omawiali kolejnych członków swojej rodziny. Wywnioskowałam, że są zgrani i wszyscy darzą się wzajemnie sympatią. Wypowiadali się o innych przyjaźnie, nawet gdy wspominali ich przywary, robili to żartobliwie, bez złośliwości. Przyjemna odmiana po wysłuchiwanie biurowych anegdot pełnych negatywnych opinii. Po dwóch latach pracy miałam wrażenie, że o innych można wypowiadać się tylko kpiąco – tak, aby podnieść swoją własną wartość. Miło było posłuchać rodzinnych opowieści, ale postanowiłam skorzystać z łazienki, skoro akurat była wolna.

– Dziękuję za mile spędzony czas, ale teraz chciałabym się umyć, żeby nie blokować prysznicza wieczorem.

Wszyscy spojrzeli w moją stronę, urywając rozmowę w pół słowa. Zuzanna podniosła się od stołu.

– Pokażę ci pokój.

– Szybko pani chodzi spać – zdziwił się Tomasz.

– Odpocznę po podróży i poczytam trochę.

– Do jutra. – Julia pomachała mi ręką.

Mieszkanie miało formę prostokąta, po jednej stronie korytarza kuchnia, obok której znajdowało się wejście do mniejszego pokoju, po drugiej stronie – większy pokój i łazienka. Wąski i ciemny korytarz optycznie powiększało lustro zawieszone naprzeciwko drzwi wejściowych. Zuzanna otworzyła drzwi małego pokoju.

– Tutaj masz swoje rzeczy.

– Dziękuję, umyję się i poczytam przed snem.

– To miłego pobytu, wyśpij się dobrze.

Zamknęłam za sobą drzwi i opadłam na łóżko. W co ja się wpakowałam?

*Saint-Nom-La-Bretèche, Francja, marzec 2017 r.*

*Zajęta czyszczeniem konia, Zuzanna nie zauważyła, gdy Elisabeth stanęła w drzwiach boksu.*

*– Cześć, nie zakładaj mi munsztuka. Masz jeszcze niepewną rękę. Eclair może się bronić. Weź zwykłe wędzidło, a jeżeli uważasz, że lepsze jest igłowe, to mogę ci pożyczyć.*

*Zuza poczuła rozczarowanie i frustrację. Igłowe są dla debiutantów albo dla koni, które niewiele umieją. Poszła jeszcze raz do siodlarni i zmieniła ogłowie. Ujeżdżalnia była pusta, o czym świadczyły otwarte na oścież drzwi. Dosiadła konia i objechała pomieszczenie na luźnych wodzach, aby go rozprężyć. Weszła Elisabeth, a za nią wjechała Carla na Księciu Pustyni. Trenerka zamknęła drzwi i poprosiła o zebranie wodzy i rozprężenie koni zarówno w stępie, jak i klusie. Następnie robiły przejścia klus – stęp – klus i ćwiczenia w chodach bocznych. Zuzanna zauważyła, że Carla wykonywała polecenia w skupieniu i precyzyjnie, czego nie mogła powiedzieć o sobie. Obecność kobiety denerwowała*



*ją i rozpraszała. Eclair czuł brak koncentracji jeźdźca, nie reagował na pomoce i przy chodach bocznych za mocno wyginał szyję.*

*– Za dużo ręki. Zostaw ręce w spokoju, kieruj dosiadem. – Poprawiała ją trenerka.*

*W galopie Eklerek robił, co chciał. Cud, że nie spadła.*

*– Nie możemy tak zakończyć lekcji. Zsiądź z konia i potrzyмай Księcia Pustyni. Carla, dokończ proszę to ćwiczenie.*

*Zuzanna z trudem hamowała łzy. Trzymała Księcia za wodze i przyglądała się, jak Carla z gracją wykonuje zadania. Znowu straciła wiarę we własne możliwości. Miała nadzieję, że często trenując, nabędzie pewności siebie, jednak zawsze towarzyszył jej strach. W boksie Zuza pozwoliła sobie na płacz, który nie przynosił ulgi. Wrzuciła kawałki marchewki do żłobu, przykryła konia i wyszła ze stajni. Pomimo wczesnej pory było ciemno, padał deszcz. Szła ze spuszczoną głową, patrząc na światła latarni odbijające się w płytach chodnika. Ktoś złapał ją za ramię.*

*– Cześć, jak minął trening?*

*To był Jean-Lou.*

*– Daj mi spokój, jestem zmęczona.*

*Wyszarpnęła ramię i poszła na parking. Po schodach na drugie piętro wlokła się jak staruszka. Wiedziała, że przesadziła. Weszła do mieszkania i rzuciła klucz na stół w kuchni. Nie zapalała światła, Piu-piu nie przywitał jej świergotem. Wyciągnęła z szafki karton z winem i kieliszek. Była zła na siebie, że nie umiała zapanować nad emocjami. Historia dawnego wypadku wracała do niej jak bumerang. Upadek i długi pobyt w szpitalu przekreśliły karierę sportową. Wypiła pierwszy kieliszek, drugi, później straciła rachubę.*

*Obudziła się cała obolała, ze zdrętwiałymi nogami i bólem głowy. Za oknem wstawał świt ze śpiewem ptaków i warkotem samochodów. Nastawiła radio na France Musique i zaparzyła podwójną dawkę kawy. W ustach miała nieprzyjemny smak alkoholu. Nie włączyła światła w łazience z obawy przed tym, co mogłaby zobaczyć w lustrze. Zwymiotowała, wypłukała usta wodą i wymyła zęby. Zdjęła przepocone ubranie, wrzuciła do kosza na bieliznę. Weszła pod prysznic – zimna woda wywołała dreszcze, ale pomogła jej się dobudzić. Zmieniła temperaturę wody i obmyła całe ciało gorącym strumieniem. Odświeżona i rozgrzana weszła do kuchni.*

*W radiu radośnie brzącający prezenter zapowiadał pogodny dzień. Dla niej nie był ani pogodny, ani radosny. Postanowiła pojechać wcześniej do klubu. Nie miała nic specjalnego do zrobienia w domu.*

*Na ujeżdżalni z uwagą obserwowała Eklerka. Powinien bardziej podstawić zadnie nogi – pomyślała i pogoniła go od niechcenia batem. Lubiła pracę w ręku, pozwalała jej na nawiązanie porozumienia z koniem, umacniała ich wzajemną więź. Wymagała cierpliwości i koncentracji, ale stanowiła miły odpoczynek od męczących lekcji w siodle. Wykorzystywała głos, postawę ciała, napięcie lonży, dzięki czemu koń wykonywał ćwiczenia bez wahania, rozróżniając kody, których system wypracowali.*

*– No dobrze, na dzisiaj koniec. Muszę jeszcze wyczyścić i wypastować sprzęt, buty. Przygotować apteczkę pierwszej pomocy, ochraniacze – wyliczała na głos.*

*– W czasie startu nie możesz mieć ochraniaczy. – Jean-Lou zatrzymał się obok drzwi.  
– Za bandaże będziesz wyeliminowana, pamiętaj o tym.*

*– Zrobię mu wcierki po starcie, aby odpoczęły ścięgna. – Spojrzała na niego, uśmiechając się niepewnie. Zastanawiała się, czy zapomniał o jej wczorajszym zachowaniu, więc dodała: – Trochę się stresuję tymi zawodami.*

*– Nie martw się, to jeszcze nie mistrzostwa świata.*

*Oboje się roześmiali. Zuzanna czuła, jak opada z niej napięcie. Dobrze jest mieć wkoło siebie ludzi, którzy mają taką samą pasję. Ujeżdżanie – najpiękniejsza dyscyplina jeździecka. Eklerek czekał cierpliwie, aż jego opiekunka skończy rozmyślenia. Zwinęła lonżę i poklepała konia po szyi.*

*– Dziś tylko tyle. Spocileś się, staruszkule, odpoczniesz w boksie, a ja przygotuję wszystko do wyjazdu.*

*Zastrzygł uszami i przysunął ciepły nos. Przytulila do niego twarz – czuła jego oddech na policzku. Pogłaskała miękkie chrapy, złapała za wodze i zaprowadziła konia do boksu. Odpięła ochraniacze, przejechała dłońmi po nogach, sprawdzając, czy nie ma otarć, ściągnęła pas do lonżowania i ogłowia. Eklerek ocierał głowę o jej ramię, gdy kładła sprzęt na drzwiach boksu. Nałożyła na niego okrycie i przyjrzała mu się uważnie. Grzywę może mu zapleść przed samym wyjazdem, sprawdzi tylko, czy ma czarne gumki. Ogon też mu zaplecie, będzie ładnie ondulowany.*

*W drzwiach boksu stanął Jean-Lou.*

*– Dasz się zaprosić na kawę?*

– Muszę go jeszcze wyczyścić i wszystko przygotować. Jutro nie będę miała czasu.

– Masz dziesięć minut, zanim wyschnie. Skoczmy do kafejki na rogu.

– W porządku – przytaknęła. Pomyślała, że chwila odpoczynku dobrze jej zrobi.

– A ty, dlaczego nie startujesz? – spytała.

– Nie jeżdżę dla nagród i pucharów, jeżdżę dla przyjemności.

Uśmiechnęła się.

– Ujeżdżanie trenuje się wyłącznie dla przyjemności. Nawet jak zajmujesz pierwsze miejsce, to nie dostajesz wielkiej wygranej. To nie skoki.

– Nie szkodzi, nie czuję dreszczu pożądania, aby startować w zawodach.

Popatrzyła na niego figlarnie, chciała zapytać, kiedy odczuwa dreszcz pożądania, ale zrezygnowała.

Opuszczając budynek, spojrzała pobieżnie na znajomych z klubu przygotowujących konie w promieniach jesiennego słońca. Wyszli na ulice i przeszli do pobliskiej kawiarni. Jean-Lou otworzył drzwi do zatłoczonej kafejki. Było południe, co we Francji oznaczało przerwę w pracy. Ze środka słychać było strzępki rozmów i rytmy dyskotekowej muzyki. Weszła pierwsza i rozejrzała się po sali. Wszędzie było pełno młodych ludzi popijających piwo, grających w rzutki, opierających się o bar i rozmawiających z barmanem. Jean-Lou złapał ją za ramię i pociągnął za sobą w stronę wolnego stolika. Na blacie stała zapalona świeczka. Zuzanna zastanawiała się, czy miała nadać romantyzmu temu miejscu, czy może zniwelować wszechobecny zapach tytoniu. Okoliczni mieszkańcy niewiele sobie robili z zakazu palenia w miejscach publicznych.

– Czego się napijesz? – spytał.

– Soku pomarańczowego. Muszę być w formie.

– Jesteś w formie. – Patrzył na nią intensywnie.

Poczuła się zaniepokojona, jakby wkroczyła na niepewny grunt. Po raz pierwszy zwróciła uwagę na jego oczy. Miały kolor nieba.

– Dużo wiesz jak na kogoś, kto nie startuje – zmieniła temat.

Startowałem, ale Sułtanowi należy się emerytura. Ma już osiemnaście lat.

Spodobało jej się to stwierdzenie. Znała niewielu jeźdźców, którzy rezygnowali z kariery sportowej ze względu na konia.

– Miałem licencję amatora – dodał, płacąc kelnerce za przyniesione napoje.

Zuzanna zanurzyła usta w zimnym soku.

- Jeszcze muszę popracować, aby ją zdobyć – odparła z lekką zazdrością.
- O której wyjeżdżacie?
- Po południu. Rano poćwiczę jeszcze program. Mam kilka słabych punktów.

Niestety,

Elisabeth będzie zajęta przygotowaniem koni.

- Z czym masz problem?
- Z galopami. Nie zawsze potrafię wypchnąć Eclaira do galopu w danej literze.
- Zobaczą jutro, dlaczego nie możesz zagalopować. To zazwyczaj kwestia dosiada.
- Jeżeli masz ochotę... – Uśmiechnęła się z wdzięcznością. – Zaczę koło dziewiątej.

Nie za wcześnie dla ciebie?

– Nie, lubię wcześnie wstawać. Przy okazji wsiądę na Sultana. Może dla odmiany trochę poskaczemy?

– Wracam do klubu. Eclair pewnie wysechł. Dziękuję za sok, to do jutra.

Zuzanna wstała z krzesła i skierowała się do wyjścia, w duchu ciesząc się na jutrzejszą jazdę

w towarzystwie Jean-Lou.

Stała przed wejściem do stajni. Była sama, pozostali jeźdźcy albo skończyli przygotowania, albo byli w innych rejonach. Nie była pewna swojej decyzji. Tyle czasu czekała na ten moment, a teraz odczuwała niepokój. W siodlarni ściągnęła sprzęt z wieszaków, z siodłem opartym o biodro i ogłowiem na ramieniu zeszła po schodach do stajni i przeszła korytarzem do boksu konia. Woląла wszystko przygotować przed jutrzejszym wyjazdem. Wiedziała z doświadczenia, że w pośpiechu może czegoś zapomnieć. Weszła do boks, zdjęła z Eklerka okrycie i dłonią sprawdziła, czy sierść jest sucha. Zaczęła wykonywać okrężne ruchy szczotką, rozmasowywała mięśnie konia na grzbiecie i szyi – w miejscach najbardziej narażonych na bolesne skurcze. Posmarowała kopyta maścią z wyciągiem z liścia laurowego, aby nadać im sprężystości i uchronić od pęknięć. Na koniec pracy stanęła obok konia podziwiając swoje dzieło.

– Do jutra, staruszk.

Zamknęła drzwi boks na zasuwkę i poszła do samochodu. Zatrzymała się na parkingu przed domem. Wychodząc z auta, natknęła się na sąsiadkę, starszą panią spod ósemki na trzecim piętrze, obładowaną siatkami z zakupami.

– Pomogę pani.

– *Dziękuję, moje dziecko, w dzisiejszych czasach mało jest osób chętnych do pomocy. Twoja ciocia także pomagała ludziom, bardzo ją lubiłam. Kto mógł przypuszczać? – Starsza pani zamyśliła się na moment. – Była taka pełna energii, w Dzień Sąsiada pomagała w organizacji. Każdy coś przynosił – ciasta, wino, a nawet szampana. Dobre to były czasy.*

*Kobieta westchnęła.*

– *Dobrze pani знаła moją ciocię?*

– *Czasami przychodziła do mnie na herbatę. Może ty też się czegoś napijesz? – zaproponowała sąsiadka, gdy doszły do mieszkania i Zuzanna odłożyła siatki pod drzwiami.*

– *Chętnie dowiedziałabym się więcej o cioci.*

– *Zaparzę herbatę z owoców leśnych i porozmawiamy.*

*Weszły do mieszkania, gdzie pachniało lawendą. Usiadła w salonie na jednym z foteli obitych materiałem. Rozejrzała się po wnętrzu. Drewniana komoda, finezyjnie ozdobiona motywami kwiatowymi, jedna z tych, w których umieszczano się talerze i filiżanki. Na ścianach wisiały obrazy kobiety o pociągłej twarzy i szczupłej sylwetce.*

*Starsza pani przyniosła tacę z cukiernicą, dwiema filiżankami, dzbankiem herbaty, po czym usiadła w sąsiednim fotelu.*

– *Lubi pani malarstwo?*

– *Lubię, zwłaszcza Modigliani mnie interesuje. Był nietypowy, niedostosowany, modi – przekłety... Chciał żyć krótko, lecz intensywnie, i tak się stało. Zmarł w wieku trzydziestu pięciu lat. Uosabiał to, co przypisuje się bohemic: twórcze szaleństwo, nędzę, pijaństwo, miłość, poezję. Fas-cynował i fascynuje dalej. Znasz się na malarstwie?*

– *Trochę, moja siostra studiuje na Akademii Sztuk Pięknych.*

*Starsza pani uśmiechnęła się dobronudownie, a zmarszczki w kącikach oczu pogłębiły się.*

– *Chciałaś porozmawiać o twojej cioci. Byłam od niej dużo młodsza, ale z czasem różnica wieku się zatarła. Przychodziła do mnie na wspominki. Przyjechała do stolicy w wieku piętnastu lat jako opiekunka do dzieci. W lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku jej pracodawcy zostali zatrzymani i umieszczeni na zimowym stadionie kolarskim Vel d’Hiv. Józefina musiała uciekać z miasta. Tułała się po wsiach i miasteczkach, szukając zatrudnienia. Zatrzymała się na farmie w Normandii, gdzie za dojenie krów dostała pokój i wyżywienie. Szóstego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku tysiące statków przebiegało się przez kanał La Manche pod ostrzałem niemieckiej artylerii.*

*Tego ranka morze miało kolor czerwony, nie od wschodzącego słońca, lecz od krwi. Wieczorem na farmę, gdzie pracowała Józefina, przyjechało kilka jeepów z żołnierzami i oficerami amerykańskimi. Jeden z nich był ranny. Poprosili o nocleg. Zmęczeni walką żołnierze musieli przygotować się do kolejnego ataku, nazajutrz mieli przenieść się na inne pozycje. Gospodyni z Józefiną przygotowały oficerom łóżka, natomiast żołnierze dostali ciepłe koce, żeby mogli przenocować w stodole, na sianie. Na twarzach żołnierzy widziały zmęczenie, rozmazane ciemne plamy krwi i błota. Rannego oficera gospodyni ulokowała w pokoju na piętrze, gdzie było cicho i spokojnie, gdyż okno wychodziło na ogród, o tej porze roku cały w kwiatkach. Tam też znajdował się pokój Józefiny. Gospodyni zaproponowała posiłek, zaganiając do pomocy dziewczęta, które przyciągnął widok młodych mężczyzn. Umyci i ogoleni, wyglądali jak wszyscy młodzi ludzie w ich wieku, tylko oczy mieli puste. Rozmawiano, mieszając języki, trochę na migi, trochę rysując. Józefina zaniósła posiłek rannemu oficerowi. Miał na imię Mark, jak Mark Twain, żartowali na ten temat. Mówił po francusku, bo jego mama była Francuzką.*

*Sąsiadka umilkła i przez chwilę uśmiechała się do swoich wspomnień, po czym wróciła do przerwanej opowieści.*

*– Po wyzwoleniu Józefina przyjechała do Paryża. Najpierw sprzątała u ludzi. Nie zarabiała dużo, ale była sama i na jej potrzeby wystarczyło. Myślała, że w Paryżu szybciej odnajdzie swojego narzeczonego. Szukała go przez Czerwony Krzyż, ale jedyne, co otrzymała, to adres jego matki. Wiem, że napisała do niej i przez jakiś czas korespondowały. Niestety mama Marka zapadła na Alzheimera i rodzina umieściła ją w domu opieki. Twoja ciocia nie dowiedziała się, jaki los spotkał Marka. Został uznany za zaginionego.*

*– Ciocia opowiadała o nim, zdążyli się zaręczyć, zanim wyruszył na front.*

*– W czasie wojny trzeba było szybko podejmować decyzje. – Starsza pani uśmiechnęła się smutno. – Później twoja ciocia dostała posadę pokojówki w hotelu, a następnie stała się odpowiedzialna za personel. Dobrze sobie radziła. Nie chciała wyjść za mąż, choć kandydatów miała sporo.*

*– Może wierzyła, że Mark kiedyś wróci?*

*– Może?*

## Rozdział 6

Obudziłam się koło ósmej rano. Aby nie robić hałasu, postanowiłam wstąpić do knajpki na rogu. Podejrzywałam, że jak wszystkie szanujące się piekarnie mają w ofercie zestawy śniadaniowe. Zamiast nieśmiertelnej małej czarnej ubrałam spodnie, granatową koszulkę z rysunkami pawich oczek, narzuciłam szary sweter z kapturem, w końcu byłam na wakacjach. Wyszłam z domu, cicho zamykając za sobą drzwi. Przeszłam skwerek z fontanną, w której wróble brały kąpiel. Zanurzały się w wodzie i strząsały krople z piór, robiąc przy tym sporo zamieszania.

Nie myliłam się, w menu kafejki widniało kilka pozycji na poranny posiłek. Po francusku, z kawą lub kakao, tostami z konfiturą, rogalikiem. Albo na modłę angielską – z jajkami, bekonem i herbatą z mlekiem. Wybrałam kawę, sok pomarańczowy, rogalika oraz tosty z konfiturą z brzoskwiń. Z moim żółtym śniadaniem wyszłam na dwór, ciesząc się ciepłym dniem. Z sąsiedniego stolika zabrałam gazetę pozostawioną przez poprzednich klientów, jadłam i przeglądałam wiadomości z ostatnich dni. Nagle ktoś zasłonił mi słońce. Podniosłam wzrok

i spojrzałam na stojącego przede mną mężczyznę.

– Mogę się dosiąść? Ładny dzień, nieprawdaż? – Tomasz nie czekając na odpowiedź, usiadł przy stoliku. Ubrany był w strój do biegania, obcisły podkoszulek ukazywał mięśnie bez zbędnego tłuszczu. Sięgnął po papierową serwetkę dołączoną do mojego śniadania i wytarł spoconą twarz. – Dobrze pani spała?

– Dobrze. A pan jak spędził noc? Przeze mnie został pan zmuszony do opuszczenia swojego pokoju.

– Nie było tak źle, spałem na materacu w kuchni. Je pani rogalika czy karmi ptaki?

– Uśmiechnął się.

– W kuchni nie ma miejsca – zdziwiłam się. – Proszę się poczęstować, jeśli ma pan ochotę.

– Jak się przesunie stół i przestawi krzesła, to się miejsce znajdzie. Dziękuję.

Może przestaniemy mówić sobie na pan, pani? Tomek jestem.

– Kinga. – Uścisnęłam mu dłoń, ciepłą i przyjemną w dotyku. – K jak kangur albo koala.

Zmrużył oczy i uniósł kąciki ust w kpiącym uśmiechu.

– T jak twardziel. To rodzaj zabawy? – zapytał i puścił moją dłoń, po czym urwał kawałek rogalika. – Chcesz pół?

Pokręciłam przecząco głową.

– Dlaczego myślisz, że to zabawa?

– Z tobą to nigdy nie wiadomo ani co powiesz, ani co zrobisz. Z tym przyjazdem chociażby. Kto przy zdrowych zmysłach pakuje się w coś takiego? Chyba że ukrywasz prawdziwy powód? – spojrzał na mnie intensywnym wzrokiem hiszpańskiego inkwizytora, jakby chciał mnie spopielić, i możliwe, że osiągnąłby cel, gdybym miała sobie coś do zarzucenia. Spokojnie wytrzymałam próbę ognia.

– A co według ciebie mogłabym osiągnąć? Darmowy pobyt w Paryżu? Daruj sobie, ale na tygodniowy wypad do stolicy mody i beretów jeszcze mnie stać.

– Beretów? – wydawał się mocno zaskoczony skojarzeniem. – Nie pomyliłaś z krajem Basków?

– Nie łap mnie za słowa. – Zdenerwowałam się.

– A za co mam cię łapać?

Całkowicie mnie zdekoncentrował, zapomniałam, o czym rozmawialiśmy, patrzyłam na niego z głupio otwartą buzią. Nie wiedziałam, co odpowiedzieć i czy w ogóle istnieje odpowiedź na tego typu pytanie.

– Od początku masz do mnie zastrzeżenia, ciągle coś ci się nie podoba, podejrzewasz mnie o chęć wykorzystania twojej siostrzenicy. Nie dostrzegasz, że od czasu, kiedy podjęła działanie, zrobiła się weselsza, pewniejsza siebie? Ale skoro nie jestem lekarzem, to znaczy, że na pewno chcę zbić na niej majątek, wykorzystując chorobę. Zastanawiałeś się, jak miałabym to osiągnąć? Podsuwając sfałszowany kontrakt na książkę, której nie napisała?

Spuścił wzrok i zaczął oglądać blat stołu. Przez moment panowało milczenie.

– Zacznijmy od początku. Tomasz, T jak torbacz. – Wyciągnął rękę i popatrzył mi w oczy. Jego szarozielone tęczówki pociemniały i przybrały stalowy odcień. Pokręciłam głową i uśmiechając się mimo woli, podałam mu dłoń. – Napijmy się z tej okazji. Pójdę po kawę, przyrzeknij, że nie uciekniesz.

– Nie ucieknę.

Wstał od stolika i udał się do kafejki, by po chwili wrócić z dwiema filiżankami.



– Pokażę ci okolicę – zaproponował, stawiając kawę na blacie. – A teraz opowiedz mi o sobie – poprosił, gdy usiadł na krześle. Słońce zaczęło całkiem mocno przygrzewać, zdjęłam sweter i założyłam okulary przeciwsłoneczne.

– Nie ma o czym opowiadać. Zajmuję się współpracą z autorami, poza godzinami pracy czytam, spaceruję, chodzę do kina, teatru.

– Współpraca z autorami? Na czym to polega? – zainteresował się między jednym a drugim łykiem kawy.

– Najpierw szukam interesujących dla wydawnictwa pisarzy, czytam przesłane przez nich teksty, oczywiście nie wszystko do końca, bo napływa bardzo dużo propozycji. Wybieram według mnie najciekawsze, pasujące do profilu, czyli powieści skierowane do kobiet w różnym wieku, new adult dla młodszych, obyczajowe, romanse dla starszych.

W skupieniu kręcił łyżeczką w filiżance, jakby sondował jej dno. Można by było pomyśleć, że od tego zależy przyszłość wszechświata.

– A co polecasz mężczyznom?

– Zależy co lubisz. Jeżeli kryminały, to mieliśmy w ofercie książki Agaty Chrzęszcz, ale niestety zmieniła wydawnictwo.

– Co teraz czytasz?

– *Millenium* Larssona, drugą część. Pierwsza przypadła mi do gustu, druga mniej wciągająca, ale ma około sześciuset stron i do końca pobytu wystarczy. A ty?

Zmieszał się i pokręcił niespokojnie na krześle, wziął łyk kawy, zastanawiając się nad odpowiedzią.

– To co wszyscy, gazety, informacje ze świata, wydarzenia, polityka. Czasami książkę podróżniczą. Najbardziej interesuje mnie Bliski Wschód, Syria, Iran, Irak...

– Kraje ogarnięte wojną – zamilkłam i przez chwilę wpatrywałam się w bezchmurne niebo myśląc, że gdzieś niedaleko toczą się walki, giną ludzie, a my spokojnie pijamy kawę, nie przejmując się ich losem. – Co cię w nich pociąga?

– Ludzie, ich życie jest dużo ciekawsze niż zabytki, dzieła sztuki czy miejsca kultu. Przemijają tak szybko, że nie zwracamy na to uwagi, znikają, a wraz z nimi ich historie. Dobrze jest się na chwilę zatrzymać i się w nie wsłuchać.

Odkrywałam ciekawą część jego osobowości, chciałam dowiedzieć się więcej o człowieku, który przede mną się rysował: wrażliwy, empatyczny, skoncentrowany na

innych. Zaintrygował mnie jak powieść, której nie mogę odłożyć, dopóki nie doczytam do końca.

– Jeżeli masz ochotę, pokażę ci okolicę. Rano można pobiegać albo spacerować. Mówiłaś, że lubisz spacerować?

– Lubię. – Wypiłam resztę napoju i wstałam gotowa na przechadzkę.

Poprowadził mnie wąską ulicą prowadzącą lekko pod górę. Nowoczesne osiedla ustępowały miejsca coraz starszym budynkom. Otoczone zielenią piętrowe domy z ogródkami bardziej przypominały wiejskie obejścia niż przedmieścia Paryża. Na jednym z domów wisiał szyld informujący przechodniów, że mogą wstąpić na małe co nieco. Zajrzałam do restauracji przez okno osłonięte białą firanką przytrzymaną z boku ozdobnym sznurem z frędzlami. Wnętrze urządzone jak wiejską posiadłość: welurowe fotele, haftowane obrusy, kominiek, na ścianach obrazy ze scenami polowań. Z przyjemnością wyciągnęłabym się w fotelu z książką i kieliszkiem wina. Tomasz wziął mnie za rękę.

– Otwierają dopiero w południe, możemy przyjść wieczorem.

Wyobraziłam sobie romantyczną kolację przy trzaskającym ogniu na kominku, nie szkodzi, że upał leje się z nieba, stare domy mają to do siebie, że są chłodne nawet latem. Przeszliśmy przez skrzyżowanie, za którym roztaczał się las, prawdziwy, gęsty, z krzewami, drzewami i poszyciem leśnym, prawdziwa uczta dla oczu zmęczonych widokiem miejskich zabudowań. Podziwiałam widok liści, ich szum na wietrze, zastanawiałam się, czy niektóre drzewa pamiętają polowania królewskie. Nagle zdałam sobie sprawę, że Tomasz ciągle trzyma moją dłoń. Wcale mi to nie przeszkadzało, wręcz przeciwnie, przyjemne ciepło rozeszło się po całym ciele na myśl o bezpośrednim kontakcie z jego skórą. Nie wiedziałam jednak, jak się zachować, nie przywykłam do sytuacji, kiedy dopiero co poznany mężczyzna trzyma mnie za rękę. W dodatku w biały dzień. Jeżeli decydowałam się na towarzystwo, to tylko po mocno zakrapianym wieczorze, po imprezie lub spotkaniu firmowym, gdy zdarzało się, że szef zapraszał młodych, dobrze zapowiadających się autorów, aby nawiązać współpracę. Nowe doświadczenie wywoływało emocje, z którymi nie umiałam sobie poradzić.

Gdy tak rozmyślałam nad aspektami uczuć, Tomasz pociągnął mnie w pobliskie zarośla.

– Pokażę ci polanę, z której widać Paryż.

Dobrze, że miałam tenisówki, a nie buty na obcasie, jak mam w zwyczaju. Wyjazd do Francji, a może też zwolnienie z pracy sprawiły, że poczułam się jak na wakacjach. Ciągnął mnie przez chaszczki dobrych kilkadziesiąt metrów. Nagle ściana drzew się rozstała i w oddali ukazało się miasto położone na otaczających wzgórzach. Patrzyłam z zapartym tchem, podziwiając panoramę stolicy Francji. Myślałam o mojej Damie Kameliowej, która spędziła młodość w tym mieście, tańczyła w Casino de Paris. Egzotyczny ptak przeniesiony do innego kraju, innej kultury, innego systemu. System zdarł barwne pióra, wpełchnął do szarego tłumu klasy robotniczej, z którego trudno się było uwolnić, zresztą gdy na świat przyszła mama, babcia zrezygnowała z wyjazdu, została w Polsce, sama z dzieckiem. Dziadek – niebieski ptak – poleciał dalej śpiewać miłosne trele nowym wybrankom.

Ocknęłam się z zamyślenia, czując ręce opasujące mnie w talii, plecami opierałam się o klatkę piersiową Tomka, jego oddech unosił mi włosy na karku. Pocałował moje włosy, skroń, policzek, zamknął usta wargami. Były ciepłe, miękkie i znajome, jakbym go już kiedyś całowała, nasze języki splotły się wywołując dreszcze. Zamknęłam oczy i poddałam się biegowi wydarzeń. Tomek wsunął ręce pod moją bluzkę, gładził skórę brzucha, moje ciało drżało z podniecenia. Uległam emocjom. Wtedy zadzwonił telefon i wyrwał nas z transu. Łapałam powietrze szybko, jak po wypłynięciu na powierzchnię wody po długim nurkowaniu. Wyprostowałam się i poprawiłam bluzkę, Tomek szukał telefonu w kieszeni dresów, czar prysnął, zostało wspomnienie przyjemnych doświadczeń.

– Halo? Tak, wszystko w porządku, zaraz wracamy. – Rozłączył się i dorzucił w moim kierunku: – Dziewczyny się niepokoją.

Pokiwałam głową, nie miałam ochoty na rozmowy, rozkoszując się przeżytych chwilą. Wziął mnie za rękę i poprowadził drogą powrotną. Nic więcej nie mówił, ale miałam pewność, że w moim życiu zaczyna się nowy etap.

– Gdzie byliście tak długo? – Julia wyszła do przedpokoju, gdy usłyszała otwieranie drzwi.

– Przeszliśmy się trochę po okolicy. – Tomek nie wdawał się w wyjaśnienia, długi spacer pozwolił nam ochłonąć, zanim doszliśmy do domu. – Jadłyście śniadanie?

– Tak, możemy zaplanować dzień.

– Idę się wykapać, a wy ustalcie, co będziemy robić – powiedział i zniknął w łazience.

Weszliśmy do kuchni, gdzie przy stole siedziała Zuzanna.

– Dobrze spałaś na nowym miejscu? – spytała popijając kawę.

– Tak, doskonale. Zwiedziłam też okolicę, fantastyczny las macie pod bokiem.

Usiadłam na wolnym krześle.

– Chcesz się czegoś napić?

– Nie, dziękuję. Wpadłam na śniadanie do bistro.

– To co robimy? – Zuzanna spoglądała na mnie z napięciem.

– Wstąpimy do klubu i zobaczymy, co dalej.

– Ja w takim razie jadę do Paryża – odezwała się Julia. – Wujek chyba będzie chciał pojechać do szpitala – dodała po chwili wahania.

– Mówicie o mnie? – Tomek wszedł do kuchni świeży i ogolony, jeszcze bardziej przystojny niż rano, albo u mnie zmienił się sposób odbierania świata. – Skoro chcesz jechać do Paryża, to podejźmy razem na dworzec – zwrócił się do Julii.

Pożałowałam, że jedzie z nią, a nie ze mną, na twarzy musiało się odbić rozczarowanie, bo spojrzał rozbawionym wzrokiem.

– Zobaczymy się po południu. Podaj mi numer telefonu, na wszelki wypadek. – Popatrzył na mnie spojrzeniem, od którego przechodziło gorąco.

Wymieniliśmy się numerami, na wszelki wypadek, a Zuzanna poszła założyć buty. Stała w drzwiach z kluczami od samochodu w dłoni.

– No to jedziemy.

Raz kozie śmierć, pomyślałam, ale nie powiedziałam tego na głos. Towarzystwo i tak było mocno zdenerwowane pomysłem wtykania kija w gniazdo szerszeni.

Droga do klubu rozciągała się między pustymi o tej porze roku polami; ziemia odcinała się ciemną plamą od błękitu nieba. Rolnicy żniwa mieli już za sobą, tylko gdzieś widać było jeszcze łodygi kukurydzy czekającej na ścięcie. Jechałyśmy, słuchając muzyki, zatopione w myślach.

Zuza zatrzymała samochód i wyłączyła silnik.

– Co teraz? – szepnęła, wpatrując się we mnie z przerażeniem.

– Idziemy na spotkanie z przygodą. – Nie byłam pewna tego, co mówię, więc żeby nie podać się panice, otworzyłam drzwi i wyszłam na zewnątrz.

Przede mną widziałam budynek stajni, z boku ujeżdżalnię, na której jeździło kilka osób. Poczekalam, aż Zuza zamknie auto i razem podeszłyśmy do barierki odgradzającej

parking od miejsca treningu. Przyglądałam się jeźdźcom i stojącej na środku instruktorce, szczupłej kobiecie o wojskowej postawie, z krótkimi falowanymi włosami, gdy Zuza szturchnęła mnie w bok.

– Na tym gniadym koniu to Carla.

Zupełnie nie wiedziałam, o jakim koniu mówi. Gniady? Co to za kolor? Pytałam po cichu samą siebie, wytyżając wzrok, żeby dostrzec twarze pod kaskami. Gdy tak wpatrywałam się w przejeżdżających ludzi, koło nas zatrzymał się jeździec na jasnym koniu.

– Zuza? Co słyszeć?

Zuzanna wdała się w pogawędkę z mężczyzną, tak na oko w wieku trzydziestu lat. W kaskach i strojach do konnej jazdy wszyscy wyglądali podobnie, trudno było odróżnić kobietę od mężczyzny, a tym bardziej ocenić wygląd. Jednak z rozmowy domyśliłam się, że to był Michael, jeden z kolegów klubowych, o których pisała w książce. Przyglądałam się pozostałym kursantom... Jedna z osób, jeżdżąca na ciemnobrązowym koniu intensywnie na nas patrzyła, głowę miała ciągle zwróconą w naszą stronę, aż się zastanawiałam, czy widziała, gdzie jedzie. Wywnioskowałam, że to Carla, a ciemnobrązowy to gniady. Nauczyłam się dzisiaj czegoś nowego. Towarzystwo zbierało się do opuszczenia ujeżdżalni. Michael zaproponował udanie się do clubhouse'u na kawę i zanim dołączył do pozostałych, pomachał nam wesoło ręką. Trenerka podeszła do Zuzanny, uśmiechała się, ale oczy miała czujne. Ucałowała ją serdecznie w oba policzki.

– Przyjechałaś na dłużej, czy to tylko krótka wizyta? – spytała zaciekawiona.

– Krótka wizyta, niestety. – Zuzanna wydawała się speszona pytaniem.

– Szkoda, myślałam, że przyjechałaś potrenować. Pani pierwszy raz we Francji? – zwróciła się do mnie.

– Tak, przyjechałam zwiedzić Paryż.

– Witam i zapraszam na kawę, Zuza zna drogę, przyjdę do was, tylko sprawdzę, czy wszystko w porządku. Miałam dzisiaj nowego ucznia. – Oddaliła się niespiesznym krokiem w stronę stajni, a my oglądałyśmy konie pasące się w oddali na padokach. Zaczęłam się niecierpliwić.

– Idziemy, nie idziemy? – spytałam, nie chcąc przedłużać oczekiwania.

– Trochę się boję. – W głosie Zuzanny zabrzmiała niepewność. – Nie wiem, czy to dobry pomysł.

– Widziała cię, zobaczymy teraz, co zrobi. Pokaż mi ten cały clubhouse, cokolwiek to znaczy, a potem wróć do stajni, są tam ludzie, więc nic ci nie zrobi.

– Nie zostaniesz ze mną? – popatrzyła na mnie wzrokiem spłoszonego zwierzęcia.

– Przy mnie może niczego nie powiedzieć, z tobą sam na sam może stracić kontrolę i ujawnić jakiś detal. Masz telefon?

– Mam – odrzekła zdziwiona.

– Włącz dyktafon, odsłuchamy w domu, mam nadzieję, że złapiemy trop.

Zuzanna przez chwilę manipulowała przy telefonie, następnie weszliśmy do budynku.

– Clubhouse jest na górze, ja zostanę tutaj.

Uścisnęłam jej rękę, chcąc dodać otuchy i weszłam schodami na górę. Po jednej stronie korytarza zobaczyłam oszklone drzwi z napisem „sellerie”<sup>10</sup> – po drugiej stronie takie same drzwi, ale z napisem „clubhouse”. Otworzyłam i weszłam do przestronnego pomieszczenia z fotelami klubowymi, niskimi stolikami i podręcznymi regałami na gazety. Gdy podeszłam bliżej, zobaczyłam, że były to magazyny poświęcone jeździectwu. Jeśli wchodzisz między wrony, musisz krakać jak i one – pomyślałam, biorąc egzemplarz „Grand Prix” do ręki.

– Jeździsz konno?

Za barem ustawionym w rogu pomieszczenia kręcił się Michael, przygotowując kawę w ekspresie.

– Niestety nie, ale lubię konie – skłamałam jak z nut. – Mam na imię Kinga – dodałam, podchodząc do niego.

– Michael. – Podał mi rękę przez blat baru, uścisk miał mocny, pewny. – Przyjaźnisz się z Zużą?

Trudno to nazwać przyjaźnią, raczej podróżą w interesach, ale pokiwałam głową, szczerząc zęby.

– A ty długo jeździsz konno? – spytałam dla podtrzymania konwersacji.

– Od dziecka. Startuję w WKKW. Trzymam tutaj konia – Mirabelle, taka nieduża klacz o izabelowatym umaszczeniu. Widziałas ją na ujeżdżalni.

Potakiwałam głową nic nie rozumiejąc: WKKW – co to? Izabelowata? Ratunku, ten człowiek rozmawia w nieznanym języku!

---

<sup>10</sup> Sellerie – siodlarnia, tłum. aut.

– Pracujesz w klubie? – zmieniałam temat.

– Nie. – Uśmiechnął się, pokazując białe zęby. – Jestem grafikiem, robię projekty dla firm.

O, wreszcie coś, co potrafię zrozumieć – strona graficzna jest równie ważna jak treść powieści, bo to ona przyciąga czytelnika. Pierwszy kontakt jest z okładką, a następnie dochodzi,

albo i nie, do bliższego poznania. Książka powinna zachęcać: weź mnie! A gdy czytelnik porwie ją w ramiona, nie powinien porzucać aż do ostatniej strony. Jednak w życiu różnie bywa, spotyka się ciekawe pozycje z fatalnymi okładkami albo kiczowate powieści w genialnym opakowaniu. Moje rozmyślenia przerwało wejście trenerki. Elisabeth – jeżeli mnie pamięć nie myli. Michael postawił przed nami kubki z kawą, sam popijał wodę gazowaną z wysokiej szklanki.

– Pani jest przyjaciółką Zuzy? – spytała, siadając na barowym stołku. W ciągu dziesięciu minut drugi raz padło to samo pytanie.

– Pracujemy razem. – Nie wiedziałam, co powiedzieć, żeby sensownie wyjaśnić nasz wspólny pobyt w klubie, a nie chciałam ich wtajemniczać w powód przyjazdu.

– To ciekawe. – Elisabeth spojrzała na mnie z zainteresowaniem. – A co robicie?

Zmieszana pokręciłam się na stołku, nie chciałam mówić jej o perypetiach związanych z książką Zuzanny, moim zwolnieniem z pracy, szukaniem Eklerka. Udałam, że piję kawę, aby zyskać na czasie.

– Pracuję w wydawnictwie, chcemy wypuścić na rynek powieść Zuzanny. Przybyłyśmy do Francji nakręcić film promujący książkę – wymyśliłam na poczekaniu.

– A o czym jest powieść? – dociekała dalej Elisabeth, mieszając cukier w kubku. Michael przysłuchiwał się rozmowie z zainteresowaniem. Nie wiem, co oboje wiedzieli o Zuzannie, nie wiem, co Zuzanna chciałaby powiedzieć, więc czułam się coraz bardziej niezręcznie. Rozmowa schodziła na grząski grunt.

– O przyjaźni – odparłam uśmiechając się promiennie.

– Będziesz chciała zrobić zdjęcia w klubie? Mogę oprowadzić – zaproponował Michael.

Nie chciałam mu wyjaśniać, że nie mam aparatu, tylko zwykły telefon, ale zgodziłam się na spacer po terenie. Dopiliśmy napoje, pożegnałam Elisabeth i zeszliśmy do stajni. Michael pokazał mi wszystkie konie, wysokie, niskie, gładkie, w ciapki.. Po

wysłuchaniu szczegółowych wyjaśnień, straciłam orientację. Nie wiedziałam, czy to Mirabelle jest jasna, a Nougatine ciemna, czy odwrotnie. Czy Sułtan to potężny wałach, czy nieduży ogier. A może Next był ogierem? Wszystko mi się pomieszało. Na szczęście wyszliśmy na zewnątrz obejrzyć konie na padokach.

– Przyjechałyście sprawdzić, gdzie jest Eclair – stwierdził bardziej, niż zapytał Michael. Byłam tak zaskoczona, że nie potrafiłam tego ukryć.

– Skąd wiesz? – Ukrywanie prawdy na nic się nie przyda, a Michael może dostarczyć nam informacji.

– Zuza bardzo się przywiązała do tego konia, dlatego wnioskuję, że chce go odnaleźć. I wcale się jej nie dziwię.

– Nie wiem, czy Elisabeth podziela twoje zdanie.

– Dla niej ta sytuacja nie jest łatwa, bo rzuca cień na klub. Wiesz, nielegalny handel końmi, niby nikt niczego nie mówi głośno, ale plotki się rozchodzą jak pchły po psie. Porównanie przypadło mi do gustu i od razu życzliwej spojrzałam na mojego rozmówcę.

– A Carla? Jak się zachowywała po wyjeździe Zuzanny?

Michael w zamyśleniu zmrużył swoje zielone oczy, analizując wspomnienia. Pomiędzy rudymi brwiami pojawiły się zmarszczki.

– Zrobiła się spokojniejsza, bardziej zrównoważona, nawet żartowała czasami, choć wcześniej nigdy jej się to nie zdarzało – powiedział po chwili.

– Czyli wyjazd podziałał na Carlę kojąco... – urwałam wypowiedź. – A gdzie jest Zuza?

– Może w stajni?

Ruszyliśmy szybkim krokiem w stronę budynków klubowych. Zdjęta nagłym niepokojem wpadłam do wnętrza z takim impetem, że stojąca obok boksu dziewczyna odwróciła się do mnie wystraszona. No tak, zapomniałam, że w stajni się nie biega. Spokojnie przeszłam korytarzem, nawołując cicho „Zuzanna”, bez odpowiedzi. W następnym korytarzu to samo.

– Chodźmy do clubhouse’u – zaproponował Michael, który przeprowadził poszukiwania w maneżu.

Niestety, i clubhouse, i siodlarnia były puste jak statek w trójkącie bermudzkim. Większość jeźdźców pojechała do domów na obiad, a ci, co zostali, krzątali się przy koniach.



– Sprawdźmy przy samochodzie. – Michael wyszedł pierwszy, ja deptałam mu po piętach.

Na parkingu nie było nikogo, w samochodzie również. Powoli zaczęła do mnie docierać niepokojąca prawda, że Zuzanna Kosińska przepadła, zniknęła jak sen złoty. Bezsilnie opadłam na kawałek trawnika przy parkingu.

– Co ja mu powiem? Co ja mu powiem? – powtarzałam bezmyślnie. Michael usiadł obok mnie.

– Masz jej telefon? Zadzwoń!

Że też sama na to nie wpadłam! Wyciągnęłam telefon i wybrałam numer, po kilku sygnałach włączyła się sekretarka.

– Nie odbiera – powiedziałam zawiedziona.

– Może jest zajęta i oddzwoni później – próbował mnie pocieszyć.

Siedzieliśmy, przyglądając się samochodom opuszczającym parking. W końcu zostały tylko dwa: renault Zuzanny i toyota corolla Michaela. Jeszcze raz wybrałam numer, ale nikt nie odbierał. Wiedziałam, że będę zmuszona powiadomić o tym Tomka i Julię, i ta świadomość napawała mnie przerażeniem.

– Muszę zawiadomić jej rodzinę – powiedziałam smętnie. Zrobiło mi się żal samej siebie, zaczęłam pociągać nosem, wargi złożyły się w podkówkę i wybuchłam płaczem.

– Chcesz, żebym zrobił to za ciebie?

Popatrzyłam na niego wzrokiem pełnym nadziei. Tak, chciałam!

– Jej wujek nie mówi zbyt dobrze po francusku, może nie zrozumieć, o co chodzi. – wydukałam, szlochając. Rozmowa z Tomkiem wydawała się łatwiejsza niż z Julią.

– Mówię też po angielsku, jestem Irlandczykiem.

Niebiosa cię zesłały! Nagle poczułam do niego ogromną wdzięczność, ale w tym samym momencie w mojej głowie pojawiła się nieprzyjemnie świdrująca myśl: jesteś tchórzem! Nawarzyłaś piwa, a teraz chcesz, aby ktoś inny je wypił.

Uśmiechając się, odrzekłam przez łyżę:

– To akurat muszę załatwić sama. Namówiłam Zuzannę na wyjazd, nie mogę teraz chować głowy w piasek.

Wytarłam nos chusteczką i wstałam, otrzepując się z trawy.

– Nie mam czym wrócić do Saint-Nom-La-Bretèche, – przypomniałam sobie, że razem z Zuzanną zniknęły też kluczyki od samochodu.

– Odwiozę cię. – Michael podniósł się z trawnika, podszedł do toyoty, otworzył drzwi i gestem zaprosił do środka.

– Poczekaj na mnie, pójdę tylko po rzeczy do siodlarni.

Wsiadłam do auta i nie mając nic innego do roboty, rozglądałam się po okolicy. Cisza i spokój kontrastowały z moim wewnętrznym roztrzęsieniem. Nic w otoczeniu nie świadczyło o rozegranym dramacie. Ktoś uprowadził Zuzannę, tego byłam pewna, a jedynym dowodem jej zniknięcia był opuszczony samochód. Najpierw Eclair, teraz Zuzanna. A jeżeli się nie odnajdzie? Jak ja sobie poradzę ze świadomością, że to przeze mnie? Gdyby nie ja, siedziałyby dalej z depresją u siebie w domu. Co prawda niewesołe takie życie, ale leki pewnie by pomogły i wróciłyby do zdrowia, a teraz nie wiadomo gdzie jest. Próbowałam nie poddawać się rozpacz, starałam się myśleć logicznie, ale powoli ogarniała mnie panika. A jeżeli jej coś zrobili? Wywieźli do lasu? Szukaj wiatru w polu. Las ogromny, trzeba by policję z psami ściągnąć.

– Kiedy zawiadamia się policję? – zadałam pytanie Michaelowi, gdy wrócił do auta.

– Chyba po czterdziestu ośmiu godzinach. Nic nie wskazuje na ślady walki... – urwał i popatrzył na mnie z litością. – Znajdzie się – dorzucił na pocieszenie.

Nie byłam tego taka pewna, ale nic nie odpowiedziałam. Jechaliśmy w milczeniu, każde zatopione w myślach.

– Gdzie cię wysadzić? – zasięgnął informacji, gdy dojechaliśmy do miasteczka.

– Koło kawiarni na dole. Poczekam, bo nie mam kluczy. Dziękuję ci bardzo za pomoc.

Michael podał mi wizytówkę.

– Dzwonź jakby co.

Wyciągnęłam z torebki notes i nabazgrałam mój numer. Kartkę położyłam przed szybą.

– To na razie. – Wyszłam na rozpaloną słońcem ulicę zastanawiając się co dalej.

W kafejce zamówiłam kanapkę z serem i piwo. Usiadłam na zewnątrz pod parasolem z napisem Heineken – zielony, kolor nadziei. Obmyślałam, co powiedzieć Tomkowi, jak go poinformować, że wróciłam sama, bez Zuzanny. Pociągnęłam ostatni łyk zimnego piwa i wybrałam numer.

– Halo – odezwał się ciepły głos.

– Zuzanna zniknęła.

W słuchawce zapadła cisza.

## Rozdział 7

Z trudem otworzyła powieki opuchnięte od snu. Promienie słońca przeświecały przez szczeliny w okiennicach. Nie wiedziała, która jest godzina, ani jak długo spała. Podniosła głowę i natychmiast opadła na poduszki. Ból rozsadał jej czaszkę. Nie mogła sobie przypomnieć, jak się znalazła w pokoju. Każda próba koncentracji na wspomnieniach kończyła się porażką, jakby miała zaniki pamięci, jakby nic wcześniej nie istniało, tylko pokój, cienkie smugi słońca tworzące jasne paski na ścianach, łóżko i ona. Przeszłości nie było, co wydało jej się całkiem dobrym rozwiązaniem, żyła chwilą obecną.

Z zainteresowaniem podniosła dłoń do oczu i zaczęła przyglądać się swoim szczupłym palcom z poobgryzаныmi paznokciami. Zastanowiło ją to. Dlaczego obgryzała paznokcie? W tym momencie pytanie zostało bez odpowiedzi. Gdyby nie ból wwiercający się w mózg, może przypomniałaby sobie, kim jest i co robi w tym pomieszczeniu. Myśl, że mogłaby tutaj mieszkać, nie przychodziła jej do głowy.

Poczuła potrzebę zaczerpnięcia świeżego powietrza, podniosła się powoli, usiadła i czekała, aż miną zawroty głowy. Spod przymkniętych powiek przyglądała się otoczeniu. Koło łóżka stała jasna, drewniana szafka z lampką nocną i butelką wody mineralnej, po drugiej stronie przy ścianie komoda – również z jasnego drewna, na której ustawiono telewizor. Spojrzała na wprost, na okno. Ciężko podniosła się z posłania, szurając nogami i przytrzymując się ściany, podeszła do niego, odsunęła zasuwkę przytrzymującą drewniane okiennice i otworzyła je bez trudu – zaskoczył ją widok krat. Oparła czoło o zimny metal, spoglądając na zewnątrz. Otaczała ją zieleń, wszędzie, gdzie okiem sięgnąć, ciągnęły się zielone krzewy i drzewa, nigdzie nie dostrzegła obecności człowieka. Ani jej to nie zmartwiło, ani nie ucieszyło, nie zareagowała na to spostrzeżenie żadnym drgnieniem mięśni twarzy czy głębszym oddechem. Stwierdziła fakt. Powlokła się z powrotem do łóżka. Przejechała językiem po suchych wargach, sięgnęła po butelkę, łąpczywie upiła kilka łyków – woda zostawiła w ustach gorzkawy smak. Okryła się kołdrą w jesienne liście i zapadła w niespokojny sen.

Śniło się jej, że przed kimś ucieka, nie wiedziała przed kim, bo mogła dostrzec tylko cień prześladowcy. Kiedy wreszcie zamknęła drzwi pomieszczenia, gdzie wydawała się bezpieczna, coś zaczęło ją dusić. Z krzykiem usiadła na łóżku, pot ściekał wzdłuż kręgosłupa, słyszała tylko świszczący dźwięk własnego oddechu. Chciała zamknąć oczy, aby uspokoić organizm, kiedy zauważyła ruch. Serce załomotało w klatce piersiowej. Obrazy niedawnego snu wyświetliły się w jej głowie, wywołując ucisk w gardle. Wytrzeszczonymi oczami spoglądała w miejsce, gdzie dostrzegła poruszający się kształt. Zwierzę? Szczur! Ta myśl błyskawicznie przeleciała przez połączenia nerwowe, wywołując wstrząs odrazy. Lubiła zwierzęta, ale szczurów się brzydziła. Nie zatrzymywała się dłużej nad tym stwierdzeniem, nie wiedziała, skąd miała pewność, że lubi zwierzęta, ale w tym momencie nie to zaprzętało jej uwagę.

Gdy rozglądała się za wyjściem, jej wzrok przykuły drzwi całkowicie zlewające się ze ścianą. Ten sam kolor – nie była pewna, czy to jasnożółty, czy morelowy – sprawił, że nie zauważyła ich wcześniej. Wskoczyła z łóżka, potykając się podbiegła do drzwi i otworzyła mocnym szarpnięciem. Wejście do łazienki – zorientowała się po kabinie prysznicowej. Pstryknęła włącznikiem, ale światło się nie pojawiło. Odwróciła się, żeby sprawdzić, co robił szczur, ale nie było go już na dawnym miejscu. Rozejrzała się z niepokojem po pomieszczeniu, na ścianie naprzeciwko białą plamą odcinały się drzwi. Podeszła do nich szybkim krokiem, złapała klamkę próbując je otworzyć, ale pozostały nieruchome. Szarpnęła i jeszcze kilka razy nacisnęła klamkę, ale bez efektu. Odwróciła się, na parapecie siedział mały kot, jego sylwetka odcinała się wyraźnie od białych krat. Na dworze stopniowo zapadał zmierzch. Zachodzące słońce kryło się za drzewami, pokój powoli wypełniał mrok. Tracę zmysły, pomyślała, patrząc na kota. Zwierzątko przyglądało się jej z ciekawością, nie było pewne, czy uciec na zewnątrz, czy zostać, dotrzymując dziewczynie towarzystwa. W tym momencie w jej świadomości wyświetliła się sekwencja jak urywek filmu. Boksy, w których stoją konie. Rozmawia z kobietą. Kim jest ta osoba? Napięte rysy twarzy, zwężone oczy, jasne włosy związane z tyłu głowy. Powoli wracają wspomnienia rozmowy. Carla! Mówiła, że jej wyjaśni, że wytłumaczy swoje postępowanie, tylko muszą pojechać do niej do domu, wtedy pokaże wszystkie dowody. Wreszcie się dowie, co się stało z Eklerkiem.

W czasie drogi Carla opowiadała o sobie straszne rzeczy. O ojcu i o tym, że traktował ją jak marionetkę. Gdy dojechały, Carla zrobiła herbatę i na tym koniec. Nic

więcej nie pamiętała. Masowała czoło, żeby sobie przypomnieć rozwój wypadków, jak doszło do spotkania i o co w tym wszystkim chodziło. Wróciła do łóżka, narzuciła kołdrę na nogi i zastanawiała się nad sytuacją. Dlaczego Carla zamknęła pokój na klucz?

Kot lizał futerko, udając, że nie interesują go jej poczynania. Przestała wreszcie biegać i krzyczeć, mógł więc spokojnie poczekać na to, co zrobi dalej.

Kolejny przebłysk świadomości przebił się do otumanionego mózgu. Twarz kobiety, uśmiecha się, w oczach błyszczą ogniki świadczące o poczuciu humoru. Ciemne włosy ścięte krótko przy uszach, w których połyskują diamenty. Kinga! Gdzie ona jest? Dlaczego nie są razem? Co Carla jej zrobiła? Myśli przelatywały przez głowę w szalonym rytmie, w oczach pojawiły się łzy. Jeżeli się skoncentruje, to sobie przypomni, na pewno. Teraz powinna się odświeżyć, bardzo możliwe, że zimny prysznic przywróci jej jasność myśli. Odrzuciła kołdrę i poszła w stronę łazienki, zimne kafelki schłodziły jej stopy. Była boso – dopiero teraz to zauważyła. Carla musiała ją rozebrać. Miała na sobie tylko koszulkę i majtki, resztę ubrań oraz buty zostawiła na dywaniku pozszywanym z różnych kawałków materiału. Jak to się nazywa? Wysiliła umysł, żeby przypomnieć sobie nazwę. Patchwork! Uśmiechnęła się do siebie z satysfakcją i weszła do łazienki. Drzwi zostawiła otwarte, żeby światło mijającego dnia pomogło jej w orientacji. Spojrzała w lustro, w półmroku starała się rozpoznać własne rysy. Na imię mam? Zmarszczyła czoło z wysiłku. Na imię mam... Zuzanna! Odetchnęła z ulgą, pamięć powoli odnajdowała drogę przez zamroczony narkotykami mózg. Nastawiła wodę, rozebrała się i weszła do kabiny, widocznie Carla zdjęła z niej ubrania, gdy kładła ją do łóżka. A może sama się rozebrała? Tego nie potrafiła sobie przypomnieć.

Woda przyjemnie obmywała ciało, jednak po chwili zaczęła spływać coraz słabiej aż w końcu skapywała pojedynczymi kroplami.

– Co jest! – krzyknęła, załomotała w rurę od prysznica, spadło kilka dodatkowych kropel i nastała cisza. Gwałtownie odsunęła zasłonę, sięgnęła po ręcznik zawieszony przy umywalce i wycierając się z piany, weszła do pokoju.

Za oknem zaszło słońce i nastał zmrok. Pstryknęła jeszcze włącznikiem, ale bez efektu. Położyła się z powrotem na łóżku i wpatrzona w szarzejący sufit, rozmyślała nad swoim położeniem. Pamięć jej wracała, środki odurzające, które spowodowały oderwanie od rzeczywistości, powoli kończyły działanie. Przyjrzała się nieufnie butelce – domyśliła się, że to ona jest przyczyną bólu głowy i zaników pamięci. Pomyślała, że powinna wylać

zawartość, ale pozostanie bez picia; jedyny dostępny zasób wody znajdował się w muszli klozetowej, a na wykorzystanie go w tej chwili nie mogła się zdecydować. Możliwe, że umrze tutaj z pragnienia, czekając na ratunek! Kto wie o tym miejscu? Chyba tylko Jean-Lou. Na wspomnienie mężczyzny łzy znowu napłynęły jej do oczu. Zdrajca! Oszukał ją. Myślała, że jest nią zainteresowany, a on tylko udawał. Naprawdę pociągała go Carla. Złość dodała jej sił. Wskoczyła z pościeli, podbiegła do drzwi i zaczęła w nie uderzać z całych sił pięściami.

– Carla, otwórz!

Przez chwilę nasłuchiwała, ale w domu panowała cisza. Oparła się o ścianę, myśląc, jak powinna postąpić. Musi przeczekać, nie ma wyjścia.

Bez prądu nie miała nic do roboty – telewizor pozostawał bezużyteczny. Mogła tylko wyglądać przez okno, żywiąc nadzieję, że zagubiony wędrowiec trafi pod dom. O tej porze nawet na wędrowca nie miała co liczyć, jedynie sowy pohukiwały od czasu do czasu.

Od ciemnego już okna odcinała się sylwetka kota, zwierzak postanowił dotrzymać jej towarzystwa. Była mu za to wdzięczna.

Wróciła do łóżka i sięgnęła po butelkę, chciała pogrążyć się we śnie, na nowo zapomnieć. Jeżeli nikt tutaj nie przyjdzie, najprawdopodobniej umrze z pragnienia.

## Rozdział 8

Zapanowało milczenie ciężkie od niewypowiedzianych słów. Tomasz się nie odzywał, a ja nie wiedziałam, co jeszcze mogę dodać.

– Jak to zniknęła? – spytał w końcu.

– Pojechaliśmy razem do klubu, ja poszłam na górę, a ona została z Carlą. Gdy zeszłam do stajni, już jej nie było.

– Zostawiłaś ją samą z Carlą!?! – wrzasnął mi do ucha.

– Przecież byli inni jeźdźcy, nie sądziłam, że grozi jej niebezpieczeństwo.

– Gdzie jesteś? – pytanie zabrzmiało jak strzał z bicia.

– W kafejce pod domem.

– Zaraz do ciebie przyjdę, nigdzie nie odchodź.

Czułam się wybita z rytmu, jakbym opuściła orbitę i wypadła z hukiem w nieznane przestrzenie międzygalaktyczne. Nie byłam przygotowana na konfrontację z podstępny przeciwnikiem i w takich sytuacjach nie wiedziałam, co robić. Zuzanna zaufała Carli, a ta ją podeszła – jak myśliwy podchodzi zwierzynę, z wyrachowaniem i bez skrupułów. Musiałam sięgnąć po resztki wiary w siebie, jakie mi jeszcze zostały. Rozmowa z Tomkiem nie zapowiadała się przyjemnie. Nawijałam na palec koniec bluzki, patrząc bezmyślnie przed siebie, kiedy podszedł do stolika. Zasłonił sobą słońce, a na mnie padł blady strach. Nieśmiało podniosłam oczy. Stał przede mną pochmurny jak listopadowy dzień, a czoło przecinała głęboka zmarszczka.

– Opowiadaj – powiedział, siadając.

– Wszystko już powiedziałam. Byłyśmy w klubie, ja rozmawiałam z Michaeliem, a ona z Carlą w stajni. Gdy zeszłam na dół, już jej nie było.

– Rozmawiałaś z pozostałymi jeźdźcami? Może ktoś coś widział?

– Nie rozmawiałam – przyznałam ze skruchą. – Czekałam na parkingu.

– Kinga, w jakim ty świecie żyjesz? – Myślałam, że zakrztusi się własnymi słowami. – Carla to kryminalistka, ukradła konia!

– Nie ukradła, kupiła.

– Ale coś ukrywa, inaczej powiedziałyby, co się z koniem stało. Wiem, że bliższa jest ci rzeczywistość z *Przeminęło z wiatrem* albo z *Anny Kareniny*, ale teraz trzeba się zastanowić, jakie działania podjąć.

– One wcale nie miały łatwego życia – rzuciłam w przestrzeń.

Popatrzył na mnie wybałuszonymi oczami.

– O kim mówisz? – wyjąkał.

– Anna i Scarlett O’Hara, Rhett to brutal i cham – powiedziałam z całą pewnością, na jaką było mnie stać.

– Muszę się czegoś napić. Rozmowa na trzeźwo mnie przerasta. Dwa kieliszki wódki, poproszę – powiedział do kelnera przechodzącego obok. – Wiem, że się przyjaźnicie. Chciałaś jej pomóc odnaleźć konia, ale teraz sprawa przybrała niebezpieczny obrót. Zuzanna zniknęła, nikt nie wie, gdzie jest. Ty straciłaś trop, jedyne, co nam zostaje, to pójść na policję. Dziękuję – powiedział do kelnera stawiającego kieliszki na stole.

Nie zaprzeczyłam, bo po co? Nie chciałam mu wyjaśniać, że łączyła mnie z Zuzanną współpraca nad książką. Chciałam, aby powieść ujrzała światło dzienne dlatego zdecydowałam się na wyjazd do Francji, nie podejrzewałam, że mogą z tego wyniknąć kłopoty. Nic nie zapowiadało afery kryminalnej.

Policja mnie nie przerażała, mogłam udać się na komisariat i opisać wydarzenia tego poranka, nasz wypad do klubu, rozmowę z Michaeliem i odkrycie, że Zuzanna opuściła budynek bez pożegnania. Nie wiem, czy moja rekonstrukcja zdarzeń mogła im się na coś przydać, ale nie przeszkadzało spróbować.

– To dla ciebie. – Tomek podsunął kieliszek w moją stronę.

Niepewnie powąchałam zawartość, stwierdziłam, że wyleję trunek pod stół jak nie będzie patrzył. Nie lubię mocnych alkoholi. I bez nich tracę kontakt z rzeczywistością. Upijanie się uważam za tchórzostwo, brak odwagi na spojrzenie prawdzie w oczy.

– Pij – wbił we mnie sokoli wzrok.

Wypiłam i natychmiast zaczęłam kaszleć. Zerwał się z krzesła i poklepał mnie po plecach.

– Lepiej? – upewnił się, gdy złapałam oddech.

– Lepiej – odpowiedziałam z trudem. – Nie lubię wódki.

– Widzę, ale czasami rozmowa na trzeźwo nie daje rezultatów. Pod wpływem alkoholu możesz sobie przypomnieć zdarzenia, o których zapomniałaś albo zepchnęłaś w podświadomość.

– Jesteś psychiatrą? Ciekawy sposób stawiania diagnozy.

– *In vino veritas*. Pod wpływem alkoholu puszczają blokady, którymi mózg broni się przed utratą kontroli, dobrym wizerunkiem samego siebie, czyli otacza nas strefą komfortu, która potrafi być bardzo... niekomfortowa.

Wpatrywałam się w niego bez słowa. Nawet bez alkoholu wiedziałam, że nic nie wiem. Może przegapiłam ważny szczegół? Coś, co mogłoby pokazać kierunek, w jakim



należy iść? Carla to element łączący wszystkie części w całość, zatem należy odszukać Carlę, a dzięki niej Zuzannę – po nitce do kłębka.

– Trzeba zadzwonić do Michaela. – Wyciągnęłam z torebki telefon, odnalazłam wizytówkę Irlandczyka i wybrałam jego numer. Po kilku sygnałach włączyła się sekretarka.

– Nie pozostaje nam nic innego, jak udać się na policję. – Tomasz wstał od stolika.  
– Zapłacę, poczekaj na mnie.

W komisariacie, po zgłoszeniu zaginięcia dyżurnemu w okienku, skierowano nas do poczekalni, gdzie usiedliśmy na mało wygodnych plastikowych krzeselkach w otoczeniu innych nieszczęśników. Plakaty na ścianach zachęcały do wstąpienia do policji, w rogu stał dystrybutor do kawy, a obok drugi ze słodkościami. Ludzie wchodzili i wychodzili odprowadzani przez policjantów. Niewielkie miasteczko, a na komisariacie ruch jak w ulu. Rozejrzałam się po pomieszczeniu w poszukiwaniu czegoś do czytania. Na drewnianym stoliku dostrzegłam leżące czasopisma. Zagłębiłam się w lekturze artykułu o piosenkarce Carli Bruni.

– Co czytasz? – postarał się nawiązać rozmowę mój znudzony towarzysz.

– O Carli.

– Jak to o Carli? – zdziwił się. – To już piszą o niej w gazetach?

– Piosenkarka Carla Bruni, żona Nicolasa Sarkozygo, byłego prezydenta Republiki. Piszą o jej koncertach i nowym albumie.

– Aha. Długo jeszcze będziemy czekać?

Obejrzałam ludzi na krzeselkach.

– Zależy, ile osób w komisariacie zajmuje się przesłuchiwaniami. Jeżeli jest to jeden oddelegowany osobnik – to długo.

– Opowiesz mi o sobie? – zapytał, wpatrując się we mnie z nadzieją.

– Nie lubię tego, moje życie wydaje się mało interesujące, dlatego dużo czytam. Żyję w świecie wymyślonym, nierealnym, aby oderwać się od rzeczywistości. Wybrałam edytorstwo i pracuję w wydawnictwie, o czym wiesz. Teraz twoja kolej.

– Mieszkam z mamą w przedwojennej willi we Wrocławiu, na Psim Polu. Mama została sama po śmierci taty. Mam siostrę, Elżbietę, poznałaś ją, a jej córki to oczywiście Zuzanna i Julia. Mąż ją zostawił, wyjechał do Kanady i więcej go nie widziała. Ale do panińskiego nazwiska z jakichś niezrozumiałych dla mnie powodów nie wróciła. Ja, po

studiach na Akademii Medycznej podjąłem pracę w szpitalu. Jak widzisz, prowadzę mało interesujące życie.

– Jak znalazłeś się we Francji, skoro pracujesz w szpitalu we Wrocławiu? – zainteresowałam się trochę zbyt nachalnie.

– Przyjechałem do Francji na staż z anestezjologii, a w tym czasie Zuzanna zaczęła mieć kłopoty ze zdrowiem, pojawiły się u niej objawy depresji po zniknięciu Eklerka. Wziąłem zatem zaległy urlop, aby zastąpić ją w opiece nad ciotką Józefiną.

– Masz rodzinę to dużo. Moi rodzice zginęli w wypadku lotniczym, wychowywałam się w domu dziecka, ponieważ dziadkowie od strony taty nie chcieli się mną zajmować. To dlatego zmieniłam nazwisko – powiedziałam, wpatrując się w gazetę.

– Ogromnie mi przykro. – Wyjął mi gazetę z ręki i ją uściśnął. – Nie chciałaś założyć własnej rodziny?

– Nie spotkałam odpowiedniego kandydata. A ty? – Spojrzałam na niego wilgotnymi oczami.

– Narzeczona odeszła. – Zamilkł na moment, zagłębiając się w myślach. – Z innym. Na szczęście nie był moim przyjacielem – dorzucił z niepewnym uśmiechem.

– Jesteśmy jak dwoje rozbitków na tratwie – stwierdziłam filozoficznie.

Z holu wyszła młoda policjantka i skierowała się w naszą stronę.

– Pani Alias? – przeczytała nazwisko z kartki w notesie.

– To ja.

– I pan...

– Radwański – dokończyłam za nią.

– Proszę za mną.

Poprowadziła nas korytarzem, a następnie schodami na pierwsze piętro, wpatrywałam się w spięte w kok ciemne włosy i proste plecy okryte przepisowym żakietem. Myślałam o jej zainteresowaniach, gdyż wyglądała na miłośniczkę fitnessu. A może sportów walki? Ciekawe, czy posiada czarny pas w taekwondo?

W biurze usiadła przy komputerze, a nas poprosiła o zajęcie miejsc na krzesłach.

– Chcieli państwo zgłosić zaginięcie? – Spojrzała na mnie, a następnie na Tomka. – Nazwisko zaginionej?

– Kosińska Zuzanna. Pojechaliśmy do klubu jeździeckiego i niestety stamtąd już nie wróciła.

– Jak dawno to się wydarzyło? – Policjantka wpisywała informacje do komputera.

– Dzisiaj rano.

Kobieta oderwała wzrok od ekranu i spojrzała na mnie uważnie.

– Czyli od zaginięcia nie minęło czterdzieści osiem godzin. Zanotuję państwa zgłoszenie, ale nic więcej nie mogę zrobić, przykro mi. Chyba, że ma pani podejrzenia, że została uprowadzona siłą... Ślady walki, krew?

– Nie.

– W takim razie będziemy musieli poczekać. Zdarza się, że osoby uważane za zaginione wracają.

Wyszłam z komisariatu rozczarowana i zła. Kontakt z policją wypadł mdło, nie udało się popchnąć sprawy do przodu, dalej wszystko w zawieszeniu, żadnej drogi wyjścia, wszędzie ślepe uliczki.

Po powrocie Julii z wycieczki do Luwru, odegraliśmy tragedię grecką w trzech aktach. W pierwszym akcie Julia z milczącym wyrzutem słuchała wyjaśnień, w drugim szlochała i zawodziła jak Kasandra w czasie podbijania Troi. Jej „a nie mówiłam!” słyhać było w całym miasteczku. W trzecim i ostatnim – ja zamknęłam się w pokoju. Natomiast w kuchni Tomasz podawał siostrzenicy środki uspokajające.

Oczywiście, że było mi jej żal, rozumiałam jej bezradność w obliczu zaistniałej sytuacji, może nawet przyłączyłabym się do jej użalań, gdyby to mogło w czymś pomóc; jednak płacz niczego nie rozwiązywał. Musiałam coś wymyślić, cała rodzina Zuzanny będzie miała do mnie pretensje o to, co się stało. Nie miałam wpływu na rozwój wypadków, jedne wydarzenia popychały drugie jak kostki domina; nie mogłam nic na to poradzić. Wiedziałam jednak, że to mnie obciążą winą za wszystko. Tak jak w średniowieczu palono na stosach „czarownice”, które oskarżano o szerzenie na świecie wszelkiego rodzaju zaraz, tak i teraz musiał znaleźć się jakiś kozioł ofiarny, na którego można by zrzucić winę za niepowodzenia.

Nie mogłam zasnąć, przez głowę przelatywały wydarzenia z całego dnia. Aby oderwać się od ponurych myśli, wyjęłam z walizki teczkę z niedokończoną powieścią Zuzanny. Wyciągnęłam się wygodnie na łóżku, nogi przykryłam wełnianą narzutą w brązową kratę. Przerzuciłam kilka stron i znalazłam odpowiedni rozdział.

*Saint-Nom-La-Bretèche, Francja, marzec 2017 r.*

*Nastawiła kawę i wrzuciła kromki chleba do opiekacza. Gdy tosty wyskoczyły, przysmażone dokładnie tak, jak lubiła, rozsmarowała na nich konfiturę z czarnej porzeczki. Pomyślała, że w zwykłych czynnościach można znaleźć okruchy szczęścia.*

*Przesunęła drzwi szafy i przyjrzała się swoim ubraniom. Wybrała jeansy – spodnie do jazdy miała w klubie – do tego koszulową bluzkę w niebieskim kolorze, która podkreślała karnację. Oczy podmalowała maskarą i położyła błyszczący na usta. Z zadowoleniem przyglądała się odbiciu w lusterku. To tylko zwykły trening, ale powinnam dobrze wyglądać, przekonywała samą siebie. Włożyła zamszowe botki, ubrała kurtkę i wyszła z mieszkania.*

*Gdy przyjechała na miejsce weszła do siodlarni ze sprzętem ujeżdzeniowym. Każde siodło oraz ogłowie podpisano imieniem konia. Ściągnęła te, których eleganckie metalowe tabliczki miały wygrawerowany napis »Eclair«, a pod spodem mniejszymi literami »Z. Kosińska«. Zabrała cały sprzęt i zeszła do stajni. Koło boksu Eklerka stał Jean-Lou, serce podskoczyło jej do gardła; nie spodziewała się go tak szybko.*

*– Cześć, potrzebujesz pomocy? – spytał.*

*Poprosiła go o przygotowanie konia, zostawiła sprzęt pod boksem, a sama wróciła na górę przebrać się.*

*Wsiadała na konia pod uważnym spojrzeniem Jean-Lou, który trzymał Eklerka za wodze, chciała odbić się lekko i z gracją usiąść w siodle. Fala gorąca rozeszła się po ciele, gdy otarła się o jego ramię. Starła się myśleć o lekcji, zrobiła wdech, policzyła do trzech, wypuściła powietrze nosem.*

*–To zaczynamy – powiedziała, kiedy była gotowa do treningu.*

*– Na początek kilka ćwiczeń, wyrzuć strzemiona i zostań na okręgu – Jean-Lou wydawał polecenia głosem przyjaznym, ale stanowczym. – Przede wszystkim popracuj nad pozycją.*

*Zuzanna uwolniła stopy ze strzemion, opuściła luźno nogi wzdłuż boków konia i poddała się harmonijnemu ruchowi.*

*– Najczęstszą przyczyną nieprawidłowego działania pomocy jest zła pozycja jeźdźcy. Złap przedni łęk i unosz regularnie kolana w górę. Raz, dwa, raz, dwa. Plecy proste – dorzucił, kiedy pochyliła się do przodu. – A teraz kręć nogami jak na rowerze.*

*Czuła się jakby dopiero zaczynała przygodę z jeździectwem, jakby to był jej pierwszy kontakt z grzbietem konia. Świadomość, że traktuje ją jak debiutanta nie dodawała jej pewności siebie.*

*– Wsiądź w siodło, odchyl się do tyłu. A teraz zatrzymaj konia samym dosiadem. Dobrze. – Podszedł do niej i poklepał po łydce. – Noga swobodnie zwisa, w stałym kontakcie z bokiem konia, pięta w dół. Nie usztywniaj mięśni – powiedział, gdy odruchowo zeszywniała pod wpływem ruchu jego ręki od łydki w stronę ud. Czuła, że się czerwieni, nie umiała powstrzymać emocji, które wstrząsnęły jej ciałem. Jean-Lou uśmiechnął się przyjaźnie, poprawił zapięcie nachrapnika, a następnie odsunął się, aby mogła odjechać stępem.*

*– Zrób kilka skrętów tułowia, ale nie unosź kolan w górę, noga swobodnie zwisa. Ręce oprzyj na biodrach i przejdź do klusa.*

*Przez kilka minut klusowała, starała się wysiedzieć w siodle, nie podskakiwać jak worek ziemniaków. Ulżyło jej, gdy zalecił przejście do stępa.*

*– Dotknij uszu konia, a teraz zadu, raz jedną ręką, raz drugą. Skręć tułów... bardziej. Gdy chcesz, aby koń skręcił, odwracasz głowę w danym kierunku i skręcasz górną część ciała. Spróbuj zakłusować, a następnie przejdź do stępa bez użycia rąk. Samym dosiadem.*

*Ćwiczyła zmiany chodów, kierunku, aż wreszcie przejścia stały się harmonijne i płynne.*

*– Powiększ okrąg i zagalopuj ze stępa, następnie przejdź do klusa. Na prawą i na lewą rękę.*

*Na koniec treningu Eklerek wykonywał polecenia bez oznak zdenerwowania czy napięcia. Skoncentrowany, ale doskonale rozluźniony, był idealnym partnerem, jazda sprawiała Zuzannie przyjemność, jej ciało poddawało się ruchowi do przodu, nie stawiając oporów. Zmęczenie dawało się we znaki, ale czuła też satysfakcję z wykonanej pracy. Poluzowała wodze, obchodziła ujeżdżalnię stępem, aby koń odpoczął, gdy do maneżu weszła Elisabeth. Kilka minut rozmawiała z Jean-Lou i wyszła.*

*– Skończymy na tym, nieźle sobie radziłaś, możemy to kiedyś powtórzyć. – Pomachał dłonią na pożegnanie i opuścił ujeżdżalnię.*

*Zuzanna została kilka minut dłużej, nie chciała wracać do boksu na zmęczonym koniu. Kiedy Eklerek odpoczął, zjechała do stajni. Odpinała popręg, gdy zajął do niej Michael.*

– *Wiesz, że Jean-Lou i Carla jadą z nami na zawody?*

*Zdziwiła się, przecież mówił, że nie jedzie. Czyżby kłamał? Ale po co?*

Tekst urywał się w tym miejscu. Nie było części dalszej, nie wiedziałam, co wydarzyło się w klubie, a potem na zawodach. Jediną osobą, która mogła dostarczyć mi informacji, był Michael. Odszukałam jego wizytówkę w torebce i wybrałam numer. Tym razem odezwał się męski głos:

– *Allo?*

– *Tu Kinga, znajoma Zuzanny.*

– *Tak, Kinga, pamiętam, widzieliśmy się dzisiaj – w jego głosie usłyszałam nutę rozbawienia. Przynajmniej on dostrzegał zabawność sytuacji, no chyba że był to czarny humor.*

– *Co łączyło Zuzannę z Jean-Lou?*

*Po drugiej stronie zapanowała cisza.*

– *A coś ich łączyło?*

*Odpowiedź pytaniem na pytanie nie wróży nic dobrego albo nie wie, albo nie chce powiedzieć.*

– *Nie wiem, próbuję rozwiązać zagadkę. Gdzie go można złapać?*

– *Nie ma szansy na kontakt telefoniczny. Wyjechał na wieś, gdzie nie ma zasięgu.*

*Do niedzieli.*

*Jęknęłam w duchu, jedyny trop, jaki miałam, urywał się zanim do czegoś doprowadził. Zapanowała cisza, chciałam się pożegnać i rozłączyć, gdy Michael dorzucił:*

– *Możemy pojechać i go poszukać. To mała miejscowość, nawet jak będziemy chodzić od domu do domu, to znajdziemy. Wyjedziemy w sobotę rano, może Zuza do jutra wróci... – Urwał, jakby nie wiedział, co powiedzieć.*

*Odjęło mi mowę, nie spodziewałam się, że obcy człowiek zaproponuje mi pomoc. No może nie całkiem obcy.*

– *Dziękuję ci bardzo, nawet nie wiesz, ile to dla mnie znaczy. – Zaczęłam pociągnąć nosem.*

– Tylko się nie rozpłacz.

Za późno, wybuchnęłam płaczem, napięcie całego dnia znalazło ujście w potoku łez. Tomasz wpadł do pokoju, spojrzał na mnie i zmarszczył czoło.

– Co się stało? – spytał zaniepokojony.

Zanosilałam się szlochem, nie mogłam wytłumaczyć – podałam mu telefon.

– *Tomasz Radwański, chciałbym wiedzieć* – urwał, słuchając wyjaśnień. – *Jestem jej wujkiem* – dodał po chwili.

Domyśliłam się, że mówią o Zuzannie, bo przecież moim wujkiem nie jest.

– *Do you speak english?*

Przez chwilę trwała cisza, widocznie Michael tłumaczył jeszcze raz wszystko po angielsku.

– *Tomorrow... Yes, of course.*

Rozłączył się, usiadł koło mnie na łóżku i objął ramieniem. Gładził moje plecy, powtarzając cicho: – Nie płacz, będzie dobrze.

Pewności co do tego nie miałam, ale szloch przeszedł w zawodzenie. Tomasz podał mi chusteczkę, w którą głośno wytarłam nos.

– Chodź, zjesz coś. Zrobiłem sałatę z awokado i pomidorami.

Zaprowadził mnie do kuchni, Julii nie było w pomieszczeniu, widocznie poszła się położyć.

– Jak się czujesz? – zagadnął mnie, gdy zjadłam spory talerz sałatki.

– Dziękuję, lepiej. – Spojrzałam na niego z wdzięcznością.

– Weź prysznic i odpocznij, miałaś stresujący dzień. Jutro spotkamy się z Michaelem w klubie i pojedziemy szukać Jean-Lou. – Zamyślił się na moment i dodał niemal szeptem: – Mam nadzieję, że to coś da.

Przez całą noc czułam niepokój. Przekręcałam się z boku na bok, a gdy tylko udało mi się zdrzemnąć, męczyły mnie koszmary – ciała kobiet w różnych stadiach rozkładu, powykęcane, zniekształcone, jakby w moim mózgu wyświetlały się makabryczne sceny ze wszystkich przeczytanych kryminałów. Jeden zapamiętałam szczególnie dobrze. Kobięce ciało leżące w wannie, woda zakrywa twarz i zamknięte oczy. Nagle kobieta otwiera oczy, gwałtownie siada, śmieje się, a z jej ust wychodzą robaki. Podskoczyłam na łóżku, budząc się w panice. Z ulgą przywitałam wstający dzień.

Nastawiłam kawę i wrzuciłam tosty do opiekacza; po kuchni rozszedł się zapach pieczonego chleba. Jadłam śniadanie bez apetytu, spoglądając na pusty parking, kiedy wszedł Tomasz. Podszedł do mnie i pocałował we włosy.

– Cześć, jest kawa?

– Jest, w ekspresie.

Nalał napój do kubka, oparł się o ścianę i zaczął popijać niespiesznymi łykami.

– O której umówiłeś się z Michaeliem? – przerwałam milczenie.

– O dziesiątej, nie mógł wcześniej, niestety – wyjaśnił i widząc moją strapioną minę, zaproponował: – Chcesz pobiegać? Mamy sporo czasu, ale to cię odpręży, przestaniesz na chwilę się zamartwiać. A siedząc tu beczynn timer i tak do niczego nie dojdziemy.

Propozycja mnie zaskoczyła. Od lat nie biegałam, ostatnio chyba na uczelni, na zajęciach ze sportu.

– Słabo biegam, szybko się męczę.

– To nic, zawsze tak jest na początku, załóż luźne spodnie, buty te same co wczoraj i idziemy.

– Może najpierw powinieneś zjeść? Kiepsko się biega z pustym żołądkiem.

– Zjem tosta, a ty się ubierz.

Nie było sensu dyskutować, ubrałam się tak, jak mi polecił i wyszliśmy z domu. Wybraliśmy tę samą drogę jak dzień wcześniej. Minęliśmy skwerek z fontanną, kafejkę, stare domy, restaurację i doszliśmy do skrzyżowania. Przez całą drogę nie zamieniliśmy ani słowa, zatopieni w rozmyślaniach. W lesie Tomek przeszedł w trucht, biegł jednakowym tempem, spokojnie oddychając, ja zaś potykałam się na nierównościach, to zwalniałam, to przyspieszałam. Po kilku metrach dostałam zadyszki, zatrzymałam się pochylona w przód, z dłońmi na udach.

– Potrzebujesz pomocy lekarskiej? – Tomek podbiegł do mnie, uśmiechając się szeroko. – Metoda usta-usta jest bardzo skuteczna.

Objął mnie i zaczął całować po szyi.

– Tak naprawdę to nie o bieganie ci chodziło, przyznaj się – powiedziałam, oddychając z trudem.

– O bieganie też, ale rzeczywiście nie masz formy – szepnął, całując mnie w szyję, twarz, we włosy.



– Zapomniałeś o Zuzannie? – Opamiętałam się i gwałtownie od niego odsunęłam. Po chwili poczułam jednak zakłopotanie. Moje pytanie zabrzmiało oskarżycielsko, a przecież nie przez jego niefrasobliwość Zuza znalazła się w łapach porywaczy.

– Nie zapomniałem, przejdźmy się. – Poprowadził mnie ścieżką wśród drzew, trzymając za rękę

– Naprawdę, nie zapomniałem... – powtórzył cicho. – Cały czas zastanawiam się, co się jej przydarzyło i dlaczego do tego doszło. Czy coś przeoczyłem? Przecież to zwykły koń, niczym się nie wyróżnia. – Popatrzył na mnie, ściągając brwi. – Co w nim jest na tyle interesującego, że ktoś chciał go ukraść czy podmienić, czy...

– Poczekaj – przerwałam mu. Teraz ja marszczyłam czoło, myśląc intensywnie. – Dlaczego nie brałam tego pod uwagę?

– Czego? – zdziwił się.

– Zamiany. Zamiany koni. Jeden podstawiony pod drugiego. – Stałam na środku dróżki, starając się wytłumaczyć, o co mi chodzi, choć sama jeszcze nie potrafiłam tego do końca sprecyzować. – Eklerek podstawiony pod innego konia.

– Tylko po co? – W jego wzroku wyczytałam niewiarę.

– Jak odkryjemy po co, to będziemy wszystko wiedzieć – wykrzyknęłam z entuzjazmem i się do niego mocno przytuliłam.

– Udusisz mnie – stwierdził ze śmiechem, odsuwając mnie lekko. – Ale ja dalej nie rozumiem, po co taka zamiana?

– Powody mogą być różne. Oglądałeś film o Indianie Jonesie? On tam podmienia złoty posążek na worek z piaskiem, pamiętasz?

Tomek drapał się po brodzie, zastanawiając o jakim filmie mowa, ale w końcu wzrok mu się rozjaśnił.

– Tak, pamiętam. Myślisz, że podmienili konia o większej wartości? A Eklerek służy za przykrywkę? Tylko że właściciel rozpozna konia – w jego głosie pojawiło się wątplenie.

– Chyba, że chodzi o mydlenie oczu innym. Słuchaj, a jeżeli go wywieźli do Arabii Saudyjskiej? Kto tam zna konie z Europy?

– Eklerek wywieźli do Arabii Saudyjskiej? Ty już wymyślasz niestworzone historie. Chodź, wracamy.

Szliśmy szybkim krokiem w kierunku domu, promienie słońca przebijały się przez liście drzew. Wokół nas panowała cisza, uliczny hałas tutaj nie docierał.

– Oby Zuzy nie wywieźli do Arabii Saudyjskiej – powiedział Tomek ponuro.

– Za stara. No wiesz, oni lubią nastolatki. – Próbowałam go podnieść na duchu.

Rzucił mi spojrzenie z ukosa.

– Rodzić dzieci może.

Wyobraziłam sobie namiot na pustyni, Zużę z czarną chustą na głowie, otoczoną gromadką dzieci, najmłodsze trzymało się jej długiej spódnicy. Otrząsnęłam się, gdyż wizja była zbyt przygnębiająca.

– Wiesz, nie mam nic przeciwko dzieciom, tylko po co tyle zachodu? Może i mogliby ją przewieźć przez granicę samochodem, ale gdzieś trafiliby na kontrolę, w samolocie, na statku. Bogaty szejik wybrałby ofiarę wśród gwiazdek estrady czy kina.

– To samo dotyczy twojego konia. – Tomasz naburmuszył się, jakbym odebrała mu radość z wejścia do rodziny potentata naftowego.

Nic nie odpowiedziałam, wolałam zachować swoje przemyślenia dla siebie.

W mieszkaniu wpadliśmy na Julię, która obrzuciła nas nieprzyjaznym spojrzeniem.

– Gdzie byliście? – spytała ponuro.

– Biegaliśmy w lesie. Michael pomoże nam szukać Jean-Lou. Poczekasz na nas tutaj, w razie gdyby Zuzanna wróciła. – Tomasz mówił spokojnie, ale stanowczo.

Nic nie powiedziała, obróciła się na pięcie i weszła do pokoju.

Zmieniliśmy ubrania, Tomasz zabrał ze sobą torbę medyczną.

– Nigdy nic nie wiadomo – wyjaśnił, gdy posłałam mu pytające spojrzenie.

Wyszliśmy przed dom i po chwili zadzwonił telefon. Michael czekał na parking. Przedstawiłam Tomka i po zwyczajowych całusach w policzek wsiedliśmy do toyoty.

– Jedziemy do Courances, to około siedemdziesięciu kilometrów stąd. Musimy trafić na autostradę A6. Kto zna się na mapie?

Nie wychylałam się z moją kandydaturą, bo miałam problem z właściwym kierunkiem, nigdy nie wiedziałam, jak obrócić mapę, żeby znaleźć odpowiednie położenie. Usiadłam na tylnym siedzeniu, czekając, aż panowie uzgodnią wszystko ze sobą. Tomasz z Michałem wymieniali uwagi po angielsku, a ja oglądałam krajobraz.

– Masz teorię dotyczącą zniknięcia Eclaira? – Michael zerknął we wsteczne lustro.

– I tak, i nie – oderwałam wzrok od mijanych widoków. – Mogli zamienić konie, ale tak naprawdę to nie mam żadnych dowodów. Tylko tyle, że w Sienie odbywają się wyścigi... A ze Sieny pochodzi Carla – dodałam, widząc, że nie rozumie.

– Eclair nie biega – stwierdził.

No i rozmawiaj tu z takim. Zdenerwował mnie. I co z tego, że nie biega, może inny biega. Zaraz, zaraz, muszę się nad tym zastanowić. Milczałam przez dłuższą chwilę, rozważałam różne możliwości.

– A jeżeli innego konia podmienili jako Eclaira?

– Po co?

Przestanę lubić to pytanie, po co i po co? Nie wiem, to nie ja stoję na czele bandy handlarzy końmi.

– Widocznie do czegoś był im potrzebny.

– Mówisz oni, skąd masz pewność, że ich jest więcej? Może Carla ukradła tego konia dla siebie?

– Całkiem bez sensu, nie musiała go kraść, był na sprzedaż. Nie o kradzież chodzi, tylko o zniknięcie, a teraz zniknęła też Zuzanna.

Zapadło milczenie, nikt nic nie powiedział. Słuchaliśmy radia i od czasu do czasu Tomasz rzucał uwagi dotyczące zjazdów z autostrady. Oparłam czoło o szybę i patrzyłam na mijane domy na skraju pól, zupełnie ich nie widząc. A jeżeli nasza wyprawa się nie powiedzie? Jean-Lou nie udzieli odpowiedzi na pytania? Dalej będziemy się kręcić w kółko, czekając aż minie czterdzieści osiem godzin i policja wejdzie do akcji. A jeżeli wtedy będzie już za późno na pomoc? Pomyślałam o śnie, kobieta w wannie chciała mnie przed czymś ostrzec. Nie wiedziałam, na co powinnam zwrócić uwagę. Co przegapiłam w czasie poszukiwań Zuzy? Teraz szukałam wsparcia w proroczych snach, niedługo zacznę spoglądać w przyszłość, stawiając karty tarota. Miałam nadzieję, że sen był wytworem przepracowanej wyobraźni, że Carla nie posunęła się do morderstwa.

Koło jedenastej dwadzieścia dojechaliśmy na miejsce.

– Nie wiesz, gdzie mieszka? – zapytałam, gdy zaparkowaliśmy przed budynkiem ozdobionym trójkolorową flagą.

– Nie, wiem tylko, że odziedziczył dom po dziadku. Może to ze strony ojca i odnajdziemy po nazwisku – powiedział z nadzieją. – Musimy się pośpieszyć, w południe zamykają.

– W sobotę pracują? – zdziwiłam się, znając francuskie zwyczaje; urzędnicy w weekendy byli nieosiągalni.

– W Hotel de Ville jest informacja turystyczna. To często odwiedzane miejsce ze względu na zamek, dlatego działa cały rok.

Weszliśmy do parterowego budynku, w recepcji siedziała młoda kobieta wpatrzona w ekran komputera.

– Dzień dobry, szukam przyjaciela, który spędza tutaj weekend, ale nie znamy adresu. – Michael w uśmiechu pokazał wszystkie zęby.

– Nazwisko – rzuciła pani znad komputera.

– Wilson.

– Tak się nazywa pana znajomy?

– Nie, to moje nazwisko. – zmieszał się Michael. – Szukam Jean-Lou Martina.

– Nie mogę podawać adresu nieznanym, proszę zostawić numer telefonu, nazwisko znajomego i pańskie. – Pani z okienka przysunęła długopis i kartkę papieru. – Zadzwoń do pana po potwierdzeniu danych. Michael zanotował wymagane informacje i wyszliśmy na zewnątrz.

– I co teraz? – pociągnęłam go za język, aby coś powiedzieć. Próbowałam zaakceptować wiadomość o braku kontaktu z Jean-Lou i dopasować te informacje do pozostałych elementów. Układanka, którą usilnie chciałam złożyć, zamiast rozjaśnić sytuację, zaciemniała ją coraz bardziej. Czułam irytację.

– Chodźmy zwiedzić zamek, i tak musimy czekać. Albo... – Michael urwał zastanawiając się nad czymś.

– Albo co? – Zniecierpliwiłam się, gdy cisza się przedłużyła.

– Wróćmy do informacji po spis mieszkańców. Zadzwońmy do wszystkich Martinów w okolicy.

– Dobrze, ale ty rozmawiasz, bo ta pani jest mało przyjemna i mogę jej coś nieprzyjemnego powiedzieć.

– Ty chyba rzadko bywasz we Francji. – Roześmiał się Michael.

– Sama pierwszy raz, ale w czasie studiów odbywaliśmy staże w różnych miastach. Fakt, że dawno temu – tłumaczyłam speszona.

Tomasz spoglądał to na mnie, to na Michaela, nic nie mówiąc.

– Idziemy po książkę telefoniczną, zaraz wracamy – wyjaśniłam.

Ze spisem telefonów pod pachą usiedliśmy na ławce przy pobliskim skwerku. Pierwsza na liście: Amandine Martin.

– Dzień dobry, nazywam się Michael Wilson, szukam kolegi z wojska... Rozłączyła się.

– Kolegi z wojska? – Nie potrafiłam ukryć zaskoczenia.

– A co mam mówić? Że porwano Zuzannę i nie wiem, gdzie jej szukać? I że Jean-Lou może wie więcej. W końcu spotykał się z Carlą.

– Jak to spotykał się z Carlą? – Ze zdziwienia opadła mi żuchwa. – Dlaczego nie mówiłeś wcześniej?

– Bo to nie moja sprawa. On się spotykał, nie ja. – Michael przybrał obronny ton.

– O co się kłóćcie? – Chciał wiedzieć Tomek.

– Właśnie się dowiedziałam, że Jean-Lou kręcił z Carlą. Nie wiem, czy to coś zmienia, ale wolałabym o tym wiedzieć.

– Myślisz, że mogą być w zмовie?

– Zastanówmy się, co robić. Szukamy go dalej, czy idziemy na policję?

Spojrzał na mnie z powątpiewaniem.

– Nie mamy dowodów. Szukamy dalej, możliwe, że się zdradzi, spanikuje. Chyba nas wszystkich nie porwie?

Kto wie, do czego są zdolni bandyci.

– Kto dalej na liście? – spytałam Michaela.

– Geneviève Martin.

– Dzień dobry, nazywam się Michael Wilson, szukam kolegi z wojska, Jean-Lou Martina. Podobno odziedziczył dom po dziadku. Jestem przejazdem. Niestety, nie mam zbyt dużo czasu. Może innym razem, do widzenia.

Michael wyłączył telefon.

– Chciała zaprosić mnie na kawę.

Obdzwanianie Courances i okolicznych wiosek zakończyliśmy koło trzynastej. Rozczarowana zamknęłam spis telefonów.

– To co teraz?

– Idziemy na obiad, burczy mi w brzuchu. Na głodnego źle się myśli. – Michael podniósł się z ławki, a za nim Tomek. – Mamy godzinę, później trzeba oddać książkę.

– Myślisz, że znajdziemy tutaj bar?

– Zapytamy.

Patrzyłam na nich w osłupieniu. Jak mogli w ogóle myśleć o jedzeniu w takiej sytuacji? Tomek podszedł do spacerującego z psem mężczyzny i wdał się w pogawędkę.

– Jest naleśnikarnia w Milly-la-Foret, albo pizzeria Le Petit Moigny. Pan mówi, że warto pójść na zamek z czasów Ludwika XIII, co prawda do środka nie wejdziemy – w sierpniu zamknięty, ale ogrody są warte podziwu, zaliczane do najpiękniejszych we Francji. Mają nawet ogród w stylu japońskim – pochwalił się wiedzą.

Gdyby nie Zuzanna, chętnie opowiedziałabym mu, że we Wrocławiu też mamy taki zakątek w parku Szczytnickim, że osobiście wolę angielski styl, bardziej naturalny, bo pozostawia naturze prawo do decydowania, gdzie i jak chce rosnać, jednak pod czujnym okiem ogrodnika. I że japońskie skarłate drzewka wywołują u mnie ból zębów. Ale nie miałam na to siły.

– Zamek możemy obejrzeć później. Pizza czy naleśniki?

Wybraliśmy pizzerię. Droga do restauracji prowadziła wzdłuż ogrodzenia parku. Gdyby nie okoliczności, byłaby to naprawdę urocza wyprawa, słońce przygrzewało, a my szliśmy wśród drzew chronieni pod gąszczem liści przed jego promieniami, mijaliśmy pola uprawne i łąki, aż doszliśmy do bramy zamku. Majestatyczne drzewa zasłaniały widok na romantyczne ogrody, jednak w prześwitach widać było zadbane trawniki, rzeźby i oczka wodne. Udany melanz różnych stylów. Pomimo wojen, związek francusko-angielski miał okazję wydać liczne owoce, zarówno w dziedzinie aranżowania ogrodów, jak i sztuki. Wchodziliśmy w jasne i ciemne plamy tworzone przez przeświecające przez liście promienie słoneczne, jak pionki w grze przeskakiwaliśmy z jasnych pól na ciemne, grając z przeznaczeniem. Zastanawiałam się, kto ostatni powie: „Szach-mat!”.

Doszliśmy do rue du Moulin, która zaprowadziła nas prosto do drzwi lokalu.

W środku otoczył nas zapach pieczonego ciasta, sera i warzyw, a domową atmosferę uzupełniał wystrój – podłoga z terakoty, stoły z ciemnej sosny. Ze zdziwieniem odkryłam, że jednak burczy mi w brzuchu. Wybraliśmy stolik pod ścianą ozdobioną czarno-białymi zdjęciami Paryża. Między stolikami zwinnie uwijali się kelnerzy. Panowie wybierali pizzę, a ja zamówiłam dzbanek czerwonego wina. Miałam chwilowo dosyć afer kryminalnych i zamierzałam pograć się w oparach alkoholu.

Uśmiechnięta, młoda kelnerka przyniosła zamówione przeze mnie wino, nalałam wszystkim do kieliszków i oddałam się ponurym rozważaniom o tym, co zrobię, jeśli

Zuzanna się nie odnajdzie. Cała rodzina mnie znenawidzi, łącznie z Tomkiem, który jak na razie robi dobrą minę do złej gry. A Julia? Właśnie! Julia.

– Tomek, zadzwoń do Julii i poinformuj ją, gdzie jesteśmy i co robimy, pewnie się martwi.

Przeprosił, wstał od stolika, podał zamówienie kelnerce i wyszedł na zewnątrz. Pewnie chciał na spokojnie zdać sprawozdanie z przebiegu wypadków. Opróżniałam kolejny kieliszek, gdy wrócił.

– Wino na pusty żołądek, chyba chcesz nam zaśpiewać i zatańczyć dla urozmaicenia pobytu – powiedział z uśmiechem.

Właściwie tak, miałam ochotę urozmaicić mu pobyt. Oboje jesteśmy dorośli, samotni, przechodzimy trudny etap w życiu. Nic tak nie poprawia nastroju jak niezobowiązujący seks w łazience. Już chciałam mu to zaproponować, gdy zadzwonił telefon Michaela.

– Cześć, co słychać? Co u ciebie?

Przez chwilę gadał w ten deseń, aż w końcu się rozłączył.

– To Jean-Lou, przyjdzie tutaj. Dostał wiadomość od pani z informacji turystycznej, zadzwonił na podany numer, a ja powiedziałem, gdzie jesteśmy.

Ogromny kamień spadł mi z serca i poturlał pod nogi wchodzących gości, mogłam tańczyć i śpiewać, i krzyżeć na całe gardło, że życie jest piękne. W międzyczasie dopijałam kolejny kieliszek wina i w zachwycie pożerałam ogromny kawał pizzy, który miła kelnerka przede mną postawiła. A gdy Jean-Lou podszedł do naszego stolika rzuciłam mu się na szyję jak staremu znajomemu. Obrzucił mnie rozbawionym spojrzeniem.

– Pani z Polski? Słowianie są bardzo ekspresyjni. Mam znajomą...

– Właśnie o pana znajomą chodzi. Zniknęła.

Popatrzył na mnie dziwnie, jakbym straciła rozum, albo za dużo wypila, co było zresztą zgodne z prawdą. Jedno i drugie...

– Nie rozumiem.

– To długa historia, usiądź. Ta pani to przyjaciółka Zuzy, a to jej wujek – Michael wskazał na Tomka. – Szukają Zuzanny, bo od wczoraj stracili z nią kontakt. Dlatego tutaj jesteśmy. Myśleliśmy, że może wiesz więcej niż my.

Jean-Lou usiadł ciężko, spoglądał na Michaela z zafrasowaną miną.

– Dlaczego uważasz, że mogę coś wiedzieć?

– Zuzanna spotkała Carłę... i zniknęła.

– Carla – powtórzył Jean-Lou marszcząc czoło. – Nie myślałem, że jest do tego zdolna.

Wpadłam w panikę! Do czego zdolna? Do morderstwa? Matko święta i wszyscy święci, ona zamordowała Zużę! Serce łomotało mi z taką siłą, iż myślałam, że wyskoczy z klatki piersiowej. Miałam ochotę zapalić.

– Ma ktoś papierosa?

Nikt nie miał, wyszłam na zewnątrz i poprosiłam napotkanego palacza o papierosa i ogień.

– Podobno nie palisz? – Tomasz wyszedł za mną.

– Nie palę – odpowiedziałam, zaciągając się dymem. – Ona ją zabiła – wydusiłam.

## Rozdział 9

– Zabiła? Raczej nie – powiedział ostrożnie. – Jean-Lou wie, gdzie mieszka Carla, możemy tam pojechać – dodał po chwili milczenia.

– On zna adres Carli? Jedźmy, jak najszybciej!

Jean-Lou podwiózł nas na parking, gdzie zostawiliśmy samochód. Zanim wysiadłam zwróciłam się do Tomka.

– Trzeba zadzwonić do Julii, na pewno nie będzie chciała czekać w domu.

– Opóźnimy wyjazd. Stracimy czas jadąc do Saint-Nom-la-Bretèche.

– Pojedź z Jean-Lou, ja i Michael wrócimy się po Julię. Podacie nam adres.

Tomasz zastanawiał się przez moment, po czym zabrał torbę lekarską i podszedł do Jean-Lou. Ja wsiadłam do toyoty Michaela.

– Wracamy do Saint-Nom-la-Bretèche po siostrę Zuzanny. Tomasz dzwoni, aby ją uprzedzić. Rozliczymy się za benzynę, jak będzie po wszystkim.

– Benzyną najmniej się martwię – odburknął.

W drodze powrotnej oboje pogrążeni byliśmy we własnych myślach, na szczęście ruch był nieduży, jak to w sobotę. Wszyscy podróżni dojechali, gdzie chcieli, popijali już zimne piwo i rozpalali grille w ogródkach, tylko my jeździliśmy w tę i we w tę.



Julia czekała na nas przed domem, przestępując z nogi na nogę. Pomachałam do niej przez okno, podbiegła i wsiadła do auta.

– Dziękuję, że mnie zabraliście, myślałam, że zwariuję sama w domu. Jedyne towarzystwo to Piu-piu. Gdzie jedziemy?

Piu-piu? Nie widziałam żadnego Piu-piu! Julia ma zwidy! Oszalała od tych zmartwień, właściwie nie ma co się temu dziwić, ja już mam halucynacje, a co dopiero mówić o Julii, którą łączą z Zuzanną więzy krwi. Na pewno nie było jej łatwo samotnie czekać na wiadomość.

– Gdzie jedziemy? – zapytałam Michaela.

– Do lasów Rambouillet. Koło Haras de la Cense jest droga. Tylko nie wiem, która.

Trochę pobłądziliśmy, klucząc po leśnych bezdrożach. W końcu Michael zatrzymał samochód przy wjeździe na teren Haras de la Cense i zadzwonił po wsparcie.

– Ogromna ta posiadłość – powiedziałam, wyglądając przez okno

– Tak, i bardzo znana.

– Dlaczego Carla nie zapisała się tutaj na jazdy? Miała bliżej.

– Małe kluby zapewniają anonimowość, a o to pewnie jej chodziło.

Przyglądaliśmy się zadbanym padokom, koniom spokojnie pasącym się w oddali, pomysłowemu ogrodzeniom z bali słomy. Odkrywałam nieznany mi świat, gdy obok nas zatrzymał się peugeot Jean-Lou. Pokazał ręką, że trzeba zmienić kierunek jazdy, i wyjechał na ulicę, a my za nim. Przez pewien czas jechaliśmy prosto, następnie wjechaliśmy do lasu. Skończył się asfalt, a zaczęła ubita droga. Na szczęście niedługo podskakiwaliśmy na wybojach, bo znaleźliśmy się na podjeździe do domu. Minęliśmy otwartą bramę, co mnie zdziwiło. Może w pośpiechu Carla zapomniała zamknąć?

Dom schowany wśród roślinności mógłby być przyjemnym miejscem, gdyby nie kraty. Miałam wrażenie, że patrzę na więzienie. Wysiadłam z auta i przyjrzałam się nieufnie otoczeniu.

– Jest na górze, jej wuj jest przy niej – usłyszałam głos Jean-Lou.

Ścisnęło mnie w gardle. Hamując łzy, zapytałam: – Jest źle?

– Nie wiem – zdobył się na szczerść. – Była nieprzytomna, gdy wyjeżdżałem.

– Idź na górę – powiedziałam do Julii po polsku, nie zdążyłam wcześniej sprawdzić na ile rozumiała francuski. Bez słowa weszła do budynku.

Koło mnie stanął Michael.

– Wygląda jak twierdza.

Przyznałam mu rację. Prawdopodobnie o to Carli chodziło. Tylko przed kim próbowała się chronić? Nie znajdując odpowiedzi, zapytałam o coś, co mnie nurtowało wcześniej.

– Zostawiła bramę otwartą?

– Nie. Przeszliśmy górą, na szczęście nie włączyła alarmu. Myślę, że chciała, żeby ktoś odnalazł Zuzannę, bo drzwi od domu nie były zamknięte, a na stoliku przy wejściu leżały klucze i pilot. – Jean-Lou pocierał w skupieniu brodę. – Natomiast zamknęła drzwi od pokoju.

Popatrzyłam na niego z ciekawością.

– Czyli nie chciała, żeby Zuzanna wyszła sama.

– Raczej nie... Jest jeszcze jedna rzecz. – Jean-Lou ściągnął usta w wąską linię i bezwiednie wyłamywał palce. Na odgłos strzelających stawów dostawałam gęziej skórki. Nie zdążył nic więcej dodać, bo zadzwonił jego telefon. Rozmawiał przez chwilę, po czym zwrócił się do mnie:

– To pogotowie. Nie wiedzą, w którą drogę skręcić. Pokażę im – wyjaśnił.

Wsiadł w peugeota i odjechał.

– Czekamy tutaj, czy wchodzimy do domu? – spytałam, nie mogąc się zdecydować, co zrobić.

– Poczekamy – Michael z zaszępioną miną patrzył na drogę, na której zniknął samochód Jean-Lou.

– Obejrzymy dom dookoła. Nie stójmy beczynn timer – zadecydowałam.

Przeszliśmy żwirową alejką na tyły budynku. Ścieżki i trawniki obrastały chwasty, od dawna nikt się nimi nie zajmował. Widocznie ogrodnictwo nie było mocną stroną Carli. Nie lubiła spędzać czasu z sekatorem i grabkami? Skoro pielenie nie należało do jej zainteresowań, ciekawe, czym się zajmowała. Co robiła w tym domu – twierdzi? Wolałam myśleć o Carli, niż o Zuzannie, bardzo się nią martwiłam, ale stosowałam politykę strusia: jak nie będę o tym myśleć, to nic złego się nie wydarzy.

– Widziałeś, z tej strony też są drzwi, ale bez klamki. – Obmacywałam tylne wejście. Od strony ogrodu nie było możliwości dostania się do domu.

– Ten dom mnie niepokoi, taki niedostępny, oddalony od innych, za ścianą drzew.

Michael miał rację, drzewa tworzyły zielony mur, oddzielając mieszkańców budynku od świata.

– Co ona tu robiła? Czy kiedyś znajdziemy odpowiedź? – Usłyszałam dźwięk syreny. – Pogotowie przyjechało. Może w końcu ktoś nam wyjaśni, o co w tej historii chodzi.

Zaparkowany przed głównym wejściem ambulans migotał niebieskim światłem, brzęczały rozkładane nosze, pielęgniarze wyciągali sprzęt, pracowali sprawnie i metodycznie. *Sapeur-pompier*<sup>11</sup>, przeczytałam na niebieskiej koszulce przedzielonej czerwonym paskiem.

– Strażacy przyjeżdżają do chorych?

Michael spojrzał na mnie zdziwiony.

– Do chorych, do wypadków, do kobiet w ciąży...

– Co kraj to obyczaj – mruknęłam.

Podszedł do nas pobladły Jean-Lou, który nie przypominał już pełnego wigoru bohatera powieści Zuzanny. Oparł się o ścianę i zamknął oczy.

– To jakiś horror.

– Co z Zużą? – ośmieliłam się zapytać.

– Carla nafaszerowała ją środkami odurzającymi, momentami można z nią rozmawiać, momentami traci przytomność. Całe szczęście, że Tomek jest lekarzem.

– Myślisz, że wezwie policję?

– Zuza nie chciała policji, napisała kartkę, w której prosi o zostawienie Carli w spokoju.

– A to ciekawe. Nie napisała dlaczego?

– Tylko tyle, że wyjaśni.

– Czyli strażacy mają informację, że Zuzanna naćpała się środków odurzających, zamknęła w pokoju, a klucz wyrzuciła przez okno, tak?

Spojrzał na mnie zmęczonym wzrokiem.

– Nie wiem, o czym wiedzą, nie byłem z nimi.

Rzeczywiście, nie pomyślałam o tym, przecież tylko pokazał im drogę.

---

<sup>11</sup> Sapeur-pompier – to straż pożarna, tłum. aut.

– Poza tym nie wyrzuciła klucza, zostawiła go w zamku. Przekręciła, żeby od środka nie można było go wyciągnąć, ale klucz był na swoim miejscu.

Ciekawe to wszystko, bardzo ciekawe.

– Nie wiesz, co chciała przez to osiągnąć?

– Nie byłem z nią w zмовie, jeżeli o to ci chodzi. Przespaliśmy się raz lub dwa, i tyle. – Jean-Lou zdenerwował się nie na żarty. – Po wyjeździe Zuzy nasze kontakty też się urwały. Nie mam z tym nic wspólnego!

Sytuacja nie wyglądała wesoło – Jean-Lou wściekły, a ja nie bardzo wiedziałam, jak go uspokoić. Robiłam rozpaczliwe gesty do Michaela, żeby przyszedł mi na pomoc.

– Nikt ci niczego nie zarzuca, Kinga chciała dowiedzieć się więcej o aferze. – Michael poklepał kolegę po ramieniu.

– Co chciałeś mi wcześniej powiedzieć, zanim przyjechało pogotowie? – Miałam nadzieję, że Jean-Lou nie będzie sobie wyłamywał palców ze stawów. Patrzył na mnie przez chwilę bez zrozumienia w oczach, ale w końcu zorientował się, o co chodziło.

– Carla wyłączyła prąd, prawdopodobnie, żeby Zuza nie wzywała pomocy, wysyłając znaki; w ciemności, między drzewami ktoś mógłby dostrzec światło. Jednak razem z prądem odłączyła dopływ wody do pokoju, w którym przebywała Zuza. Obok sypialni znajduje się łazienka i teoretycznie mogłaby pić wodę z kranu, ale...

– Ale woda nie dochodziła – dokończyłam za niego.

– Tak, Zuza pojedzie do szpitala na badania.

W tym momencie z budynku wyszli pielęgniarze z Zuzanną na noszach, obok szła Julia, pochód zamykał Tomek. Podeszedł do naszej grupki trzymającej się z boku.

– Zuzanna odzyskała przytomność, mówi o kocie – Tomek zamyślił się. – Nie wiem, czy to efekt narkotyków, ja kota w każdym razie nie widziałem. Jadę do szpitala z Jean-Lou i Julią. Proszę, poszukaj tego kota... Aha, masz tu klucze, nie wiem o której wrócimy. – Podał mi klucze i wsiadł do auta.

Zwróciłam się do Michaela:

– Musimy znaleźć kota.

– Kota? – Zrobił minę jakbym postradała rozum.

– Tak. Zuzanna mówi, że tu jest kot i trzeba go odnaleźć.

– A jak przyjadą właściciele domu? Posądzą nas o kradzież!

– Trudno, co będzie to będzie.

Weszłam do domu pachnącego wilgocią, jak stare domy, do których nie dochodzą promienie słońca. Lekki zapach, ale wyczuwalny. Michael deptał mi po piętach, zamknął drzwi i rozejrzeliśmy się po wnętrzu.

– Pusto tutaj – stwierdził Michael.

– W jakim sensie: pusto? – zdziwiłam się, gdyż mieszkanie posiadało wszystkie niezbędne sprzęty.

– Zobacz, na ścianach nic nie ma, żadnych obrazów, plakatów, zdjęć.

– Ale ona wynajmowała ten dom. Dlaczego miałyby go dekorować? Wiercić dziury, zawieszać plakaty? A tak między nami, właśnie zastanawiałam się, co ona robiła tutaj przez całe dni.

– Może grała na skrzypcach?

– Widzisz tu skrzypce? – spytałam kąśliwie, wchodząc do salonu.

– Mogła zabrać ze sobą. Włosi lubią skrzypce. Oglądałaś Ojca chrestnego?

Opadły mi ręce, włoskie pochodzenie Carli od razu miało świadczyć o jej powiązaniach z mafią. Co prawda jej postępowanie nie do końca pozostawało w zgodzie z prawem, ale dopóki nie dowiemy się na ten temat więcej, musimy zachować neutralność.

Usiadłam na kanapie, obok, na szafce, leżały gazety. Sięgnęłam po nie z ciekawości.

– Już się zmęczyłaś? Mieliśmy szukać kota.

– Kot sam się znajdzie, jeżeli tu w ogóle jest. Bądź tak miły i zrób nam kawy, bardzo proszę.

– Znasz się na kotach? Masz jakiegoś w domu? – zainteresował się Michael.

– Nie znam i nie mam – odpowiedziałam, kartkując włoskie wiadomości z dwa tysiące piętnastego roku. – Trudno mieć zwierzęta, mieszkając w domu dziecka.

Wymknęło się niechcący, nie miałam zamiaru wtajemniczać go w zawilosci mojego życia. Opowiadanie o dzieciństwie nie należało do najprzyjemniejszych tematów i nie poruszałam go często. Właściwie wcale. Popatrzył na mnie przeciągle i bez słowa komentarza poszedł do kuchni. Byłam mu wdzięczna, że nie rzucił się z pytaniami, jak wyglądniała ryba na przynętę. Dał mi czas do namysłu, jak będę chciała to mu opowiedzieć albo nie.

– Miała kota – głos Michaela dochodzący z kuchni wyrwał mnie z zadumy. Odłożyłam gazety i poszłam w kierunku, skąd dochodziło skrzypienie otwieranych szafek.

– Miała kota... – powtórzył i pomachał saszetką jedzenia dla kociąt, kiedy weszłam do pomieszczenia.

– To maluch. Może być wszędzie, w tym zamieszaniu mógł uciec. Wypijemy kawę, pomyślimy.

Napełniłam kawą kubek z namalowaną parą kochanków i wróciłam na kanapę. Zabrałam się za przeglądanie gazet, ale tym razem z większym zainteresowaniem pogłębiałam wiedzę o wydarzeniach z przeszłości.

Michael usiadł koło mnie.

– Znalazłaś coś ciekawego?

– Nie wiem, afery polityczne. Jeden facet podstawił drugiemu córkę w zamian za przysługi.

– Raczej norma. Pokaż.

Pokazałam mu „Corriere di Siena”.

– Ale to po włosku.

– A po jakiemu miało być? Carla jest Włoszką.

– Znasz włoski? – Popatrzył na mnie z zainteresowaniem.

– Studiowałam romanistykę, włoski miałam na zajęciach.

– Co jest na tym zdjęciu? – Michael przez chwilę przyglądał się mało wyraźnej fotografii. – Może ona, może nie – powiedział z wahaniem.

– Myślisz, że to o niej piszą? Jest jeszcze drugi artykuł, ta podstawiana facetom córka zaszła w ciążę, którą potem usunęła.

Zapadła cisza. Oboje myśleliśmy o życiu, jakie wiodła Carla, o wyborach, których dokonała po to, aby teraz uciekać z wynajętego domu, zacierając ślady.

– Myślę, że ktoś ją szantażował – powiedziałam.

– Dlatego, że usunęła ciążę? – Michael nie załapał, o co mi chodziło.

– Cięża to był wypadek przy pracy. Nie usuwa się ciąży ot tak sobie. Ktoś ją szantażował czy dalej szantażuje i ona robi rzeczy przeciwko samej sobie, na przykład sypia z facetem, który jest jej totalnie obojętny.

– Czytasz z fusów?

Obejrzałam kubek z zakochanymi. Ona siedziała na zielonej trawie w długiej czerwonej sukni, a on grał na gitarze ubrany w niebieski frak.

– Kobieta trzeba uwieść, zanim się ją posiadzie, inaczej fałszywie zagra, jak cymbał brzmiały, albo coś.

– Kinga, twoje złote myśli trzeba byłoby spisywać.

Może miał rację, może powinnam spisać wspomnienia i wydać dla potomności. Dopiliśmy kawę, złożyłam gazety i podniosłam się z kanapy.

– Idę do łazienki.

Rozejrzałam się. Z korytarza można było wejść do salonu i do kuchni. Powinno być jeszcze wejście do łazienki. Nie myliłam się. Na końcu korytarza zobaczyłam niebieskie drzwi oznaczone rysunkiem pana i pani uznawanym we wszystkich krajach świata za symbol ustronnego miejsca.

Od kafli w morskim kolorze bił przyjemny chłód. Oplukałam twarz zimną wodą, żeby zmyć spod powiek obraz Zuzanny przykrytej pod samą brodę prześcieradłem. Wydawało się, że uśmiechała się lekko, ale może to było tylko złudzenie. Próbowałam odsunąć wizję Carli zaszczutej przez ojca, wciągniętej w jego machiaweliczne plany, próbującej uciec od samej siebie. Spojrzałam w lustro, żeby poprawić rozczochrane włosy, i kątem oka zobaczyłam ruch. Coś się poruszało między sedesem a ścianą. Spokojnie, bez pośpiechu zwróciłam się w tamtą stronę. W rogu łazienki chował się zwierzak Na kłęczkach, z pomocą ręcznika wyciągnęłam z za rur nastroszonego malucha. Prychał groźnie, uniesiona sierść robiła z niego włochatą kulkę.

– Popatrz, co znalazłam! – zawołałam, wchodząc do kuchni. Pokazałam zawiniątko z wystającym łebkiem. Michael podjadał wyciągnięte z szafy ciasteczka i tylko mruknął niezrozumiale pod nosem.

– Ktoś przez przypadek zamknął biedaka w łazience – wyjaśniłam. – Nie wiadomo, co by z nim było, gdyby Zuza o nim nie wspomniała.

W odpowiedzi usłyszałam pomruk.

– Trzeba go gdzieś przechować, dopóki nie posprzątamy domu.

Spojrzał pytająco.

– No przecież tak tego nie zostawimy właścicielom, naczynia trzeba umyć, zabierzemy łatwo psujące się jedzenie, trochę ogarniemy górę – wyliczałam rozglądając się po pomieszczeniu. Potrzebowałam czegoś, w co mogłabym włożyć kota.

– Czego szukasz?

– Przecież z kotem pod pachą chodzić nie będę – zaprotestowałam.

– Przy kuchni zazwyczaj jest schowek – Otworzył drzwi między komodą a ścianą i wyciągnął spory karton po butach. – Pudełko może być?

– Wolałabym zamknięte, z tego ucieknę.

– Cholera, zabić się tu można, światła nie ma – powiedział, wchodząc do komórki.

– Tutaj jest. – Pstryknęłam przełącznikiem przy drzwiach. Kot chwilowo spokojnie siedział owinięty w ręcznik, ale nie byłam pewna, czy ten stan potrwa długo.

Wyniósł pudło wypełnione gazetami.

– Zobacz, znowu pełno gazet.

– Pewnie przygotowane do wyrzucenia, ale mogę przejrzeć. Możesz zanieść do salonu? Poczytam później, gdy skończymy.

Michael opróżnił karton, gazety zostawił na kanapie, a do pudełka włożyliśmy kota razem z ręcznikiem i zamknęliśmy wieczko.

– Pójdę na górę, sprawdzę, co jest do zrobienia.

Schody, drewniane i skrzypiące, nie wymagały naszego zainteresowania. Wyglądały jakby je ktoś codziennie zamiatał. Zresztą mieszkanie zostawiła czyste, chaos panował w życiu Carli, natomiast otoczeniu, w którym przebywała nie można było niczego zarzucić. Perfekcyjny porządek, jakby w ten sposób chciała nadrobić bałagan swojej egzystencji. W wypolerowanych szafkach można było się przejrzeć, nigdzie nie walały się zbędne przedmioty, wszystko poukładane na swoich miejscach. Tylko w sypialni na górze rozrzucona pościel i pusta, plastikowa butelka świadczyły o czyjejs obecności.

Pościel zdjęłam, odłożyłam na fotel, a łóżko przykryłam narzutą. Okno zamknęłam na wszelki wypadek, żeby w razie deszczu nie padało do środka. Poza tym nie wiedziałam, ile czasu minie, zanim ktoś się w domu zjawi. Butelkę postanowiłam odnieść do schowka. Przechodząc przez salon, przeglądałam gazety, żeby te niepotrzebne wyrzucić do żółtego worka do recyklingu. Spomiędzy gazetowych stron wypadł gruby zeszyt, w zielonej, tekturowej oprawie. Przerzuciłam z zaciekawieniem kartki i schowałam znalezisko do torebki. Postanowiłam nic nikomu o nim nie mówić, dopóki sama się nie dowiem, o czym Carla pisała.

Michael zajęty myciem i wycieraniem naczyń podśpiewywał pod nosem, gdy weszłam do kuchni obładowana gazetami.



– Carla dbała o dom, chciałabym mieć równie czysto u mnie w mieszkaniu. Ciekawi mnie tylko, dlaczego w domu dbała o porządek, natomiast w ogrodzie zostawiła pełno chwastów.

– Nie każdy lubi prace ogrodnicze, a może nie chciała przebywać na zewnątrz? Wiesz, ten dom to jak więzienie – zakratowany i odizolowany od innych, widocznie czegoś się obawiała.

– Czegoś albo kogoś. Z artykułów w gazecie wynika, że to ojciec nią manipulował. Chyba tu już skończyliśmy. Możemy zabrać kota i jechać. Zamkniemy, a klucz oddamy Jean-Lou, może zna agencję, do której należy ten dom. Możesz włączyć światło? Wrzucę to do worka. – Ruchem głowy pokazałam na naręczne papierów.

– Znalazłaś coś ciekawego? – zainteresował się Michael pstrykając włącznikiem.

– Nie, nic – odpowiedziałam po chwili wahania, udając, że szukam odpowiedniego kubła na śmieci. – Gazety z salonu zabiorę, nie wiadomo, czy się nie przydadzą.

Karton z kotem oraz gazety włożyliśmy do samochodu i ruszyliśmy do domu. Odczuwałam ulgę, Zuzannie nic złego się nie przydarzyło, pozostanie kilka dni w szpitalu i będzie mogła wrócić do siebie. Cieszyłam się, że kawałki układanki łączą się w całość. Zastanawiała mnie Carla, jej relacja z ojcem. Nie umiałam sobie wyobrazić, że wykorzystywał ją do własnych niecznych celów.

– Właściwie to dom dziecka nie jest takim nieszczęściem w porównaniu z rodziną, w której żyła Carla.

Michael spojrzał w moim kierunku, oczy zasłonił ciemnymi okularami, więc nie widziałam jego wzroku.

– Wspominałaś o tym wcześniej. Dlaczego wychowywałaś się w domu dziecka?

– Moi rodzice zginęli w wypadku lotniczym, mieli lecieć do Stanów, tato był fizykiem, dostał kontrakt w Nowym Jorku, bardzo się z niego cieszył... – urwałam zatopiona w myślach. Nie pamiętam rodziców, ale babcia opowiadała o nich często.

– Przykro mi.

– Niedziele spędzałam z babcią, pochodziła z Francji, dlatego znam francuski.

– Mnie też wychowywała babcia. Po rozwodzie mama wyjechała szukać szczęścia za granicą, ojciec założył nową rodzinę, a ja wylądowałam u babci, na wsi. Na farmie były kuce, które babcia zaprzęgała do wozu, żeby jechać na targ.

– Tam nauczyłaś się jeździć konno? – zaciekałam się.

– Tak, jeździłem na oklep po łąkach.

– Twoja babcia jeszcze żyje?

– Nie, tato z bratem sprzedali farmę, a ja wyjechałem na studia do Francji.

– Masz zamiar wrócić do Irlandii?

– Nie wiem, może na starość, kupię dom i będę hodował owce.

– Mieszkasz z kimś? – Rzuciłam niechęcy pytanie, którego osoby postronne nie powinny zadawać. Michael nie wyglądał na obruszonego, uśmiechnął się lekko i odpowiedział neutralnym tonem.

– Nie, a ty?

Pokręciłam się niespokojnie na siedzeniu. Nie wiedziałam, jakiej odpowiedzi udzielić. Nie byłam pewna tego, czy jestem z kimś, czy też raczej nie.

– Nie wiem – zdobyłam się na odpowiedź.

– Jak to nie wiesz? – Odwrócił gwałtownie twarz w moim kierunku, malowało się na niej zdziwienie.

– Dopiero się zaczyna, a może to tylko moje wyobrażenia. Wiesz, w dzisiejszych czasach nie wiadomo, czy ktoś jest tobą zainteresowany na dłużej, czy tylko na chwilę. To może być niezobowiązujący romans.

– Tomasz – powiedział, patrząc na drogę. – Szkoda, fajna z ciebie dziewczyna, taka trochę zwariowana, ale miła.

Dawno nikt nie nazwał mnie dziewczyną, poczułam do niego sympatię. Od początku żywiłam do niego przyjazne uczucia, które teraz się tylko pogłębiły. Uśmiechnęłam się z wdzięcznością.

– Cieszę się, że tak myślisz. Możesz mi pomóc wnieść kota i gazety? – poprosiłam, gdy wjechaliśmy do Saint-Nom-la-Bretèche.

– Oczywiście.

Zaparkował pod domem, ja wzięłam gazety, on pudełko z kotem i weszliśmy na piętro. Otwierałam drzwi, gdy z piętra wyżej zeszła sąsiadka. Siwe włosy ładnie harmonizowały z jej okrągłą twarzą. Pamiętałam z opowieści Zuzanny, zwykle jest to pogodna i ciepła osoba, teraz jednak przyglądała się nam ze ściągniętymi brwiami.

– Państwo tutaj mieszkają? Nie przypominam sobie, abym państwa widziała.

– Jestem znajomą Zuzanny, pracujemy razem. Zuzanna jest w szpitalu, a ja opiekuję się kotem. – Ruchem brody wskazałam pudełko, które trzymał Michael.

– W szpitalu? – starsza pani złapała się za serce. – Co się stało?

– Zostanie kilka dni na obserwacji, nic wielkiego, zatrula się... hmm... ostrygami.

Michael popatrzył na mnie, w kącikach ust pojawił się cień rozbawienia. Nie wiedziałam, czy koniec sierpnia to jeszcze sezon na owoce morza, ale nie miałam pomysłu, jak wytłumaczyć sąsiadce pobyt Zuzy w szpitalu.

– Może ma pani ochotę wstąpić? – zagadnęłam starszą panią.

– Dziękuję, moje dziecko, jestem umówiona z koleżankami na partyjkę brydża. Po powrocie zapytam o rozwój wypadków.

Sąsiadka zeszła po schodach, a my weszliśmy do mieszkania.

– To miłe, że ludzie interesują się tym, co dzieje się u sąsiadów – powiedziałam, kładąc gazety na stole w kuchni.

Michael położył karton na podłodze i wzruszył ramionami.

– Czy ja wiem? Czasami jest to nieprzyjemne, kiedy inni chcą wszystko o tobie wiedzieć.

– Przypomniałeś mi panią Nowakową z powieści Zuzanny. Ona chciała znać życie sąsiadów od podszewki, wścibska baba.

Wyjęłam kota z kartonu i postawiłam na podłodze, na spodek wyłożyłam jedzenie z saszetki. Kociak spoglądał na mnie nieufnie.

– Zostawmy go. Niech się oswoi z nowym otoczeniem. Chcesz się czegoś napić? Mam wino, po takich przejściach dobrze jest się odprężyć.

Wyciągnęłam z szafki butelkę i dwa kieliszki. Usiedliśmy przy stole naprzeciwko siebie.

– Niedużo, prowadzę.

– Za Zuzannę – wzniosłam toast, brzęknęło szkło, w ustach poczułam po raz kolejny tego dnia cierpkawy smak trunku. – Jesteś głodny? Mam krakersy i zielone oliwki, mogę też zrobić kanapki.

– Oliwki i krakersy wystarczą. Co teraz będziesz robić? – Michael przyglądał się zdjęciom w gazecie.

– Czekam, aż wrócą Tomek z Julią.

– A później?

– Jutro pojedę odwiedzić Zuzę na oddziale, a następnie wrócę do Polski.

Oparłam się o krzesło, patrząc na czerwoną zawartość kieliszka.

– Muszę poszukać pracy.

– Myślałem, że pracujesz w wydawnictwie?

– Jeszcze kilka dni temu tak. Szef mnie zwolnił, bo postanowiłam wyjechać bez jego zgody. Powinnam pomyśleć nad powieścią Zuzy, ale najpierw musi ją skończyć. Jest tylko część historii, resztę trzeba dopisać.

– Nie potrzebujesz do niej rysunków albo grafiki? Masz okładkę? – zainteresował się, patrząc na mnie z ciekawością. – Mogę dla ciebie zrobić.

– Nie mam okładki, właściwie mało co mam, kilka rozdziałów. – Wyjęłam z torebki notes i długopis. – Napisz mi twój adres e-mail, skontaktuję się z tobą po powrocie.

– To ja już pójdę – powiedział, oddając mi notes. – Twój przyjaciel może mieć podejrzenia, jeżeli mnie spotka.

– Wątpię, ale powinnam się wykąpać i trochę odpocząć. Jestem ci bardzo wdzięczna za pomoc.

Odprowadziłam Michaela do drzwi, następnie weszłam do łazienki. Stałam pod prysznicem, a ciepła woda spływała strumieniami, zmywając zmęczenie i stres całego dnia, kiedy usłyszałam, że Tomasz i Julia wrócili do mieszkania. Rozmawiali, szurali odsuwającymi krzesłami, śmiali się z czegoś. Z ulgą wypuściłam powietrze, które bezwiednie wstrzymałam, słysząc ruch w mieszkaniu. Ich śmiech oznaczał jedno: zdrowie Zuzanny nie było zagrożone. Ja też nabrałam ochoty, żeby śmiać się i płakać na przemian, śpiewać, a nawet tańczyć, tylko pod prysznicem było to utrudnione. Wytarłam się ręcznikiem, sięgnęłam po zawieszony na kabinie prysznicza szlafrok i poszłam do kuchni usłyszeć nowiny. Ledwo Julia mnie zobaczyła, podbiegła, złapała za rękę, okręciła w koło i śmiejąc się, powiedziała:

– Wszystko dobre, co się dobrze kończy. Zuzanna za kilka dni wyjdzie ze szpitala, jej zdrowiu nic nie zagraża, przeprowadzą badanie i ją wypuszczą.

Zaskoczyła mnie jej wylewność, odsunęłam się trochę i zaciągnęłam mocniej poły szlafroka.

– Fantastyczna wiadomość – zdołałam wydukać. – A jak wróciliście?

– Jean-Lou podrzucił nas do klubu, a stamtąd już samochodem Zuzy, dała nam klucze.

Tomasz wyciągnął talerze, nakrył do stołu i zaprosił na kolację.

– Dość gadania, dziewczyny, trzeba coś przekąsić, bo sił wam zabraknie.

– To ja zrobię sałatkę – zaproponowała Julia. Wyjęła z lodówki sałatę, pomidory, kukurydzę i wszystko wymieszała sprawnymi ruchami. Przez chwilę przyglądałam się, jak przygotowuje sos winegret, ale gdy chłodne powietrze z uchylonego okna przeleciało po moich gołych nogach, wyszłam z kuchni, aby się ubrać. W pokoju założyłam spodnie od dresów i podkoszulek z jednorożcem w kolorach tęczy, stopy wsunęłam w puchate kapcie. Wchodząc do kuchni, poczułam zapach majeranku i przełknęłam ślinę. Głód dawał się we znaki.

– Widzieliście kota? Gdzieś powinien być. Trzeba uważać, żeby na niego nie nadepnąć, to jeszcze maluch. – Nie było go w kącie, w którym przycupnął, gdy wyszedł z kartonu, zajrzałam za szafkę i zobaczyłam dwa świecące punkciki. – Siedzi za szafką, na razie zostawmy go w spokoju.

– Kto chce tosty z serem?

Wszyscy chcieli. Tomek przygotował kromki chleba, obłożył je serem i opiekł w tosterze. Obok talerza z tostami postawił butelkę czerwonego wina. Usiedliśmy do stołu, gdy zaterkotał dzwonek przy drzwiach. Tomek poszedł otworzyć i wrócił w towarzystwie sąsiadki.

– Kinga, możesz zaprosić panią do stołu? Zorientowałem się, że jest zaniepokojona zdrowiem Zuzanny, ale mój francuski pozostawia wiele do życzenia.

– *Est-ce que vous voudriez joindre à nous? S'il vous plait*<sup>12</sup>.

– Z przyjemnością, moje dziecko. Mam nadzieję, że Zuzanna czuje się lepiej?

– Tak, zostanie kilka dni na obserwacji, ale stan jej zdrowia jest zadowalający.

– Dobrze to słyszeć, moje dziecko. – Sąsiadka usiadła, a Tomasz podał jej talerz i kieliszek.

– Proszę się poczęstować. – Podałam starszej pani salaterkę. – Jak wypadła partyjka brydża?

– O, bardzo dobrze, dziękuję. – Starsza pani się ożywiła. – Brydż ćwiczy pamięć. Ogromnie mi miło, że zaprosili mnie państwo na wspólny posiłek, to takie nietypowe. Starsza pani zamyśliła się na chwilę i zmrużyła oczy jakby spoglądała w przeszłość.

– Wszyscy tacy zabiegani, nie mają czasu dla starszych osób. Zuzanna jest inna, opiekowała się Józefiną. A to chyba jej siostra – stwierdziła, patrząc na Julię.

---

<sup>12</sup> Est-ce que vous voudriez joindre à nous? S'il vous plait – Czy zechce pani do nas dołączyć?, tłum. aut.

– Tak, Julia studiuje na Akademii Sztuk Pięknych.

– Tak, przypominam sobie. – Usta sąsiadki rozciągnął uśmiech, a wokół oczu pogłębiły kurze łapki. – Zuzanna wspominała mi, gdy rozmawialiśmy o Modiglianinim.

– Modigliani? – Julia spojrzała na mnie pytająco, trzymany przez nią widelec zawisł w powietrzu.

– Julię interesuje temat rozmowy – wyjaśniłam.

– Och, moje dziecko, to nie tajemnica, w domu mam kilka obrazów tego malarza.

Gdy przetłumaczyłam odpowiedź, Julia spoglądała na mnie z tępym wyrazem twarzy. Zamrugła i popiła wodę ze szklanki.

– Możesz powtórzyć? – Poprosiła. – Jesteś pewna, że dobrze zrozumiałaś? Obrazy Modiglianiego? – upewniała się, gdy powtórzyłam to, co mówiłam wcześniej. – Zapytaj, czy mogę je zobaczyć.

Sąsiadka z radością wyraziła zgodę. Wznieśliśmy toast za szczęśliwe zakończenie dnia i przez kolejną godzinę rozmawialiśmy o naszym pobycie we Francji. Na szczęście jako tłumacz nie musiałam wyjaśniać, po co przyjechaliśmy do Paryża, ani co naprawdę przydarzyło się Zuzannie. Moje odpowiedzi były nieco mgliste i ogólnikowe, ale udało się przekonać sąsiadkę, że Zuzanna padła ofiarą niestrawności; reszta uczestników rozmowy nie zorientowała się, że nie wszystko dokładnie wyjaśniam. Po zakończeniu posiłku i pożegnaniu ze starszą panią udałam się do pokoju. Stwierdziłam, że praca tłumacza jest niezwykle męcząca i potrzebuję długiego snu, aby zregenerować nadwątlone siły. Weszłam do łóżka z postanowieniem, że jutro pojedę do szpitala, i zgasłam lampkę.

## Rozdział 10

Nazajutrz, gdy tylko otworzyłam oczy, wyskoczyłam spod przykrycia. Nie chcąc nikogo budzić, przesłam na palcach korytarzem i weszłam do kuchni. Tomek pochrupując, spał na materacu rozłożonym między stołem a ścianą. Przez chwilę zastanawiałam się, co ze sobą robić, skoro już jestem na nogach, gdy usłyszałam głos:

– Ja już nie śpię.

Weszłam do pomieszczenia, Tomek przeciągał się, a na śpiworze leżał zwinięty w kłębek kot.

– Widzę, że miałeś towarzystwo w nocy – uśmiechnęłam się.

– Tak, ten maluch jest bardzo towarzyski. Jak tylko wszyscy wyszli, nabrał odwagi i postanowił dzielić ze mną materac. Mogłabyś zrobić kawy? – poprosił.

Wsypałam do ekspresu włoską kawę i wlałam wodę, z szafki wyciągnęłam filiżanki, talerze, słoik miodu i zbożowe musli. Tomek zwijał materac, a kot usiadł na swoim małym zadku i mył futerko.

– Chyba zaczyna się przyzwyczajać. – Kiwnęłam ręką w kierunku zwierzaka. Tomek odwrócił głowę i spojrzał na kota.

– Tak, ciekawe, jak zareaguje na papugę?

– Gdzie masz papugę?

– Jest z Julią, dziewczyny zabrały ją do swojego pokoju, bo skrzeczy od samego rana.

– Aha, myślałam, że to jakieś ptaki za oknem – roześmiałam się.

Usiedliśmy do śniadania, do filiżanek nalałam czarnego, aromatycznego naparu, a musli w miseczce zalałam mlekiem.

– Jakie masz plany na dziś?

Podniosłam głowę znad miski.

– Chciałabym pojechać do szpitala, a następnie wrócić do kraju. Moja misja się zakończyła, może nie stuprocentowym sukcesem, ale na razie to musi wystarczyć. Nie ma powodu, aby przedłużać tutaj pobyt.

– Chcesz, żebym pojechał z tobą do szpitala?

To niewinne pytanie wywołało mój niepokój, zakręciłam się na krześle i spuściłam głowę. Wolałam pojechać sama, porozmawiać z Zuzanną sam na sam, chciałam w pociągu

przejrzeć zielony notes, sprawdzić, czy zawiera dodatkowe elementy, które pomogłyby wyjaśnić sprawę.

– Wolałabym pojechać sama – powiedziałam cicho. Nie chciałam sprawić mu przykrości. Jednak intuicja mi podpowiadała, że w tym wypadku zrobię lepiej, jadąc bez świadków. Porozmawiam z Zuzanną, powiem jej o zeszycie i razem poskładamy układankę w całość. Ciągle brakuje nam elementów, a miałam nadzieję, że w zeszycie znajdę informacje o Eklerku i dzięki temu odkryjemy, co się z nim stało. Chciałam spędzić poranek wyłącznie sama z Zuzanną, ale z drugiej strony nie chciałam zniechęcać Tomka moją odmową. Sytuacja nie do pozazdroszczenia dla osoby tak mało asertywnej jak ja.

– Rozumiem. – Poklepał mnie po ręce. – Ale mogę cię odprowadzić na dworzec?  
Odetchnęłam z ulgą, nie poczułam się urażony.

– Tak, oczywiście. Przy okazji zabiorę walizkę; myślę, że zostanę w Paryżu i poczekam na autobus.

Popatrzył na mnie, marszcząc czoło.

– Chciałem cię dzisiaj zaprosić do restauracji, obok którą mijaliśmy, gdy szliśmy do lasu. Do Paryża odwiozę cię później.

Przyjemne uczucie rozlało się w okolicach serca, pamiętał o obietnicy. Nic nie stało na przeszkodzie, żeby zaakceptować taki plan.

– Dobrze, wrócę ze szpitala i pójdziemy razem na obiad, to bardzo dobry pomysł. Zgodziłam się i uśmiechnęłam ciepło.

Zjedliśmy śniadanie i poszłam do pokoju po ubranie. Założyłam tę samą sukienkę, w której przyjechałam. Resztę ciuchów spakowałam do walizki i położyłam na łóżku. Usiadłam obok i zajrzałam do torebki, wyjęłam zielony zeszyt i kartkując go, zastanawiałam się, jakie tajemnice w sobie kryje i co powierzała mu Carla. Równe pismo wypełniało strony, czasami podkreśliła zdanie albo wstawiła wykrzyknik, tak jakby w trakcie pisania szarpały nią emocje i dawała temu wyraz w tekście. Wpadło mi w oczy zdanie: „Non so cosa fare”<sup>13</sup>, ale nie miałam czasu na głębsze wnikanie w tajniki życia Carli. Włożyłam zeszyt z powrotem do torebki, wsunęłam na nogi czółenka i mogłam jechać na dworzec. Tomek ubrany w sportowy strój obrzucił mnie od stóp do głów uważnym spojrzeniem.

---

<sup>13</sup> Non so cosa fare – Nie wiem co robić, tłum. aut.



– Wyglądasz elegancko, chyba dzisiaj razem nie pobiegamy. – Puścił do mnie oko.

– Bieganie zostawimy na później, potrenuję we Wrocławiu w parku Południowym, nabiorę formy. – Sięgnęłam po płaszcz i torebkę. – Jestem gotowa.

– *Let's go.* – Tomek przepuścił mnie przodem i zamknął drzwi.

Wjechaliśmy na znaną drogę do lasu, Tomek zaparkował samochód i zaproponował spacer. Szliśmy ubitą drogą wśród drzew, wsłuchując się w odgłosy przyrody, stukanie dzięcioła, zaniepokojone gwizdnięcie ptaka, powiew wiatru wśród liści. Nie musieliśmy nic mówić, upajaliśmy się bliskością drugiej osoby i tą niewytłumaczalną więzią, która tworzy się bez udziału świadomości. Nie wiedziałam, jakie są jego oczekiwania związane z moją osobą, ale wyczuwałam, że nie jestem mu obojętna. Ostrożnie stawiałam kroki, aby nie zniszczyć butów. Na szczęście dróżka była sucha i ubita, dzięki czemu nawet w nieodpowiednim do marszu obuwiu nie miałam problemu z poruszaniem się. Musiałam jednak uważać na gałęzie, żeby nie porysować czółenek, podobnie jak Betsy, królowa wampirów.

– Mam nadzieję, że po powrocie będziesz dalej chciała utrzymywać ze mną kontakt? – Tomasz nagle zatrzymał się i rzucił mi niespokojne spojrzenie. Może uważał, że traktuję naszą znajomość jako niezobowiązujący romans.

– Tak, chcę. – Spojrzałam mu w oczy. Bardzo chciałam utrzymać znajomość na tym ekscytującym poziomie, jednocześnie bałam się zaangażować. Bałam się, że im bardziej się do niego przywiążę, to tym boleśniej odczuję rozstanie. Machinalnie sięgnęłam do szyi, miałam ochotę dotknąć nieperfekcyjnej krągłości pereł, aby dodały mi odwagi, tak jak dotychczas w trudnych chwilach, jednak nie miałam naszyjnika i dłoń zawisła w powietrzu.

Tomek westchnął i mocno mnie przytulił. Na przemian głaskał i całował moje włosy.

– Zrobię wszystko, abyś była szczęśliwa.

Staliśmy dłuższą chwilę wtuleni w siebie, jakbyśmy szukali wsparcia. Jakby myśl o rozłączeniu odbierała nam siły. Wszystko toczyło się tak szybko, a jednocześnie miałam wrażenie, że znamy się od dawna, że rozdzieliliśmy się na pewien okres i znów jesteśmy razem. Czułam błogość zmieszaną z rozczarowaniem, jakby myśl o rozstaniu dodała nutę goryczy do naszej znajomości. Tak jakbym przeczuwała, że szczęście nie trwa wiecznie, że

kiedyś skończy się dobra passa i nie należy za bardzo się do niego przyzwyczajać, że go stracę, tak jak straciłam rodziców i babcię.

– Odprowadź mnie na pociąg – powiedziałam, odsuwając się lekko. Szliśmy przez las w stronę dworca przytuleni do siebie jak dwoje nastolatków. Nie musieliśmy nic mówić, słowa nie były potrzebne. Oboje czuliśmy, że nasze drogi się połączyły, jednak nie wiedzieliśmy na jak długo, a ta niewiedza uwierała jak kamień w bucie. Postanowiłam o tym nie myśleć, cieszyć się chwilą obecną, skorzystać z okazji, którą tak nieoczekiwanie podsunął mi los. Wzorem Scarlett O'Hary zdecydowałam, że pomyślę o tym później.

Kupiłam bilet, usiedliśmy na ławce, położyłam Tomkowi głowę na ramieniu i wpatrując się w bezchmurne niebo, czekałam, aż zapowiedzą pociąg. Czułam zapach wody po goleniu, szorstkość koszulki polo pod policzkiem, dotyk jego ręki na plecach. Chciałam to wszystko zapamiętać, aby wracać do niego w myślach, gdy go przy mnie nie będzie. Tak jakby to miało być nasze ostatnie spotkanie, chciałam zachować na pamiątkę wspomnienia wspólnych chwil. Jak zdjęcia, które wkłada się do albumu, aby w każdej chwili móc po nie sięgnąć, ja zbierałam obrazy naszych spotkań.

– Zadzwoń do mnie w drodze powrotnej. – Kiwnęłam potakująco, Tomek stał na peronie, przytrzymując drzwi. Weszłam do wąskiego korytarza między wagonami i spoglądałam na niego z góry. Musiał zadzierać głowę, żeby na mnie patrzeć. Posłałam mu buziaka. Gdy pociąg ruszył, Tomek biegł obok do czasu, aż całkiem straciłam go z oczu. Wtedy zajęłam miejsce i otworzyłam zielony notes.

Podróż nie trwała długo, dwadzieścia minut, nie więcej. Nawet nie zauważyłam, kiedy dojechałam do Saint-Cloud. Wsiadłam na stacji i kierując się drogowskazami, poszłam do szpitala. Dotarłam do nowoczesnego budynku. W recepcji spytałam o Zuzannę, podałam datę przyjęcia i jej nazwisko, a miła pani po wyszukaniu danych w komputerze podała mi numer pokoju. Każdy blok szpitalny oznaczono strzałkami w różnych kolorach, niebieska zaprowadziła mnie na oddział chorób wewnętrznych. Ustawione wzdłuż korytarza kolorowe krzesła ożywiały jasną przestrzeń, stanowiły wesoły akcent w szpitalnej atmosferze przesiąkniętej zapachem środków do dezynfekcji. Mijałam rzędy identycznych drzwi, przechodząc obok, słyszałam dźwięki telewizji. Zatrzymałam się przed numerem sto dwadzieścia osiem, zapukałam, weszłam, choć nie uzyskałam odpowiedzi. Zuzanna leżała na metalowym łóżku odwrócona do okna, jej plecy okrywał koc. Nie widziała mnie. Dopiero skrzypienie drzwi zwróciło jej uwagę i spojrzała w moją stronę.

– O, jak fajnie, że przyszedłaś. Nie spodziewałam się teraz nikogo – powiedziała z uśmiechem. – Usiądź – pokazała krzesło.

– Jak się czujesz?

– Dobrze, ale chcę zrobić badania, dlatego zostanę jeszcze dzień lub dwa. A jak się wam udało odnaleźć dom Carli?

– Jean-Lou nam pokazał.

Uśmiech zniknął z twarzy Zuzanny, oparła się o poduszkę i uporczywie wpatrywała w sufit, jakby odkryła w nim coś bardzo interesującego.

– Nie masz powodu, żeby się na niego gniewać.

Zuzanna zacisnęła usta w wąską linię.

– Przecież nie byliście razem.

Spojrzała na mnie z gniewem w oczach.

– Oszukał mnie.

– Nie oszukał – powiedziałam spokojnie, żeby nie zirytować jej jeszcze bardziej. – Nie dałaś mu jasno do zrozumienia, że jesteś nim zainteresowana. Nie dziw się więc, że znalazł inną. To nie dziewiętnasty wiek, kiedy panowie latami chodzili w konkury. Czasy *Dumy i uprzedzenia* są za nami.

– Nawet w powieści *Duma i uprzedzenie* zdarzało się kochankom uciec od świata konwenansów – burknęła, ale wiedziałam, że zły humor powoli jej mija.

– Tak, ale jaką cenę kobiety za to płaciły, odrzucone przez społeczeństwo, a często własną rodzinę.

Łypnęła na mnie okiem.

– Przyszedłaś bronić Jean-Lou?

– Nie zrobił nic złego, nie muszę go bronić. Poza tym nie jestem adwokatem. Jakbyś wiedziała, czego chcesz, to pewnie nie zainteresowałby się Carlą.

Wydeła usta, ale nic nie powiedziała. Przez chwilę milczała, zastanawiając się nad czymś.

– Skąd ty o nim tyle wiesz?

– Z twojej książki. Widziałam go również w czasie poszukiwań. Martwił się o ciebie.

– Coś nowego odkryliście? – Zuzanna zmieniła temat, jakby nie chciała drażnić aspektów życia uczuciowego Jean-Lou.

– W mieszkaniu znaleźliśmy gazety. Trochę to dziwne, gdyż Carla dbała o porządek, a gazety były sprzed dwóch lat. – Popatrzyłam na nią z ukosa, czekając na reakcję.

– Carla pokazywała mi artykuły o ojcu. – Zamyślona odwróciła głowę w stronę okna. – To straszne, przez co ona przeszła. Nie chcę jej wytoczyć sprawy.

– Nikt tego nie zrobi. Decyzja należy do ciebie. – Uspokołam ją.

– Boję się, że wujek stwierdzi, że nie mogę odpowiadać za to, co się stało, bo byłam pod wpływem środków odurzających. Miałam butelkę przy łóżku... – Zuzanna przerwała opowieść, a ja poruszyłam się niespokojnie na krześle.

– Butelki nie ma, wyrzuciłam ją.

Zuzanna szybko odwróciła głowę i zerknęła na mnie rozbawiona.

– Na ciebie Kinga można liczyć, wyrzuciłaś dowód rzeczowy.

– Nikt mi nie powiedział, że mam postąpić inaczej.

– Jeżeli o mnie chodzi, to jestem zadowolona, że butelka zniknęła, nie wiem tylko, co powie wujek.

– Właśnie chciałam cię o czymś powiadomić. Mam dwie wieści: dobrą i złą. Od której zacząć?

Nie wiedziałam, jak poinformować ją o zmianach, jakie zaszły w moim życiu. Ale nie chciałam, aby dowiedziała się przez przypadek.

– Od złej, dobrą zostaw na koniec. – Zuzanna usiadła na łóżku i poprawiła zsuwający się koc.

– Nie mam już pracy w wydawnictwie, dostałam wymówienie – starałam się zachować neutralny ton głosu.

– Kiedy cię zwolnili?

– Przed samym wyjazdem.

– I nic nie powiedziałaś, nie zmieniłaś planów? – Zuzanna opadła na poduszki. – Czyli z książki nici?

– Sama wydam. Musisz ją tylko skończyć. Michael zaproponował, że zajmie się stroną graficzną.

– Będziesz potrzebowała pieniędzy. Może nie mam pracy i nie jest różowo, ale mam odłożone pieniądze na czarną godzinę. Wydamy ją razem – powiedziała z niezwykłą u niej stanowczością. – Teraz wiem, czego chcę.

– Nie skreślaj Jean-Lou tak od razu. – Skorzystałam z okazji, aby wspomnieć o nieszczęsnym zalotniku.

– Zobaczymy. A ta dobra wiadomość?

Odchrząknęłam, żeby przeczyścić gardło. Miałam wrażenie, że włochata kula ulokowała się w moich drogach oddechowych. Nie wiem, dlaczego informowanie rodziny faceta o tym, że się z nim sypia, a raczej ma zamiar sypiać, stanowi taki problem.

– Spotykam się z twoim wujkiem.

Zuzanna spojrzała na mnie nie rozumiejąc.

– I co z tego?

– Chyba nie muszę ci tłumaczyć, co to znaczy. – Zawiesiłam głos, a w oczach Zuzy pojawił się błysk zrozumienia.

– Super wiadomość! Zamieszkacie razem?

– Powoli, powoli. – Moje słowa zaakcentował gest ręki. – To dopiero początek. Dzisiaj idziemy razem do restauracji, a co dalej, zobaczymy.

– Cieszę się, że się spotykacie – powiedziała szczerze. – Wujek cały czas siedział w pracy. Wreszcie zobaczy, jak wygląda życie poza szpitalem.

– Tobie też się przyda wyjście do ludzi. Przez historię z Eklerek zamknęłaś się jak ostryga w skorupie. Aha, powiedziałam sąsiadce, że zatrzymałaś się owocami morza.

– Dlaczego? – Była zaskoczona.

– Dlaczego co? Sąsiadka pytała o ciebie, a ja nie chciałam jej opowiadać o całym zamieszaniu, więc wymyśliłam ostrygi i inne krewetki.

– Nie jem krewetek – powiedziała, krzywiąc się.

– Nie szkodzi, wytłumaczysz jej później.

– A co do tego ma Eklerek? Wiesz, co się z nim stało? – W jej głosie zabrzmiała nadzieja, a mnie ścisnęło się serce.

– Nie wiem, ale w domu Carli znalazłam zeszyt. – Wyciągnęłam zielony notes z torebki i położyłam przed nią na kocu.

Zuza otworzyła go i przerzuciła kartki.

– Po włosku. – Nie potrafiła ukryć rozczarowania.

– Znam ten język. Studiowałam filologię romańską.

– Niebo cię zsyła – Zuzanna złapała mnie za rękę z taką siłą, iż myślałam, że mi ją wyrwie. – I co pisze?

– Przeczytałam tylko początek, ten zeszyt liczy sto stron. Nawet jak nic innego nie będę robić, to zapoznanie się z treścią zajmie mi cały dzień.

– No tak, przecież idziesz na randkę. – Zuzanna puściła moją dłoń i uśmiechnęła się kącikami ust.

– W każdym razie będę miała czas w autobusie.

– Wracasz już? Myślałam, że wrócimy razem. – Jej oczy błyszczały niebezpiecznie.

– Nie ma sensu przedłużać pobytu. We Wrocławiu zajmę się organizacją naszego planu – powiedziałam uspokajająco.

– Miałyśmy zwiedzić Paryż. – Wydęła usta w podkuwkę, więc musiałam szybko coś wymyślić. Odruchowo zaczęłam skubać rąbek sukienki przy szyi. Spojrzała na mnie z zainteresowaniem. – Co robisz?

– To odruch. Kiedy coś mnie niepokoi, dotykam pereł na szyi, a gdy ich nie mam, szczypię materiał. Robiłam tak w dzieciństwie, później się tego nawyku pozbyłam. Ale ciągle wraca, gdy czuję się niepewnie.

– Czyli czujesz się teraz niepewnie, dlaczego?

– Bo mam wrażenie, że zaraz się rozplaczesz.

– Nie bój się. Jesteś niezwykle interesującą osobą. Miałaś mi opowiedzieć o babci, może teraz jest dobry moment?

Rozsiadłam się wygodniej na krześle.

– Moi rodzice zginęli w wypadku, ich samolot rozbił się w Lesie Kabackim. Lot Warszawa – Nowy York, rozpoczęłam znów tą samą opowieść, nie wiem, który to raz w ciągu ostatnich dni. – Miałam wtedy pięć lat. Rodzice mojego taty mogliby podjąć się opieki, ale... – zawahałam się i sięgnęłam do dekoltu szukając wsparcia. – Nie chcieli wychowywać dziecka prostytutki – dokończyłam pewnie.

– Co takiego? – Zuzanna zrobiła wielkie oczy.

– Uważali moją babcię za prostytutkę i stosując skrót myślowy, moją mamę również.

– Dlaczego?

– Babcia była tancerką kabaretową.

– Nie wiedziałam, że w Polsce były kabarety.

– Przyjechała przed wojną, pochodziła z Francji, tańczyła w Casino de Paris. Wiesz, zaczęła jako bardzo młoda dziewczyna, to były szalone lata dwudzieste. Wojna się

skończyła, nikt nie myślał, że wybuchnie kolejna. Ludzie używali życia. Impresario babci namówił ją na wyjazd, na podbój nowych krajów. Trafili do Polski. Pan Żuk...

– Pan Żuk? – Oczy Zuzy zrobiły się jeszcze większe, jeżeli to w ogóle możliwe.

– Tak nazwałam dziadka, bo miał wąsy jak żuk, babcia pokazywała mi fotografie.

– Przepraszam, że ci przerwałam. Opowiadaj dalej.

– Pan Żuk porzucił babcię dla młodszej kobiety i wyjechał, nie podając adresu.

Babcia była wtedy w ciąży.

– Ojej, i co zrobiła? – Zuzanna wpatrywała się we mnie, jakby po raz pierwszy usłyszała o porzuconej kobiecie w ciąży.

– Urodziła, a co mogła zrobić?

– No nie wiem, usunąć – powiedziała z wahaniem.

– To bym tu nie siedziała – uśmiechnęłam się.

– I co dalej?

– Wybuchła wojna, mama urodziła się wiosną czterdziestego, tułały się od wsi do wsi, jak większość populacji.

– Nie chciała wrócić?

– Wszędzie była wojna, nie miało znaczenia, w jakim kraju mieszkały w Europie. Przeżyły i przyjechały na Ziemię Odzyskane. Babcia w wynajętym domu urządziła bar. Umiała sobie radzić, nawet w czasie wojny przewoziła żywność w dziecięcym wózku. Niemcy patrzyli na nią życzliwej, gdyż mówiła po francusku, tańczyła kankana.

– No nie, tańczyła kankana dla Niemców?

– Jak trzeba było odwrócić ich uwagę. Wiesz, w czasie wojny robi się różne rzeczy, jednak nigdy nie donosiła na nikogo.

– Założyła bar, i co dalej?

– Wysłała córkę do szkoły, później na studia. Na architekturę. Na Politechnice moja mama poznała tatę. Babcia mówiła, że pomimo tego, że wybrała męski zawód, była ona bardzo kobieca, nosiła perły. Dlatego ja też wybieram je jako ozdobę. W dzieciństwie perły zastępowałam drewnianymi koralami. W domu dziecka bawiłam się różnymi koralikami i myślałam o mamie. Babcia nie dostała prawa do opieki, spędzałam z nią tylko niedziele. Ale dla mnie to były wyjątkowe dni. Każda niedziela to był prezent od losu. Babcia zmarła osiem lat temu i od tego czasu niedziele nie mają już dla mnie dawnego uroku. Wiesz,

nawet gdy zamieszkałam sama, utrzymywałyśmy niedzielny rytuał. Gdy zmarła, ogromnie mi jej brakowało, codziennie pisałam do niej list.

– List do zmarłej?

– Tak, przez rok codziennie opowiadałam jej, co się u mnie wydarzyło i o tym, jak bardzo za nią tęsknię. Złożyłam dokumenty na wydział edytorski i podjęłam studia, co pozwoliło mi zająć myśli i skupić się na pracy zamiast na emocjach.

– Masz jeszcze te listy? – zapytała niepewnie. – Mogłabym je zobaczyć?

– Tak, pokażę ci, gdy wrócisz do Wrocławia.

Uśmiechnęła się z wdzięcznością.

– Dziękuję. Przez cały czas pracowałaś w wydawnictwie Wydajny i spółka?

– Nie, wcześniej byłam tłumaczem. Po skończeniu romanistyki zrobiłam jeszcze edytorskie studia podyplomowe i zajmowałam się tłumaczeniem tekstów, najczęściej instrukcji obsługi maszyn sprowadzanych do Polski, strasznie nudne zajęcia.

– To miałaś okazję przyjeżdżać do Francji?

– Na studiach. Do Paryża chciałam pojechać z babcią, ale nie dane nam było wybrać się razem w podróż.

– Dlatego nie chcesz zwiedzić miasta ze mną?

– To nie ma nic wspólnego z tobą Zuza – zaprzeczyłam gwałtownie. – Tutaj nie mam już nic do zrobienia. Wrócę i zajmę się przygotowaniem do wydania i promocji książki. Poza tym Tomek będzie mógł wrócić do swojego pokoju. Spanie na materacu w kuchni nie jest zbyt wygodne.

Uśmiechnęła się kącikami ust.

– Niech ci będzie.

– Ty nic nie mówisz o sobie.

– Wszystko wiesz, czytałaś powieść.

– A ten mężczyzna, o którym wspomina pani Nowakowa, odezwał się do ciebie?

Zuzanna spuściła wzrok i oglądała wzór na kocu. Wpatrywała się w brązową kratę, jakby chciała z niej wyczytać historie szpitalnego oddziału. Skupiła na nim całe zainteresowanie, aż zaczęłam się niepokoić, że o mnie zapomniała.

– Nie, ale brałam to pod uwagę – popatrzyła na mnie. – Kto wraca ze Stanów?

– Znam takich, co wrócili.



– Bo musieli. Jego nic nie zmuszało do powrotu, nie miał żony, dzieci. Zresztą nawet dzieci nie są powodem. – Znowu zaczęła oglądać koc.

– Myślisz o tacie?

– Zostawił mamę i nas. Julia miała pięć lat, nie pamięta taty. Ja pamiętam, czekałam na niego z każdą świąteczną gwiazdką, bo przecież to czas rodzinny i powinien być w domu, a jego nie było. – Głos Zuzanny załamał się, jakby przywołane wspomnienia były zbyt bolesne. Miałam ochotę ją przytulić, jednak poklepałam tylko po ręce w przyjacielskim geście. Nie byłam zbyt mocna w pocieszaniu strapionych.

W tym momencie usłyszałyśmy pukanie do drzwi. Zuzanna szybko przetarła dłonią oczy i zwróciła twarz do wejścia. W progu stanęła pielęgniarka, a za nią wychylały się głowy Michaela i Jean-Lou. Pielęgniarka poprosiła nas o pozostanie na korytarzu w czasie, kiedy będzie badała pacjentkę. Wysłałam z pokoju i przywitałam znajomych. Rozmawialiśmy o ostatnich wydarzeniach, a kiedy pielęgniarka opuściła pokój, powiedziałam do Michaela:

– Muszę z tobą omówić sprawy związane z powieścią Zuzanny. Możesz ze mną pójść do kafejki na dole ustalić szczegóły? Jeszcze tylko dzisiaj będę we Francji.

– Pewnie, nie ma problemu.

Wsunęłam głowę do pokoju.

– Schodzimy z Michałem na kawę, wpadniemy do ciebie później.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, popchnęłam lekko Jean-Lou w jej stronę i zamknęłam drzwi.

– Mają sobie trochę rzeczy do wyjaśnienia – tłumaczyłam, gdy szliśmy w stronę schodów. Nagle drzwi jednego z pokoi otworzyły się gwałtownie i wyszła z nich tyłem pielęgniarka, ciągnąc wózek z materiałami medycznymi. Nie zauważyła nas i z impetem wpadła na Michaela, tak że się przewrócił i walnął łokciem w twardą podłogę.

– *Pardon* – w jej zielonych oczach odbijała się troska i zmieszanie. – Nic się panu nie stało? Niesforne kosmyki rudych włosów wymykały się spod czepka.

Michael rozmasowując stłuczony łokieć, wpatrywał się w nią jak w bóstwo objawione. Chyba z wrażenia zapomniał ludzkiej mowy, bo nic nie odpowiedział.

– Mam wrażenie, że doznał szoku pourazowego. Dobrze, że jesteśmy w szpitalu i kompetentne osoby mogą się nim zająć. To ja państwa zostawię – i nie czekając na ich reakcję, zbiegłam po schodach, odszukałam prowadzące do kafejki czerwone strzałki, a po

zamówieniu podwójnego espresso usiadłam przy stoliku. Kafejki szpitalne mają to do siebie, że są mało eleganckie, po co dbać o wystrój w miejscu, gdzie klienci przychodzą z konieczności, bo nie mają wyboru. Jednak krzesła były wygodne, granatowe stoliki sprawiały przyjemne wrażenie, na ścianach zawieszono zdjęcia krajobrazów, a ustawione w kątach rośliny błyszcząły zdrową zielenią. Wyciągnęłam zeszyt i rozłożyłam na stole obok filiżanki z kawą. Zajęta czytaniem nie zauważyłam, kiedy do stolika podszedł Michael.

– Mam jej telefon – powiedział zadowolony.

– Cieszę się bardzo. Wygląda na sympatyczną osobę.

Popatrzył na mnie z rozanieloną miną. Uśmiechnęłam się w duchu. Jak niewiele trzeba ludziom do szczęścia.

– Jak chcesz kawy, to musisz zamówić u pani w barze i sobie przynieść – wyjaśniłam. Po chwili pojawił się z tacą ze szklanką soku, dwoma rogalikami i filiżanką kawy.

– Nie jadłem śniadania – rzucił w ramach usprawiedliwienia. – Często się. – Podsunął mi talerz z rogalikiem. – Co czytasz?

– Pamiętnik Carli, w jej domu znaleźliśmy stare gazety, a pomiędzy nimi znalazłam notatnik. W sumie nie wiem, czemu od razu ci tego nie powiedziałam. Chyba chciałam sama się w to wszystko zagłębić...

Przerwał na moment jedzenie i wpatrywał się intensywnie w zeszyt.

– I co pisze? – zapytał, nie wnikając w moje motywy.

– O relacjach z ojcem. Mniej więcej domyślałam się, jak ją wykorzystywał. Smutne. – Zamyśliłam się, patrząc na zdjęcie latarni morskiej. – Jej mama to alkoholiczka, całkowicie uzależniona i uległa mężowi. Pije, aby zapomnieć, aby nie widzieć, co się wokół niej dzieje. Dla Carli nie była żadnym oparciem.

Michael spoglądał na mnie znad filiżanki.

– Nie ma jej czego zazdrościć.

Pokiwałam głową.

– Nie ma. Nie znam jeszcze całej historii, bo zeszyt liczy przeszło sto stron, ale tatuś nadaje się do zadenuncjowania na policji.

– Zrobisz to?

– Jeżeli znajdę dowód na to, że jest zamieszany w przestępstwo, to tak.

– Narazisz się włoskiej mafii.

– Myślisz, że przyjadą do Wrocławia, żeby się ze mną rozprawić? Bardziej się martwię o Carłę, czy jej znowu nie dopadnie. A właściwie jaka ona jest? – W roztargnieniu skubałam rogalika.

– Ładna, nawet bardzo, tylko taka zimna. Można powiedzieć wyrachowana, liczył się cel. Na zawodach podobnie, musiała wygrać, inaczej przejazd się dla niej nie liczył. Musiała być pierwsza, wszędzie. Myślę, że Jean-Lou też był jej trofeum, zorientowała się, że z Zużą mają się ku sobie i owinęła go wokół palca.

– A ty?

– Co ja? – Przestał mieszać cukier i posłał mi zdziwione spojrzenie.

– Nie byłeś pod jej wpływem?

– Trochę – odpowiedział, wcale nieurażony. – Ale ze mną zagrała krótką piłkę, nie przypadłem jej do gustu, to i nie nalegałem. Wiesz, kobieta nie musi mi mówić dwa razy, że nie chce.

Wzruszyła mnie jego szczerłość i całkowity brak chęci zrobienia wrażenia na otoczeniu. Michael był naturalny, naturalnością szczeniaka, który nie stara się nikomu na siłę przypodobać, jest, jaki jest, nawet jeżeli przewraca się o własne łapy, to uważa, że tak ma być.

– Co do książki – starałam się nadać wypowiedzi profesjonalny ton. – Skontaktuję się z tobą w sprawie okładki i może dodatkowo opracowałbyś dla nas stronę internetową? Mógłbyś?

– Jestem grafikiem, mógłbym, – wzruszył ramionami, jakby to było wiadome samo z siebie. Dla mnie nie było. Zawód grafika zawierał tajemnicze elementy. Bo czy taki grafik potrafi narysować coś odręcznie, czy potrzebuje do tego stosownego programu?

– Umiesz rysować? – ni z gruszki, ni z pietruszki pociągnęłam go za język.

Roześmiał się bez przymusu, jakby moje pytanie wcale nie było nie na miejscu.

– Umiem. Co dla ciebie narysować? Baranka? Lamę?

– Co chcesz. – Wyciągnęłam z torebki długopis i podałam mu razem z serwetką. Jego rysunki spodobały mi się tak bardzo, że postanowiłam sama spróbować. Nie czuliśmy uciekającego czasu, dopiero znajomy głos przywrócił nas do rzeczywistości.

– Popatrz, co oni robią? To po to zniknęliście na pół dnia? Żeby zająć się rysowaniem?

Podniosłam oczy i zobaczyłam Jean-Lou, a obok na wózku siedziała Zuzanna. Do ramienia przyczepiono jej przezroczystą rurkę, którą spływał płyn z plastikowej torebki na podpórcę.

– Zapytałam pielęgniarkę, czy mogłabym wyjść na korytarz, zastanawialiśmy się, co się z wami stało. Do czego wam to? – Ruchem brody pokazała zamazane serwetki.

– Do książki.

– Kinga sprawdza, czy potrafię rysować – dorzucił Michael.

– To my się dołączymy. Chcecie kawy?

Odmówiłam, gdyż kolejna filiżanka kawy mogłaby być moją ostatnią. Jean-Lou podsunął wózek do stołu, a sam poszedł do baru złożyć zamówienie. Przyniósł dodatkowe serwetki, ja wyłożyłam na stół wszystkie długopisy jakie posiadałam, i zabraliśmy się za prace ręczne. Śmialiśmy się przy tym okropnie, bo o ile panowie rysowali całkiem nieźle, to ja i Zuzanna tworzyłyśmy bohomazy. Rzuciłam okiem na zegarek na przegubie Jean-Lou i poderwałam się z krzesła.

– Muszę lecieć, umówiłam się z Tomkiem na obiad.

Michael podniósł się także.

– Podrzucę cię na dworzec.

Gdy szliśmy korytarzem w kierunku wyjścia, Michael wyznał mi, że chciał skorzystać z okazji, żeby zadzwonić do Ann, niedawno zapoznanej dziewczyny. Miał nadzieję, że umówi się z nim na obiad. Pochwalałam go za szybką decyzję, bo najczęstszym błędem popełnianym przez mężczyzn jest niezdecydowanie. Zapisują numer, a następnie czekają tak długo, że kobieta zdąży poznać kogoś innego. Czas bardzo się liczy na początku znajomości, nikt nie czeka w nieskończoność na telefon od ledwo poznanego mężczyzny. Trzeba działać szybko, ale nie nachalnie, nie narzucać się. Z tego co mówił mi wcześniej, Michael nie był typem, który na siłę przyciągał do siebie kobietę, zresztą efekt byłby na pewno odwrotny. Relacje damsko-męskie wcale nie były takie łatwe, albo robi się coś za szybko, albo za późno. Skoro Ann dała mu numer, to znaczy, że czekała na sygnał. Ale może być też tak, że dała mu jakikolwiek numer, aby się od niej odczepił. Tego już mu nie powiedziałam, bo był taki radosny i nie chciałam tego psuć. Żywiłam jednak nadzieję, że dostał prawidłowy numer i będzie mógł się z nią skontaktować.

Na dworcu sprawdziłam przyjazdy pociągów i zadzwoniłam do Tomka. Powiedziałam mu, że za czterdzieści minut będę w Saint-Nom-La-Bretèche.

Czekał na peronie, zobaczyłam go przez okno wagonu i gdy tylko pociąg się zatrzymał, rzuciliśmy się sobie w ramiona.

– Wyglądasz pięknie. – Ujął moją twarz w dłonie i pocałował czule.

Wciągając zapach wody po goleniu, poczułam, jak krew napływa mi do głowy, a po krzyżu wędruje zmysłowe mrowienie. Przytuliłam się do niego jeszcze mocniej, całował mnie po karku i szyi, pragnienie rozlewało się po ciele gwałtowną falą, a w brzuchu czułam nie motylki, a motyle giganty, doprowadzające mnie do zasłabnięcia z pożądania.

– Idziemy do restauracji, czy od razu do hotelu? – szepnął mi do ucha.

Wybrałam hotel.

Zjechaliśmy z obwodnicy do centrum miasta, minęliśmy wieżę Eiffla – majestatyczny symbol Paryża. Złota kopuła Hotelu Inwalidów błyszczała w słońcu. Chciałam zobaczyć nosorożca przed Muzeum Orsay, ale koło gmachu Zgromadzenia Narodowego skierowaliśmy się w stronę dzielnicy Łacińskiej. Miałam nadzieję, że chociaż zobaczę fontannę ze świętym Michałem. Moja wizyta w Paryżu przebiegała tak szybko, że nie zdążyłam nic zwiedzić. Przy hotelu zjechaliśmy na parking. Wcześniej Tomasz zdążył zamówić nocleg dla dwóch osób. Dotarłam pierwsza do pokoju, był jasny i przewiewny; duże okna zakryte wiotkimi zasłonami w kolorze cytrynowym wpuszczały zarówno promienie słońca, jak i hałas uliczny. Podwójne łóżko pokryte żółtą kapą ozdabiały liczne poduszki.

Tomasz wszedł na korytarz walcząc z moją walizką, w której zacinęły się kółka.

– Jak dałaś radę przejść z nią przez miasto?

– Trzeba ją ustawić pod odpowiednim kątem, to się nie zacina.

– Szkoda, że nie powiedziałaś mi tego wcześniej.

– Nie pytałeś.

Rzucił mi spojrzenie z ukosa. Postawił walizkę w korytarzyku.

– Zaraz wrócę.

Podeszłam do okna i zapatrzyłam się na Sekwanę, ludzi biegnących bulwarami, przechodniów rozmawiających przez telefony komórkowe. Wszyscy się gdzieś śpieszyli. Podziwiałam zabudowania z czarnymi dachówkami, gdy w oddali zobaczyłam dwie charakterystyczne wieże – Katedra Notre-Dame de Paris.

– O czym myślisz?

Odwrociłam się, Tomasz oparty o biurko wpatrywał się we mnie z tajemniczym uśmiechem.

– Jacques de Molay spalony żywcem przed katedrą na rozkaz Filipa Pięknego. Po pierwsze primo dlatego, że Filip potrzebował pieniędzy, po drugie primo, bo Jacques de Molay odwołał zeznania, czym rozsierdził króla i zamiast dożywotniego więzienia dostał stos. Wiedziałaś?

– Po pierwsze primo nie przestajesz mnie zaskakiwać, a po drugie primo popatrz, co mam. Wyciągnął zza pleców butelkę szampana i paczkę krakersów.

– Do wieczora musi nam starczyć. Zamówiłem kolację dla dwojga, ale zanim zejdziemy do restauracji opowiesz mi ze szczegółami pięćdziesiąt twarzy Greya.

Tomasz odprowadził mnie na przystanek autobusowy szarpiąc się z walizką. Rozśmieszało mnie to, gdyż pomimo moich tłumaczeń, w jakiej pozycji ją ustawić, nie udawało mu się zrobić kilku kroków bez blokowania kółek. Był zły, a to śmieszyło mnie jeszcze bardziej, co kilka chwil parskałam śmiechem.

– Co cię tak bawi? – zirytował się, zostawiając walizkę koło krawężnika. Czekaliśmy na ulicy de la Reine, po raz ostatni spoglądałam na mijające samochody, fontanny na placu Republiki, Sekwanę przepływającą w niedalekiej od nas odległości. Objął mnie ramieniem i przytulił, wbijając brodę w czubek mojej głowy.

– Już za tobą tęsknię.

Ja też – pomyślałam i zamknęłam oczy, aby zatrzymać obraz Paryża i Tomka pod powiekami. Miałam wrócić bez niego; zastanawiałam się, jak sobie poradzę sama we Wrocławiu i zupełnie bez znaczenia było to, że do tej pory radziłam sobie całkiem nieźle. Od czasu, gdy pojawił się w moim życiu, nie wyobrażałam sobie, że może być inaczej. Jedyne pociechę stanowiły wspomnienia i chciałam zachować je jak najdłużej, aby za każdym razem, gdy będę odczuwać tęsknotę, móc wrócić do wspólnie spędzonych chwil.

Do Polski wróciłam nad ranem. Bez problemów dociągnęłam walizkę do przystanku tramwajowego, a po dotarciu do domu wzięłam prysznic i przebrałam się w wygodne ubranie. Ciuchy z Francji wrzuciłam do pralki. Nie miałam nic do jedzenia, ale na ostatnim przystanku, już w Polsce, wymieniłam kilka euro i w przydrożnej restauracji zjadłam porządne śniadanie z sokiem, tostami z konfiturą z truskawek i kubkiem mocnej kawy. Rozsiadłam się w fotelu i zabrałam za czytanie wspomnień Carli.

## Rozdział 11

Potrzebowała słońca. Myślała o Toskanii, o terasach z drzewami oliwnymi i winnicami, o splekanej od upału ziemi, o serpentynach dróg wytyczonych tysiące lat temu przez woły. Chciała usiąść w cieniu figowca i opiekając pajdy chleba z oliwą popijać młode chianti. Pragnęła podziwiać różowo kwitnące migdałowce, albo dzikie śliwy bielące się kwiatami, jakby to był świeży śnieg. Rozważała powrót, gdyż najciemniej jest pod latarnią, ale jednak obawa, że zostanie rozpoznana przeważała.

Spod zmrużonych powiek spoglądała na szmaragdowe morze. Fale z rozwianymi grzywami uderzały o brzeg, zostawiając mokre ślady na piasku. Zaciśnęła palce na piórze, czerwone paznokcie tworzyły krwiste plamy na połyskującej obsadce. Przyjemność kąpieli w morzu musiała odłożyć na później. Czekala na odpowiedni moment.

Wiedziała, że zadanie, które przed nią postawił los, wymaga odpowiedniego przygotowania. Dlatego na tej zagubionej na morzu Karaibskim wyspie przyjęła rolę znudzonej amerykańskiej turystki, Jane Swain. Wszystkim pracownikom hotelu opowiadała, że odziedziczyła spadek po dziadkach, posiadaczach ziemskich z Południowej Karoliny. Uprawiali tytoń i bawełnę, a ich ziemie nazywano czarnym złotem Ameryki, gdyż przynosiły znaczne dochody. Teraz ona, jedyna pełnoprawna dziedziczka, korzysta z pieniędzy zarobionych w pocie czoła przez pracowników rolnych. Nie przejmowała się, czy jej opowieść jest wiarygodna, nie miało to znaczenia, jej plan opierał się na czymś zupełnie innym. Jane Swain miała spełniać rolę przykrywki. Jeżeli wszystko pójdzie po jej myśli, nie będzie się już nikogo bać. Przestanie się kryć pod słomkowym kapeluszem i wielkimi przeciwsłonecznymi okularami. Wszystkie luźne ubrania wyrzuci do kosza, zresztą, po co wyrzucać? Po prostu ich ze sobą nie zabierze. Uśmiechnęła się sama do siebie. Teraz jednak musi myśleć o tym, aby żadna z kontaktujących się z nią w ostatnich dniach osób nie mogła podać jej szczegółowego rysopisu. Miała zostać panną Nikt. W ciepłych krajach kobiet w kapeluszach i okularach są tysiące. Długie, luźne sukienki pozwalały ukryć figurę. Mogła być chuda, gruba albo nawet w ciąży.

– Coś pani podać?

Zaskoczona wypuściła pióro z ręki. Kelner pochylił się i z uprzejmym uśmiechem podał jej złotego Parkera.

– Dziękuję. Poproszę sok pomidorowy z solą selerową – odpowiedziała, rozciągając słowa.

Gdy kelner odszedł, rozejrzała się. Przy sąsiednim stoliku starszy mężczyzna wzniosł w jej stronę kieliszek. Wskazał na wiaderko, w którym chłodziła się butelka białego wina. Możliwe, że obserwował ją od dłuższego czasu i skorzystał z okazji, kiedy spojrzała w jego stronę. Na aperitif było jeszcze za wcześnie, ale amatorowi trunku widocznie to nie przeszkadzało. Odwróciła głowę z niesmakiem. Na razie miała dosyć mężczyzn, nie szukała towarzystwa podstarzałych facetów z wypchanym portfelem. Miała wystarczające środki, aby się dobrze urządzić.

Do stolika podszedł ten sam kelner i postawił przed nią wysoką szklanę z sokiem. Podziękowała i spojrzała na rozłożony na stoliku notes. Nie chciała się usprawiedliwiać, nie miała takiego zamiaru. Uważała jednak, że Zuzannie należą się wyjaśnienia. Carla miała kupić konia, takie zadanie postawił przed nią ojciec, nie pytała, po co. Zresztą i tak nie dostałaby odpowiedzi. Ojciec nie przywykł, aby ktoś stawiał pytania. Zbyt dociekliwych znajdowano na dnie Tybru. Musiała kupić konia. Wybór padł na... Jak mu tam było? Aha, Eclair. Trzeba było wykorzystać jego dokumenty. Właściciel dostał wystarczająco dużo pieniędzy, aby nie rozgłaszać, kto dokonał zakupu. Zapłaciła mu za milczenie i zagroziła, że w razie przecieku może mu się coś przytrafić, wypadek na przykład. Sam koń jej nie interesował, odsprzedała go za niewielką kwotę, aby tylko nie wzbudzać zainteresowania, inaczej kogoś mogłoby zaciekawić, dlaczego oddaje konia i nie chce na nim zarobić. Odesłała dokumenty Eclaira i z jego papierami przewieziono przez granice innego konia, ukradzionego przez zbirów ojca – wartego tysiąc razy więcej.

Gdy zobaczyła Zuzannę w klubie, spanikowała, bała się, że Polka wpadła na ślad nielegalnej transakcji. Zwabiła ją do siebie, by sprawdzić, jak dużo wiedziała. Ściągnęła dziewczynę do domu, a następnie zamknęła, żeby uniemożliwić jej pościg. Nawet całkiem łatwo jej poszło. Zuzanna przyjęła jej zaproszenie, nie spodziewając się niczego złego. Tak bardzo chciała dowiedzieć się, co się stało z Eclair'em, że nawet nie poinformowała swojej koleżanki o propozycji Carli. Przywiązanie do konia zgubiło Zuzannę. Tak łatwo chwyciła przynętę, bo zależało jej na odnalezieniu czworonoga. Właściwie ojciec miał rację: przywiązanie może być uczuciem szkodliwym. Uśmiechnęła się, ale zaraz uśmiech stężył na jej twarzy. A jeżeli Zuzanna nie wyszła z pokoju? Jeżeli nikt jej nie szukał? Gwałtownie



zamknęła notes i wstała od stolika. Zostawiła należność na blacie wraz ze sporym napiwkiem. Trudno. Co się stało, to się nie odstanie. Ona ma ważniejsze sprawy na głowie.

Weszła do hotelowego holu i energicznym krokiem kobiety pewnej siebie podeszła do windy. Gdy otworzyły się drzwi, nacisnęła przycisk na pierwsze piętro. Po wejściu do pokoju zaciągnęła perkalowe zasłony. Miała widok na morze, ale nie miała okazji podziwiania krajobrazu, żar wlewał się do pomieszczenia i nawet otwarte okna niewiele pomagały, gdyż powietrze rozgrzane słońcem nie przynosiło ochłody. Podeszła do nocnej szafki, odłożyła na nią okulary, wzięła stojący obok telefon i wykręciła numer recepcji.

– Poproszę obiad do pokoju sto dwanaście.

W pomieszczeniu panował upał, skrzydła wentylatora z trudem mieszały nagrzane powietrze, krople potu ściekały spod kapelusza na twarz. Włączyła telewizor i usiadła na welurowej kanapie. Przerzucając kanały, głaaskała materiał. Przypominał w dotyku miękką sierść kota. Pukanie oderwało ją od rozmyślań.

– Proszę! – Odwróciła się w stronę drzwi, do pomieszczenia weszła pokojówka, pchając wózek z potrawami wypełniającymi powietrze apetycznym zapachem. Carli napłynęła ślina do ust. Musi dobrze zjeść, aby głód nie przeszkadzał jej w realizacji planów. Przyjrzała się pokojówce, kobieta koło czterdziestki, czarne, kręcone włosy otaczały uśmiechniętą twarz, a w uszach błyszczały złote koła. Na imię mogła mieć Maria, Gwadelupe albo Teresa, to jej zupełnie nie obchodziło.

– Zrobiła pani to, o co prosiłam? – Zapytała, uważając na sposób, w jaki wypowiadała słowa. Jej amerykański akcent nie powinien wzbudzać wątpliwości.

– Tak. – Kobieta kiwnęła głową i z kieszeni służbowego fartucha wyciągnęła dokumenty i klucz, po czym położyła je na tacy koło wazonu z kwiatami.

– Dziękuję. – Carla odetchnęła z ulgą, sięgnęła do leżącej na kanapie torebki i wyciągnęła grubą kopertę.

– Miłego popołudnia.

Pokojówka odebrała kopertę i opuściła pokój.

Carla zamknęła za nią drzwi na klucz. Podeszła do wózka i uniosła pokrywkę: sałatka z awokado i kurczak w sosie kokosowym. Przykryła naczynia. Upał dawał jej się we znaki, pot zostawiał ciemne plamy na sukience. Postanowiła wziąć prysznic, obiad mógł poczekać, a ona kleiła się od brudu. Zrzuciła ubrania, kapelusz potoczył się pod umywalkę, ale nie miała zamiaru się po niego schylać, nie był jej już potrzebny. Weszła do kabiny,

woda przyjemnie chłodziła ciało. Odświeżona owinęła się ręcznikiem, boso przeszła do pokoju. Wlała do szklanki wody, nabrała porcję kurczaka z awokado i z talerzem w jednej ręce, a szklanką w drugiej udała się w stronę kanapy. W telewizji nadawali wiadomości. Zastanawiała się, czy podadzą gorącego newsa o aferze dotyczącej podmiany koni, przecież nadal pozostawała na terenie Francji, i czy jej ojciec zostanie połączony z kradzieżą znanego reproduktora. Jednak gładko uczesany spiker nie wspominał o wydarzeniach, które miały związek z ojcem.

Francesco Farelli wzbudzał w niej strach, i to od wczesnego dzieciństwa. Potrafił z przenikliwością predatora wywęszyć słabe miejsca i kęsać właśnie tam, gdzie najbardziej odczuwało się cierpienie. Nie musiał jej zadawać fizycznego bólu, dręczył ją psychicznie, nie pozwalając związać się z nikim i niczym. Ulubione zabawki palił w kominku, mówiąc jej, że dzięki temu będzie silniejsza, bo przywiązanie to słabość. Patrzyła na topiące się w ogniu twarze lalek i hamowała łzy – nie mogła płakać. Gdy okazała odwagę, *padre* był z niej zadowolony. Nie wiedziała, kogo nienawidzi bardziej, ojca czy matki, która przyglądała się scenie z obojętnością. Pokładała się na sofie, obok której stał okrągły, akacjowy stolik. Ją interesowało tylko to, czy w szklance jest wystarczająca ilość koniaku; jeżeli stan trunku opadał, sięgała po karafkę i dolewała do pełna. Zwlekała się z sofy nocą, pokojówka pomagała jej dojść do sypialni, rozbierała, myła i kładła spać. Ojciec tolerował obecność matki tylko dlatego, że pochodziła z wpływowej rodziny, inaczej spadłaby ze schodów albo miała wypadek samochodowy. Matka nie była oparciem dla córki, potrafiła jedynie zatruwać jej egzystencję. Carla skończyłaby jak matka, siedząc na kanapie i pustym wzrokiem spoglądając w przeszłość, zamroczona alkoholem albo środkami odurzającymi. Ojciec zapewniał jej dostęp do narkotyków, żeby łatwiej nią manipulować. I być może zostałyby bezwolną kukielką, gdyby nie kazał jej usunąć ciąży. Zaczęła przyzwyczajając się do myśli, że zostanie mamą, to rosnące w niej ciało wywoływało wzruszenie. Po fakcie czuła się tak, jakby wyrwano jej żywcem kawał własnego ciała. Wtedy postanowiła uwolnić się ze szponów ojca, bo niszczył nie tylko ją, ale także wszystko, co pokochała.

Potrząsnęła głową, odganiając wspomnienia, włosy miękką falą otoczyły jej twarz. Musiała się nimi teraz zająć. Odłożyła talerz na niski stolik i przeszła do łazienki. Spojrzała w lustro, wraz ze szklami kontaktowymi oczy nabrały orzechowej barwy, włosy, wcześniej blond, teraz jasnobrązowe, sięgały ramion. Sięgnęła po prostownicę, włączyła do kontaktu i czekając aż urządzenie się rozgrzeje przysiadła na szafce. Obmyślała plan. Zjedzie windą

do podziemi, a w sportowej torbie obok ręcznika będzie torebka z dokumentami, kluczami, niewielki plecak z ubraniami na zmianę. Czekają na nią skuter zaparkowany koło wejścia dla pracowników. Pojedzie wieczorem wykąpać się w morzu. Rano pracownicy hotelu znajdą na plaży torbę z jej osobistymi rzeczami. Poszukiwania, dochodzenie, ankieta policyjna, stwierdzenie, że zaginęła, zajmie sporo czasu. To jej da możliwość opuszczenia wyspy i dotarcia na stały ląd. Wsiądzie w samolot do Stanów i zniknie w tłumie. Nikt się nie dowie, co się z nią stało

## Rozdział 12

*Wrocław, wrzesień 2017 r.*

Zaniosłam kosz z bielizną na strych. W moim niewielkich rozmiarów mieszkanku nie miałam miejsca na rozwieszanie mokrych ubrań. Na szczęście mogłam korzystać z pomieszczenia na ostatnim piętrze wieżowca. Wieszałam pranie, spoglądając przez zakurzone okna na przepływające po niebie chmury, kiedy zawibrowała mi kieszeń. Przekonana, że to dzwoni Tomek w czasie codziennej dawki sportu w lasach Marly-le-Roi, odebrałam uszczęśliwiona:

– Słyszysz się? Chciałbyś ze mną pobiegać po lesie?

– Pani Kingo, nie wiem, gdzie pani widzi lasy we Wrocławiu. Bardziej Oborniki Śląskie albo Trzebnica. – Prezes Wydajny przerwał na chwilę, zastanawiając się nad rozmieszczeniem terenów leśnych w okolicach Wrocławia. – Lecz nie po to do pani dzwonię. Zrobiła sobie pani urlop... – zawiesił głos z teatralną wprawą, sprawowanie funkcji prezesa zaowocowało aktorskimi zdolnościami.

Wymuszony, można powiedzieć – pomyślałam i już miałam coś kąśliwego dodać, gdy usłyszałam w słuchawce:

– Ale pora wrócić do pracy.

– Przecież zwolnił mnie pan – wybąkałam zaskoczona.

– Nie będziemy wdawać się w szczegóły. Proszę przyjść do mnie, do biura, jutro o dziewiątej.

Prezes Wydajny rozłączył się, jak to miał w zwyczaju, bez „do widzenia” ani „pocałuj mnie...”. Nie czekał na potwierdzenie, czy zjawię się o dziewiątej, czy nie. Po

prostu wyłączył telefon; denerwujący sposób na kończenie rozmów. Zaskoczył mnie, dlatego nie zdążyłam nic powiedzieć. Oglądałam różowego iPhone'a, którego kupiłam dla poprawienia sobie nastroju po stresujących przeżyciach we Francji. Podejmowałam decyzję, czy zadzwonić, żeby odwołać jutrzejsze spotkanie. Chciałam mu powiedzieć, że miałam inne plany na jutrzejszy dzień i nie mogłam ich zmienić. Problem w tym, że nie miałam żadnych planów, moje życie od czasu przyjazdu z Paryża przypominało jałową pustynię – żadnych atrakcji, jeden dzień podobny do drugiego. Urozmaiceniem były telefony od Tomka, a także praca nad książką Zuzy.

Byłam ciekawa, co prezes miał mi ważnego do zakomunikowania, skoro sam zadzwonił. Zazwyczaj w tego typu sprawach wyręczał się panią Gienią. Poza tym, co mogło znaczyć: „Ale pora wrócić do pracy?”. Co miał na myśli? Nie wytłumaczył mi, o co chodziło, trzymając w niepewności. Cwany lis wiedział, jak podejść zwierzynę. Odłożył słuchawkę, żebym w napięciu oczekiwała jutrzejszego spotkania. Mistrzowskie zagranie, panie prezesie!

Planowałam wydać powieść Zuzy samodzielnie. Ona została jeszcze przez kilka dni w szpitalu dla uzyskania pewności, że jej zdrowiu nic nie zagraża. Z wielką determinacją broniła Carli, nie pozwoliła złożyć zażalenia na policję za porwanie i przetrzymywanie siłą przy użyciu środków odurzających. Nie wiadomo, jaką substancję Carla wykorzystwała do otumanienia Zuzy, bo butelka – dowód rzeczowy – została przeze mnie wyniesiona na śmietnik. Tomek kręcił głową z niedowierzaniem, że nie zabrałam ze sobą elementu tak ważnego dla sprawy. Z drugiej strony skąd miałam wiedzieć, że powinnam ją zabrać? Jakoś nie wpadłam na to sama, choć w sumie może powinnam, zwłaszcza po lekturze Agaty Chrzęszcz. Dowód przepadł, a Zuzanna nie chciała wnosić sprawy, tłumacząc, że Carla nie miała wyjścia. Zamknęła ją w domu, żeby wyjechać, opuścić Francję na zawsze, nie chciała popełnić morderstwa. Wyłączyła prąd, żeby Zuza nie wysyłała nocą sygnałów S.O.S. Przy okazji odcięła także dopływ wody, a co za tym idzie skazała swoją zakładniczkę na śmierć z pragnienia, ale może nie wiedziała, że pompa działa na prąd? Albo pod wpływem silnego stresu nie wzięła tego pod uwagę?

Tomek z dziewczynami postanowili przedłużyć pobyt pod Paryżem. Ja wyjechałam wcześniej, bo moja misja się skończyła. Może nie tak to sobie wyobrażałam, ale nie miałam wpływu na rozwój wypadków. Naszą akcję trudno nazwać udaną, jednak Zuzanna nabrała chęci do działania i regularnie wysyłała fragmenty powieści. Po poprawkach planowałam

oddać całość do drukarni do łamania i zorganizować spotkania autorskie. To nasz pierwszy projekt wydawniczy. Dlatego propozycja spotkania z prezesem Wydajnym wcale nie przypadła mi do gustu. Z drugiej strony lubiłam pana Tadeusza – starszego mężczyznę zakochanego w książkach. Nikt by się tego nie domyślał, patrząc na wystrój jego biura, którego ściany wypełniały metalowe szafki na dokumenty, a nie regały z książkami. A to dlatego, że pan Tadeusz chorował na samą myśl, że ktoś mógłby jego ukochaną powieść pożyczyć i nie oddać. W domu wszystkie książki trzymał w gablotach, pod kluczem. Gdy napatoczył się miłośnik literatury chętny dzieło pożyczyć, pan Tadeusz twierdził, że klucz zgubił. Oczywiście źródłem tych wszystkich informacji była nieoceniona pani Gienia. Zdecydowałam, że pójdę. Ciekawość wygrała, chciałam się dowiedzieć, co kryje jego propozycja. Bezwiednie włożyłam iPhone'a do kosza na bieliznę.

Przekreślałam klucz w zamku, kiedy po raz drugi zawibrował telefon, stukając o dno kosza. Tym razem wyświetlił się numer Tomka. Nacisnęłam klawisz połączenia i weszłam z powrotem na strych, gdyż nie chciałam rozmawiać na korytarzu.

– Cześć, co robisz?

– Wieszam pranie. Dzwonił prezes Wydajny, mam przyjść jutro do wydawnictwa.

– Tak? I co chciał?

– Dokładnie nie wiem, bo się rozłączył. On tak zawsze kończy rozmowy. Ma mi coś do zakomunikowania i nie chce, abym się spóźniła.

– To ty się spóźniasz do pracy? – zdziwił się.

– Czasami, gdy mam spotkania na mieście. Wiesz, w wydawnictwie nikt od tego nie umrze, jeżeli przyjdę później. To nie pogotowie.

– A co byś powiedziała, gdybym wpadł z wizytą?

– Kiedy?

– Za godzinę.

Zatkało mnie.

– I? – w jego głosie brzmiała nuta zniecierpliwienia, a może nawet rozczarowania.

– Chciałabym, chciała. Zaskoczyłeś mnie, nie wiedziałam, że przyjechałeś do Wrocławia.

– Zobaczymy się za godzinę – powiedział z ulgą i rozłączył rozmowę.

Szybko rozejrzałam się po wnętrzu, oceniając czystość lokalu. Przez godzinę nie zdążę doprowadzić pomieszczenia do stanu używalności. Moje studio nie dość, że małe, to

jeszcze wciśnięte między inne mieszkania, nie zapewniało intymnej atmosfery. Wyjściem byłoby urządzenie przytulnej garsoniery na strychu, tylko potrzebowałam więcej czasu niż godzinę.

Kosz obijał się o ściany, gdy przeskakiwałam po dwa stopnie i z hukiem wpadłam do mieszkania. Otworzyłam szafę i ze zgrozą stwierdziłam, że nie mam się w co ubrać. Sukienki w kolorze żałobnej czerni nadawały się na spotkania służbowe, a nie na romantyczne *tête a tête*. Sytuację rozwiązał komplet koronkowej bielizny w kolorze kremowym, podkreślającym opaleniznę. Musiałam zadbać o ujednolicenie koloru skóry. Ręce i nogi miałam muśnięte słońcem od codziennego biegania w parku, reszta ciała stanowiła dziwaczny kontrast, zamówiłam więc kilka seansów na solarium, aby zniwelować różnicę. Barwa ciała z jasnej zmieniła się na delikatnie opaloną. Marek Nocny przestał się zachwycać moją porcelanową cerą. Jeżeli jeszcze kiedyś się spotkamy.

Czesłam włosy w łazience, gdy zabrzączał domofon. Kilka minut później usłyszałam windę zatrzymującą się na naszym piętrze. Otworzyłam drzwi i patrzyłam, jak pojawia się w głębi korytarza z bukietem piwonii.

– Ty naprawdę nazywasz się Alias – powiedział Tomek, podając mi kwiaty i całując w szyję. – Tak jest napisane przy domofonie.

– Dlaczego myślałeś, że jest inaczej?

– Bo to takie nieprawdopodobne nazwisko. – Usiadł w fotelu, przyglądając się uważnie. – Pięknie wyglądasz – dorzucił, gdy wkładałam kwiaty do wazonu. Piwonie odbijały się czerwoną plamą od jasnych ścian.

– Chcesz kawy?

– Nie wiem, czego chcę... Właściwie wiem, ale z tym poczekam. Mam dla ciebie niespodziankę, tylko będziesz musiała się w coś ubrać. – W jego spojrzeniu błyszczały iskierki rozbawienia. – A może chcesz zaprezentować nową wersję *Pięćdziesięciu twarzy Greya*? Podobno są nowe odcienie.

– Jakie odcienie?

– Możemy zacząć od jaśniejszych. – Złapał mnie w tali i posadził sobie na kolanach. – A potem się ubierzesz, bo jesteś goła.

– Nie jestem goła.

– Tak chcesz jechać przez miasto?

– Nie mam się w co ubrać, a do sklepu nie miałam czasu pójść – poskarżyłam się, opadając na niego całym ciałem.

– We Francji miałaś – głaskał moją szyję koniuszkami palców, a mnie przechodziły intensywne dreszcze.

– To nie to samo, tam nie potrzebowałam eleganckich ciuchów, gdyż wszyscy chodzili niezobowiązująco ubrani. Poza tym muszę dobrze wyglądać na spotkaniu z prezesem.

Nic nie powiedział, nie skomentował, że przez miesiąc nie znalazłam czasu na zakupy. Nie miałam takiej potrzeby. Nigdzie nie wychodziłam, jedynie biegałam w parku, bo pogoda sprzyjała aktywności fizycznej. Wszystko załatwiałam za pomocą telefonu: maile, poprawianie tekstu, nawet czytanie książek dzięki aplikacji iBook.

– Jedziemy. – Delikatnie mnie podniósł, wstał i szybko podszedł do drzwi. – Już, teraz, bo inaczej zostaniemy tutaj na długo.

– Ale...

– Nie ma „ale”, weź płaszcz.

Sięgnęłam do szafy po trencz, który miałam ze sobą we Francji, i torebkę. Buty zakładałam na korytarzu.

– Po co ten pośpiech?

– Zobaczysz.

Fiatem uno w kolorze zielonego jabłka dojechaliśmy na Świdnicką i zaparkowaliśmy koło Renomy. W salonie Zary kupiłam dwie sukienki i kostium – spodnie i żakiet w morskim kolorze, a do tego buty na obcasie. Pierwszy raz odważyłam się założyć tak wysokie szpilki. Zazwyczaj obcas moich czółenek nie przekraczał trzech centymetrów. Nie czułam się zbyt pewnie, bo chybotałam się niepokojąco w nowych butach, ale postanowiłam, że nauczę się w nich chodzić, na wzór Jolanty Smutny.

– Świetnie wyglądasz – ocenił, kiedy stanęłam przed nim w długiej sukni w kwiaty. Rozcięcia z boku pozwalały dojrzeć opalone nogi wydłużone o osiem centymetrów. Objął mnie w talii i ruszyliśmy na dalsze zakupy. Byłam mu wdzięczna, że mnie podtrzymał, gdyż inaczej mogłabym połamać kości. Nauka chodzenia w szpilkach jest niesamowicie trudna.

W kosmetycznym kupiłam zestaw lakierów do paznokci, dezodorant o zapachu czerwonych maków oraz musujące płyny do kąpieli o zmysłowych nutach. Papierowe torby na zakupy włożyłam do auta i z tęsknotą spozjrzałam w kierunku księgarni.

– Kupimy książki?

– Nie dzisiaj. Podejrzewam, że jak wejdziesz, to szybko nie wyjdiesz, a ja mam niespodziankę dla ciebie.

Właśnie, niespodzianka. Ciekawe co to może być? Wsiadłam do środka i z niecierpliwością czekałam na ciąg dalszy, ale Tomek nic nie mówił, nucił pod nosem uśmiechając się lekko.

– Jedziemy do ciebie? – Zainteresowałam się, gdy minęliśmy most Trzebnicki. Wizja spędzenia popołudnia w towarzystwie jego siostry nie napawała mnie entuzjazmem. Chciałam się nim nacieszyć, a nie składać oficjalne wizyty rodzinie.

– Niespodzianka.

Nic więcej nie dodał, więc słuchaliśmy muzyki i jechaliśmy dalej. Zatrzymał się przy Kwiatowej, tak głosił napis na tabliczce przyklepionej do ściany. Rzuciłam na nią okiem, kiedy wchodziliśmy do bramy. Schodami poprowadził na ostatnie piętro, otworzył przede mną na oścież drzwi, zapraszając do środka.

– Tu będę mieszkał przez najbliższy rok, już się zdążyłem rozpakować. Dostałem pracę w prywatnej klinice – powiedział zadowolony z efektu. Zrobił na mnie wrażenie, nie spodziewałam się, że wynajmie mieszkanie. Całkiem spore, dwa pokoje z kuchnią w stylu amerykańskim – otwartą na salon.

– Nie wracasz już do Francji? – Nie mogłam w to uwierzyć, ale postanowiłam, że nie dam po sobie poznać, jak wielką radość mi to sprawiło, więc tylko dodałam: – Super jest, pewnie sporo kosztuje. – Usadowiłam się na fioletowej kanapie, zsunęłam buty i podwinęłam nogi. Tomek przygotowywał kawę, do połowy zasłonięty przez drewniany bar.

– Elżbieta opiekuje się teraz cicią. Znajomy wyjechał na kontrakt, też jest lekarzem. Płacę rachunki, opiekuję się mieszkaniem. Gdy wróci, zobaczymy. Teraz trzeba to opić! – Wyciągnął butelkę z lodówki, przyniósł na mały stolik słone ciasteczka i dwa wysokie kieliszki.

Wspomnienia hotelowej nocy załały mnie gwałtowną falą. Poczułam uderzenie gorąca na twarzy, oddech przyspieszył. Tomek usiadł na kanapie i zaczął bawić się moimi



włosami, nawijał kosmyki na palce, muskając szyję. Zaciśnięłam zęby, aby nie rzucić się na niego jak lwica. Chciałam tę chwilę przedłużyć w nieskończoność.

W kieliszkach musował różowy szampan, kawa dawno wystygła w filiżankach w róże, na jasnej podłodze, rzucone w pośpiechu ubrania stanowiły barwną plamę. Leżałam z głową na jego piersi wsłuchana w odgłosy miasta, odległy dźwięk tramwajów, szum samochodów, gruchanie gołębi. Spomiędzy tych dźwięków dochodziło regularne bicie serca. Zastanawiałam się, czy śpi, nie chciałam go budzić nieuważnym ruchem. Przyglądałam się lampie z trzema kloszami w kształcie tulipanów, kiedy poczułam dotyk, Tomek delikatnie głaskał skórę na moim ramieniu.

– Spałaś?

– Nie – roześmiałam się. – Trudno znaleźć wygodną pozycję na takiej wąskiej kanapie.

Sięgnęłam po kieliszek i upiłam łyk.

– Dobry, ma ładny kolor. – Oglądałam napój pod światło. – Opowiadaj, co się wydarzyło. Co z ciocią Józefiną?

– Nie robimy sobie wielkich nadziei...

– Rozumiem. – Pokiwałam ze współczuciem głową. – Macie kota?

– Kota, papugę.

– Mówiłeś o papudze, pamiętam, ale ja jej nie widziałam.

– Dziewczyny przeniosły ją do swojego pokoju, żeby w dzień nie budziła skrzeczeniem. Papugi są dosyć gadatliwe, ciągle mają coś do powiedzenia, jak ty. – Uśmiechnął się. – Teraz Ela zajmuje się mieszkaniem cioci, postanowiła zmienić pracę na lepiej płatną i wyjechała do Francji na jakiś czas. Trochę się zamieniliśmy. Ona tam, ja tu. Stwierdziła, że zaczyna coś zupełnie nowego. Zuzanna przeniosła się do mojej mamy, a Julia została sama, dostała jakiś grant na te swoje projekty malarskie.

Ucieszyło mnie, że dziewczynom wszystko zaczyna się tak dobrze układać.

– Wspaniale, może wreszcie skończą się ich kłopoty z pieniędzmi i pani Elżbieta złapie wiatr w żagle – stwierdziłam z entuzjazmem, po czym dodałam zaczepnie: – Uważasz więc, że jestem papugą?

– Taką małą, kolorową papugą, która robi wiele hałasu.

– Wiele hałasu o nic. – Odwzajemniłam uśmiech. – Gdzie jest kot?

– Co ty tak o tego kota pytasz? Teraz z Zuzanną. Przejechał granicę z nami w samochodzie. Ma nawet książeczkę zdrowia.

– Nie wiesz, ile się go naszukałam. – Nie było to zgodne z prawdą, ale przynajmniej usprawiedliwiało ciekawość. – Jak ma na imię?

– Boubou.

– A co u Jean-Lou i Michaela?

– Spotkaliśmy się kilka razy na piwie wieczorem. Trzeba przyznać, że dzięki temu podszkoliłem angielski. Michael zaprzyjaźnił się z pielęgniarką ze szpitala, Annik ma na imię.

– Ann – poprawiłam. – Ogromnie się cieszę, że spotkał odpowiednią dziewczynę. Wiesz, że interesował się Carlą?

– Chyba wszyscy mężczyźni się nią interesowali. A co do Carli, to przesłała oficjalne pismo od notariusza, w którym przekazała swoje rzeczy klubowi. Zrobili aukcję i każdy ma teraz pamiątkę. Nawet Zuzanna kupiła buty do jazdy konno.

– Zuzanna dalej jeździ? – opierałam głowę na dłoni i patrzyłam mu w oczy. Szaroniebieskie jak woda w Odrze, za oknem.

– Tak, chyba na Partynicach, jeżeli dobrze zrozumiałem jej tłumaczenie.

– Eklerek się nie odnalazł – powiedziałam do siebie.

– Wypijmy za niego. – Wzniósł kieliszek w geście toastu. – Za Eklerka, bo to on sprawił, że jesteś tutaj ze mną.

O tym nie pomyślałam. Rzeczywiście, gdyby nie nasz szalony pomysł szukania Eklerka we Francji dalej wiodłabym spokojne, acz samotne życie. Miałam wszystko poukładane, no, może nie chodziłam jak szwajcarski zegarek, bo nie należę do osób dobrze zorganizowanych, ale nie musiałam się nikim martwić, zajmowałam się tylko sama sobą. Teraz to się miało zmienić, życie we dwoje wymaga kompromisów, nie wiedziałam, czy potrafię się na nie zdobyć. Usiadłam i sięgnęłam po kieliszek, stuknęło szkło, upiłam łyk, z kieliszkiem w ręku wstałam z kanapy i podeszłam do okna, popijając musujący płyn. Patrzyłam na rzekę oraz nabrzeże, gdzie ludzie spacerowali z psami na smyczach, dziećmi w wózkach. Myślałam o wspólnym życiu, kiedy padło pytanie, na które z niecierpliwością czekałam:

– Zjemy coś?

– Tak, tak, tak – zawołałam, z entuzjazmem odwracając się od okna.

Spojrzał zdziwiony.

– Można by pomyśleć, że nie jadłaś nic od kilku dni.

– Seks wyczerpuje, wiesz?

– To musimy się zaopatrzyć – efektownie zawiesił głos, – cała noc przed nami.

Zagramy w ubieranego pokera, kto przegra ubierze się i zejdzie do sklepu.

– Takie coś tylko facet może wymyślić. Nie umiem grać w pokera. Tomek ze śmiechem podszedł do mnie, przerzucił przez ramię i zaniósł do sypialni, na łóżko przykryte pościelą w morskie fale.

– Teraz jestem twój. – usiadł na mnie i przytrzymał mi ręce nad głową. – Ufasz mi?

– Tak. – Próbowałam go z siebie zrzucić, ale bez skutku.

– Zwiążę cię.

– Dobrze.

Sięgnął do szuflady komody i wyciągnął dwa jedwabne krawaty. Skubał mi wargami ucho przywiązując ręce do ramy łóżka. Roześmiałam się, kiedy koniuszkiem języka przejechał po rowku między piersiami, jednocześnie czułam łaskotki i gorąco z pożądania. Oddech miałam urywany, gdy metodycznie kawałek po kawałku całował całe moje ciało. Po godzinie cielesnych zmagania, spoceni i zmęczeni leżeliśmy koło siebie. Tomek oparł głowę na dłoni i patrzył na mnie, mrużąc oczy.

– Czyżbyś stosowała dietę cud, czekając, aż przyjadę?

– Odwiążesz mnie? Poddaję się, idę na zakupy, bo inaczej będziemy jeść tylko słone ciastka. – Tomasz usiadł i odwiązał zaciśnięte więzy, rozmasowywałam zaczerwienione nadgarstki.

– Ciastek już nie ma, zostały oliwki, – przewrócił się na brzuch i uszczypnął mnie w bok. – A tak z innej beczki, nabrałaś sił, masz więcej mięśni, tłuszczu prawie wcale.

– Biegałam. – Poklepałam go po jędrnych pośladkach, wystających jak dwie bezludne wyspy z oceanu.

– Biegałaś? Super! Tak sama z siebie?

– Kupiłam przez internet książkę *Bieganie dla leniwych* czy jakoś tak. Każdego dnia masz plan: najpierw szybki marsz, potem minuta biegu, marsz i tak na przemian. Najpierw dwadzieścia minut, potem dłużej, aż dojdiesz do godziny – tłumaczyłam, wstając z łóżka. Chciałam pójść po ubranie, ale mnie zatrzymał.

– Możesz wziąć samochód, klucze są w kieszeni spodni.

– Nie mam prawa jazdy. – Usiadłam na brzegu okrywając się kołdrą. – W domu dziecka nikt nie pomyślał o prawie jazdy, a potem radziłam sobie bez.

– Powiedziałaś mi kiedyś o tym, co się stało w twoim rodzicom. Nie miałaś innej rodziny?

Opowiedziałam mu o perypetiach babci z opieką nade mną, o tym, czym się zajmowała i jakie były jej losy. Zamilkł, wpatrując się we mnie z fascynacją.

– To się nadaje na książkę, nie myślałaś o tym? Tancerka kabaretowa? Wypadek lotniczy? Wąsy jak u żuka? Nie każdy może się pochwalić takimi wspomnieniami. – Tomek zamilkł na chwilę i spytał, wpatrując się we mnie z powagą: – Twoja babcia nie chciała wrócić do Francji?

– Nie mogła, przez epizod z kabaretem uważano ją za jednostkę mocno podejrzaną. *À propos* podejrzanych jednostek, w mieszkaniu Carli znalazłam zeszyt.

– Co notowała? – zapytał, zakładając podkoszulek z napisem „fish” i obrazkiem rybich ości. Nagle poczułam żal, że każe mi czekać na kolejną porcję miłosnych figli.

– Wspomnienia, przeżycia, które doprowadziły do tego, że chciała uwolnić się od wpływu ojca. Wywierał na nią nacisk, aby wykonywała jego polecenia, zastraszył ją. Była przekonana, że jeżeli nie zrobi tego, czego od niej żąda, obetnie jej palce albo rękę. Przy okazji ozdabiała notes rysunkami, takie obrazki, jak to czasami dzieci rysują w zeszytach, gdy się nudzą.

– Możesz pokazać ten zeszyt? – Przeszedł do salonu po spodnie.

– Jest u mnie w domu. Zabrałam go ze sobą na wszelki wypadek, bo podejrzewałam, że zapisywała informacje. Ten jej ojciec to jakiś psychol.

– Bardzo możliwe.

– Ale ona pisała po włosku. Znasz włoski?

– Przetłumaczysz mi. – Chodził po pokoju w tę i z powrotem.

– Dlaczego tak chodzisz? Usiądź.

– Idę na zakupy. Jak wrócę, ugotuję coś dobrego.

– A co ja będę robić? Masz coś do czytania? Pójdę z tobą.

– Zostań, to zajmie tylko chwilę. Poszukaj sobie czegoś do czytania na półkach. – Machnął ręką w nieokreślonym kierunku, pocałował mnie we włosy i opuścił mieszkanie.

Postanowiłam znaleźć ciekawą książkę. W obu pokojach przeważały pozycje medyczne, ale w końcu trafiłam na *Sekrety wielkich morderstw*. Zarzuciłam na siebie

szlafrok Tomka i z książką pod pachą rozsiadłam się na kanapie. Doszłam do Karola VI. Jego żona, Isabeau Bawarska, ogłosiła go szalonym, dzięki czemu przejęła władzę w państwie, opierając się na wpływowym kochanku – Janie bez Trwogi, księciu Burgundii. Po zamordowaniu Jana bez Trwogi, sytuacja wymknęła się spod kontroli. Burgundczycy nawiązali przymierze z Anglikami. Doszło do konfliktu zbrojnego. Burgundczycy uwięzili Joannę d’Arc, a następnie wydali Anglikom, którzy ogłosili ją heretyczką i spalili na stosie. Kozłem ofiarnym nieporozumień w królestwie została kobieta, która pomogła Karolowi VII wejść na tron.

Niektórzy dla władzy sprzedadzą duszę diabłu. Wpływy są ważniejsze niż poczucie przyzwoitości. Pomyślałam o Carli. Nie wiedziałam, czy bardziej jej współczuć, czy potępiać za to, co zrobiła. Pobudki nie były jasne, nie wiedziałam, czym się kierowała, zamykając Zuzannę w opuszczonym domu, jednak to nie ona skorzystała z sytuacji. Stał za nią ktoś inny – ktoś, kto wykorzystał jej wiedzę i zdolności organizacyjne do własnych celów. Nie musiałam się długo głowić, nie tylko rodziców młodych królów cechowała pazerność. Czym kierował się ojciec Carli, wykorzystując córkę jako pionka w grze? Co takiego osiągnął, że uczucia rodzicielskie przestały się liczyć? Od dziecka traktował ją jako monetę przetargową, przyzwyczajając do tego, że w przyszłości wybierze dla niej kandydata, po to, aby poszerzyć wpływy, zupełnie jak w epoce królów.

Tomek wszedł do kuchni, położył zakupy na blacie.

– Nie przeszkadzaj sobie, zajmę się kolacją. Co czytasz? – Zadał pytanie, krojąc warzywa.

– Myślę o tatusiu Carli, o tym, że władza przewróciła mu w głowie. Traktował córkę jak towar w handlu wymiennym.

– O tym piszą w twojej książce? – Zmrużył szare oczy.

– Nie, ale piszą o władzy, chęci zysku za wszelką cenę. O morderstwach i szantażach, czyli podobny profil jak ten tatusiowy. Książka jest o rodach królewskich. Pomogę ci.

Wstałam z kanapy i podeszłam do baru.

– Zetrzyj ser, będzie do makaronu. – Podał mi tarkę, miskę, z lodówki wyciągnął ser w kostce.

– Zmienię temat nie dlatego, że tatuś Carli mnie mało obchodzi, ale chciałbym ci coś zaproponować. – Spojrzał mi w oczy i dodał poważnym głosem: – Przez rok możesz mieszkać tutaj, ze mną.

Zaskoczył mnie. Spodziewałam się, że poczeka miesiąc-dwa, zanim zdecyduje się ze mną zamieszkać.

– Muszę pojechać do mieszkania po rzeczy – powiedziałam prawie odruchowo. Właściwie nie powiedziałam tego wprost, ale zdałam sobie sprawę, że wyraziłam zgodę na jego propozycję.

– Dasz mi klucz, to rano odwiozę cię do pracy i pojedę po rzeczy. Przy okazji wezmę zeszyt, o którym wspomniałś.

– Czemu nie? Zeszyt jest w szufladzie komody, nie mam wielu mebli, nie naszukasz się.

– Czyli postanowione, ty jedziesz do pracy, a ja po rzeczy i spędzimy rok, nie wychodząc z łóżka.

– Super perspektywa, będziemy żyć miłością i zimną wodą. – Podałam mu starty ser i wytarłam ręce w ściereczkę kuchenną.

– Dlaczego zimną? – spytał, wkładając naczynie żaroodporne do pieca.

– Bo na ciepłą nie będzie nas stać. Rozstawię naczynia, a ty kończ, bo jestem okropnie głodna.

– Podjadaj oliwki. – Wystawił słoik z zielonymi i czarnymi oliwkami, dwa kieliszki do czerwonego wina. – Postaw na stole, proszę. Umyję ręce i przychodzę do ciebie.

– Co opijamy tym razem? – Zaciekawiałam się, rozkładając sztucce na wykrochmalonych serwetkach, stół udekorowałam świecami cytrusowymi. W salonie roznosił się subtelny zapach pomarańczy.

– Wspólne życie? – Rozlał wino do kieliszków i pocałował mnie w kark.

## Rozdział 13

Stałam pod prysznicem, masując ciało olejkiem orientalnym, gdy w łazience pojawił się Tomek.

– Puk, puk

– Kto to tam?

– Hipopotam, mogę wejść?

– Nie ma miejsca.

Wcisnął się i tak między mnie i ścianę.

– Możesz się dzisiaj spóźnić? – wyszeptał w moją szyję.

– Nie, dzisiaj nie – odpowiedziałam również szeptem prosto do ucha, gdyż spadający prysznic głużył nasze słowa.

– A jutro? – Zostawił krwisty ślad na mojej szyi.

– Jutro jest sobota, głuptasie. – Roześmiałam się i pociągnęłam go za nos.

– Tym lepiej, nie będziemy wychodzić z domu przez cały weekend.

– W takim razie zrób zakupy na kilka dni, bo inaczej umrzemy z głodu. – Wyszłam z kabiny, sięgnęłam po ręcznik i zaczęłam się wycierać.

– Kobieta o wilczym apetycie.

– Przeszkadza ci to? – Ubrałam bieliznę w kolorze wieczornego nieba, niby czarne, ale nie do końca.

– Lubię kobiety, które wiedzą, czego chcą. – Uszczypnął mnie w pośladek. – Ładne te twoje koronkowe majteczki, pupę też masz ładną. Jutro biegamy, aby ta jędrna pupcia nie straciła na uroku. Poza tym chętnie sprawdzę twoje postępy.

– Kobieta w eleganckiej bieliźnie czuje się pewniej – stwierdziłam i wyciągnęłam suszarkę z wiklinowego koszyka ustawionego na parapecie okiennym. Susząc włosy, przyjrzałam się z bliska znakom na szyi; z konieczności założyłam apaszkę – niebiesko-białoczerwoną jak francuska flaga – do granatowego kostiumu będzie pasować idealnie.

– Pożycz mi koszulę – powiedziałam, wchodząc do sypialni, gdzie na łóżku leżał przygotowany na dzisiejsze spotkanie kostium.

– Jaką chcesz? – odkrzyknął Tomek z kuchni. – Wybierz sobie, są w szafie.

Wybrałam białą, gładką. Musiałam podwinąć rękawy, ale nie rzucało się to w oczy, w razie czego będę udawać, że takie są trendy paryskiej mody.

– Nie zapomnij zabrać moich ubrań. – Położyłam na kuchennym blacie klucz od mieszkania. – Oprócz dwóch sukienek nie mam nic więcej.

– Jak dla mnie możesz chodzić bez. – Podał mi filiżankę kawy i rogalika.

– Skąd masz? – Pokazałam brodą na rogaliki, ciepłe i pachnące, a przecież nie wychodził z domu.

- Kupiłem mrożone i odgrzałem w piecu. Sztuczki starego kawalera.
- Nie takiego starego.
- Jeżeli będziesz mi kadzić, to nie dotrzesz dzisiaj do pracy.
- Ubierz się, zamiast opowiadać nie wiadomo co.
- Pokażę ci nie wiadomo co. – Złapał mnie w pól i zaniósł do sypialni.
- Nie mamy dużo czasu – wyszeptalam między jednym pocałunkiem a drugim.
- Wystarczająco.

Za pięć dziesiątą w lekko pogniecionym kostiumie wpadłam przez obrotowe drzwi do hallu. Pan Józef z szerokim uśmiechem ucałował moją dłoń.

- Witam, pani Kingo.
- Dzień dobry, panie Józiu, jestem umówiona z szefem.
- Tak, wiem, winda czeka. – Otworzył drzwi od windy. Wsiadłam, a serce waliło jak oszalałe ze strachu, co też takiego przygotował dla mnie prezes.

– Pani Kingo – usłyszałam, gdy tylko wysiadłam na ostatnim piętrze. – Proszę do mnie.

Poczułam się jak uczennica przyłapana na ściąganiu; nie wiem, dlaczego prezes Wydajny potrafił na mnie wyrzucić wrażenie, że coś przeskrobałam.

– Proszę usiąść. Nie, nie tutaj – powiedział, gdy chciałam zająć krzesło przed biurkiem. Wskazał mi fotel przy niskim stoliku i zawołał: – Pani Gieniu, dwie kawy, poproszę!

– Długi urlop dobrze pani zrobił, inaczej pani wygląda. – Obejrzał mnie od stóp do głów, jak na targu niewolników. – To pewnie nowa fryzura.

Fryzury akurat nie zmieniłam, ale nie odpowiedziałam, uśmiechałam się tylko uprzejmie. Pani Gienia wniosła tacę z filiżankami, cukiernicą i talerzykiem z kruchymi ciasteczkami. Naprawdę poczułam się jak gość wyjątkowy, bo ciasteczka u prezesa dostałam po raz pierwszy. Pani Gienia uśmiechała się, zachęcająco podsuwając mi talerzyk.

– Pani Kingo, nie będę owijał w bawełnę: brakowało nam pani. Jest pani nieocenionym pracownikiem.

Myślałam, że zadławię się kawą, słysząc wypowiedź prezesa. Niecodziennie słyszy się z ust pracodawcy, że się jest nieocenionym pracownikiem, raczej miałam uczucie niedoceny.



– Dlatego mam propozycję. – Spojrzał na mnie spod krzaczastych brwi, jakby chciał mnie przyszpilić wzrokiem. – Wróci pani na dawne stanowisko, oczywiście z wyższą pensją.

Nie zaskoczył mnie, czułam, że przygotowuje coś ekstra.

– Dostanie pani tytuł dyrektora oddziału.

Tym razem zakrztusiłam się kawą; charcząc i plując na boki, szukałam w torebce chusteczki. Pani Gienia przytruchtała z papierowym ręcznikiem i pomogła mi wytrzeć kawę ze stolika i z mojego ubrania. Prezes wypłynął na szerokie wody, nie zwracając uwagi na moją reakcję.

– Dostanie pani nowe biuro.

– Stare było całkiem dobre – wydukałam.

– Musi pani mieć większe – stwierdził stanowczo. – Stanowisko zobowiązuje.

Może nową sekretarkę?

Pani Gienia przeszła do swojego pokoju, przez otwór w ścianie spoglądałam, jak przegląda dokumenty na biurku. Wydawała się całkowicie pochłonięta pracą, choć widziałam, że ręce jej drżą, gdy wkładała kartki do odpowiednich przegródek.

– Nie, pani Gienia to doskonała sekretarka, nie mogłabym znaleźć lepszej – odpowiedziałam spokojnie. Zdałam sobie sprawę, że właśnie zgodziłam się na propozycje pana Tadeusza. A więc wracam do pracy w wydawnictwie na nowych zasadach...

– Jeszcze kawy? – Pani Gienia podbiegła do mnie z dzbankiem, miałam wrażenie, że odmłodziła o trzydzieści lat.

– Czyli ustalone, zostaje pani dyrektorem oddziału. – Prezes uściśnął mi dłoń, kontynuując swoją tyradę: – Dzisiaj może pani przygotować swoje biuro, a od poniedziałku zaczynamy nowy etap. Pani Gieniu, proszę zadzwonić do pani Jadwigi, aby przyszła do nas z dokumentami.

Zatarł ręce z zadowoleniem. Nie zostało mi nic innego tylko wstać i udać się do mojego nowego biura. Dostałam pokój koło windy, hałasy uliczne zastąpiło metaliczne brzęczenie kabiny, ale mogłam wreszcie zamknąć za sobą drzwi. Odizolowałam się od reszty pracowników, aby na spokojnie ocenić sytuację. Usiadłam na obrotowym fotelu z wysokim oparciem i kręcąc się w kółko, rozglądałam po pomieszczeniu. Nowoczesne biurko, puste regały, które mogłam zapełnić albo książkami, albo klaserami – w zależności od nastroju. Wreszcie mam miejsce na wszystkie powieści, które chciałam mieć pod ręką.

Gołe ściany postanowiłam udekorować obrazami, poczułam gorącą potrzebę otaczania się sztuką. Nowe stanowisko dawało większe możliwości, ale też stwarzało ograniczenia. Będę zmuszona zjawiać się punktualnie rano i siedzieć w biurze do wieczora, bałam się, że wydanie powieści Zuzanny przesunie się w czasie, gdyż prezes zarzuci mnie pracą. Z drugiej strony... z satysfakcją pomyślałam o Jadwidze Wrzeszcz. Teraz ona będzie mi ustępować miejsca w windzie.

Do mieszkania Tomka wróciłam tramwajem siódmką, nie miałam daleko od przystanku. W mieszkaniu zastałam Zuzannę, ucieszyłam się na jej widok, rzuciłyśmy się sobie w ramiona.

– Nie stój tak, podobno witanie się w progu przynosi pecha – powiedziała, otwierając drzwi na oścież.

– U mnie właśnie skończył się pechowy okres – powiedziałam, a siadając na kanapie w salonie zrzuciłam buty i zaczęłam masować obolałe stopy. – Wysokie obcasy mnie wykończą.

– Od kiedy nosisz takie niebotyczne obcasy? – zdziwiła się, patrząc na leżące na podłodze granatowe szpilki.

– Od dzisiaj. Zostałam dyrektorem oddziału.

– Gratulacje – ucieszyła się.

– Jak twoje samopoczucie? Ostatnio widziałam cię w szpitalu owiniętą kocem.

– Wszystko w normie, mam dbać o siebie i pić dużo wody. Chcesz coś zjeść? Pić?

Rozejrzała się trochę po mieszkaniu, fajnie tutaj macie. Twój awans opijemy z wujkiem.

– A gdzie on jest? – Jak do tej pory się nie pojawił. Albo spał, albo zamknął się w łazience.

– Poszedł dorobić dla ciebie klucze. Z jednym kompletem będzie wam ciężko się zgrać, zwłaszcza że wujek czasami późno kończy pracę. Przynajmniej tak było do tej pory, teraz zacnie w nowym miejscu, jak już wiesz, ale pewnie niewiele się zmieni. Lekarz do lekarza. Cieszę się, że jesteście razem.

Jej zapewnienie sprawiło mi ulgę, mimo wszystko jednak czułam nieprzyjemne napięcie związane z oczekiwaniem na reakcję najbliższych Tomka. Nie znaleźliśmy się długo, nasza decyzja o wspólnym mieszkaniu mogła wywołać poruszenie w jego rodzinie. Z mojej strony nie ma nikogo, kto mógłby się tym przejąć.

– Ktoś oprócz ciebie o tym wie? – spytałam niewinnie.

– Babcia, bardzo chciałyby cię poznać. Mama i Julia nie wiedzą, bo nie mieliśmy czasu, aby je poinformować. Wujek utrzymywał w tajemnicy pomysł na wynajęcie mieszkania. Możliwe, że nie chciał nam nic mówić, bo nie znał twojej odpowiedzi.

Czyli czekała mnie jeszcze przeprawa z tą częścią rodziny, która nie jest do mnie przychylnie nastawiona. Po wyjściu Zuzanny ze szpitala sytuacja uległa zmianie, wszyscy odetchnęli z ulgą, ale pewna doza podejrzliwości, co do moich intencji, pozostała.

– Tomasz mówił, że zaczęłaś jeździć konno na Partynicach. Trochę daleko z Psiego Pola.

– Bliżej nie ma żadnego klubu. Tylko wojskowy.

– To wprowadź się do mnie, będziesz miała bliżej, a i tak przez rok mieszkanie będzie stało puste.

Popatrzyła na mnie niepewnie.

– Mieszkam teraz z babcią, nie wiem, czy będzie chciała zostać sama.

– Tomek mógłby do niej zaglądać, jadąc z pracy. Napiałabym się czegoś zimnego.

Mamy wodę mineralną z cytryną?

– Mamy, nie ruszaj się, przyniosę. – Weszła za drewniany bar, ze szklanej miski położonej na blacie wyjęła cytrynę, pokroiła w plasterki, brzdękając butelkami wyciągnęła z lodówki wodę i przyniosła do salonu. Ustawiła na stoliczku razem z wysokimi szklankami, do każdej włożyła plasterek cytryny i zalała wodą, a bąbelki wesoło rozpryskiwały się na powierzchni. Podała mi szklankę, sama usiadła w fotelu obok.

– Na zdrowie. – Zabrzęczało lekko szkło. Piłam łapczywie, zimny płyn koił pragnienie.

– Za co pijecie? – Tomek stał w korytarzu i przyglądał się nam z rozbawieniem.

– Kinga dostała awans. Chcesz wody z cytryną? – Zuza przyniosła z kuchni jeszcze jedną szklankę, usiadła z powrotem w fotelu, popijając wodę małymi łykami.

– Napiję się z wami, tylko zdejmę buty. Za wodę dziękuję, ale wolałbym piwo. – Wszedł do salonu w skarpetkach w zółwie.

– Śmieszne skarpetki – stwierdziłam, przyglądając się jego stopom.

– Wujek lubuje się w nietypowych skarpetkach, wydaje na nie fortunę. – Zuzanna postukiwała wyciąganymi z lodówki butelkami.

– Nie przesadzaj, ale rzeczywiście skarpetki dla mężczyzny, to jak bielizna dla kobiety, dodają pewności siebie – powiedział, spoglądając na mnie z uśmiechem w kącikach ust. – Czyli czar koronek podziałał, szef dał ci awans.

Położył pęk nowych kluczy na stoliku, usiadł obok mnie na kanapie i sięgnął po piwo.

– Raczej brak innych perspektyw. Autorka kryminałów, Agata Chrząszcz, zażyczyła sobie wrócić do nas ze swoimi powieściami, ale pod warunkiem, że ja osobiście zajmę się wypuszczaniem nowych pozycji na rynek. Postawiła szefa pod ścianą, a on, nie chcąc przepuścić lukratywnej okazji, dał mi awans.

– Sam ci o tym opowiedział? – Tomek ze zdziwieniem kręcił głową.

– Nie, od czego są sekretarki? Pani Gienia wszystko mi wyjaśniła, jak tylko szef poszedł na obiad. Teraz mam biuro po drugiej stronie korytarza i nawet nie widzę, czy szef jest, czy go nie ma. Ale to dobrze, bo mam wreszcie drzwi i mogę się zamknąć. Widok mam na podwórze, a nie na ulicę.

– Będziesz musiała mnie kiedyś zaprosić na oglądanie twojego biura. – Położył sobie na kolanach moje stopy i rozpoczął masaż okrężnymi ruchami. – Ta Agata to tak cię lubi, że chciała koniecznie z tobą pracować?

– Nie wiem, czy mnie lubi. Pisarze są bardzo skoncentrowani na samych sobie, może ktoś jej nie docenił? Trzeba do nich podchodzić bardzo delikatnie i z wyczuciem. Zawsze proponować coś ekstra, poza kontraktem.

– Co im proponowałaś ekstra? – dopytywał się rozbawiony.

– Na przykład długopisy w ulubionym kolorze z ich najnowszym tytułem albo notes z imieniem i nazwiskiem. Agata bardzo lubi koty, dawałam jej za każdym razem notes z kotem.

– Przygotuję coś do jedzenia. – Zuza dopiła ostatnie łyki wody i weszła za kuchenny bar. – Pizza może być? – Rzuciła w kierunku kanapy, zaglądając do lodówki.

– Może, oliwki przynieś, proszę, jak już jesteś w kuchni – powiedział do Zuzy, a następnie zwrócił się w moją stronę. – Znalazłem zeszyt, o którym wspominałaś. Rzeczywiście dosyć ekstrawagancki.

– O jakim zeszycie mówisz? – Zuza postawiła talerzyk na stoliku, podjadając jednocześnie oliwki.

– Kinga znalazła zeszyt w domu Carli.

– Aha, o tym... Mogę go obejrzyć?

Tomek zdjął moje stopy z kolan i udał się do sypialni, po chwili wrócił z zeszytem, tym samym, który znalazłam upchany pod stosem gazet, gdy szukałam kartonu dla kota. Zuza wzięła go do ręki i usiadła w fotelu. W skupieniu oglądała strony udekorowane kolorowymi rysunkami. Przez dłuższy moment nic nie mówiła, zastanawiała się nad czymś i kartkowała zeszyt.

– Zapisywała wspomnienia, a jednocześnie ozdabiała swoje notatki rysunkami. Możliwe, że tak spędzała czas, ucząc się rysować.

Wstałam z kanapy i boso przeszłam do kuchni sprawdzić, czy pizza jest już w piecu. Z szafki wyjęłam trzy talerze, a z szuflady komody sztuce i zaniiosłam to wszystko do salonu. Niski stolik nie nadawał się do jedzenia posiłków, bar był bardziej dostosowany do naszego wzrostu, ale zapewniał miejsce tylko dwóm osobom.

– Musimy kupić stół – zdecydowałam. – Nie mamy gdzie przyjmować gości.

– Ja wiem, co to jest – weszła mi w słowo Zuza. – Ona tutaj notowała daty spotkań z ojcem.

Gdyby oznajmiła, że jest środek zimy, nie zrobiłaby większego wrażenia. Popatrzelismy na nią oboje z Tomkiem podejrzliwie. W zeszycie można było znaleźć różne formy graficzne, ptaszki, kwiatki, ale nie cyfry.

– Dzwoniła do niego w określone dni. Nie chciała, żeby to on dzwonił. Bała się, że ją kontroluje, śledzi. Wybierała budki w mieście, aby nie mógł jej odszukać po numerze telefonu.

– Ale dat akurat tam nie ma – powiedziałam sceptycznie.

– To rodzaj kodu. Prawdopodobnie nie chciała, aby ktoś wpadł na trop, domyślił się, kiedy i z jakiego miejsca dzwoniła do ojca. Opisywała swoje życie, a między wiersze wpisywała ważne dla niej informacje – w formie kwiatków, ptaszków i ludzików. Gdyby zeszyt wpadł w niepowołane ręce, można by przypuszczać, że to wymyślnie ozdobiony rodzaj pamiętnika. Ojciec wykorzystywał ją od wczesnego dzieciństwa do swoich własnych celów. Robiła za żywą maskotkę, wszędzie z nią jeździł i chwalił się nią jak tresowanym niedźwiedziem.

– Skąd ty to wszystko wiesz?

– Opowiedziała mi, gdy byłam u niej, wypiliśmy herbatę, a później urwał mi się film. Nie pamiętam, co było dalej, to znaczy pamiętam pourywane sekwencje. Budziłam

się, chciało mi się pić, zasypiałam, znowu się budziłam... Boubou przychodził do mnie, wchodząc przez okno. Dzięki niemu czułam się raźniej – stwierdziła z powagą w głosie.

– Ale po co on to wszystko robił? Ten jej ojciec strasznie pokręcony musi być.

– To typ asocjalny, rodzaj psychopaty, jak ty to ładnie nazwałaś. – Tomek wtrącił się do rozmowy. – Tacy ludzie kierują się własnymi regułami. A skoro tak lubisz postacie filmowe, to przypomnij sobie Hannibala Lectera.

– Hannibal-Kanibal, to nie tylko postać filmowa, jest bohaterem powieści *Czerwony smok* i *Milczenie owiec*. Ale dlaczego porównujesz go z ojcem Carli? Z tego, co przeczytałam nie wynika, że jej ojciec kogoś zjadł.

– Nie musiał jeść, wystarczy, że stosował sobie znane zasady. Kierując się własną logiką, zastraszał innych, aby kontrolować otoczenie. Hannibal zjadał swoich pacjentów, natomiast pomógł Clarice Starling, agentce FBI, odnaleźć mordercę młodych dziewcząt. To dosyć nietypowe dla kogoś, kto nie uznaje żadnych reguł, nie uważasz?

– Ojciec Carli to perwers wykorzystujący córkę do załatwiania ciemnych interesów. To dlatego chciała przed nim uciec, ale nie mogła, bo kontrolował każdy jej krok? I co dalej z Hannibalem?

– W momencie kiedy jeden z więźniów obraża Clarice, Hannibal czuje się w obowiązku naprawić szkodę i staje po stronie prawa w tym konkretnym przypadku, natomiast w innych sytuacjach dalej kieruje się tylko sobie znanymi zasadami. Wracając do ojca Carli, najprawdopodobniej jest to typ, który myśli tylko o sobie, nie interesuje się potrzebami innych, włączając w to własną rodzinę. Bliscy mają mu bezkrytycznie podlegać.

– Carla dużo pisała o dziecku. Myślę, że usunięcie ciąży to był dla niej punkt zwrotny. Czuła się tak, jakby amputowano kawałek jej ciała. Dlatego postanowiła uwolnić się od ojca, gdyż nią manipulował. Możliwe, że decyzja o pozbyciu się niechcianego dziecka wyszła od niego

– Pewnie masz rację. – Zuza zamyśliła się, pogryzając ciastko. – Opowiadała mi, że była dzieckiem radosnym, pełnym życia, potrafiła sobą wszystkich zainteresować. Jakoś nie pasuje mi to do wizerunku patologicznej rodziny.

– Dzieci dostosowują się do sytuacji, może uważała, że takie rodziny są wszędzie, że wcale nie jest wyjątkiem. Poza tym mogła mieć w kimś oparcie – w dziadkach, sąsiadach, którzy mieli dzieci w tym samym wieku. Ojciec najprawdopodobniej zaczął jej

używać jako pionka w grze, gdy podrosła. Chwalił się nią, gdyż była zdolnym i rozkosznym dzieckiem, ale do swoich celów wykorzystał ją później – dorzucił Tomek.

– No tak, jako nastolatka i młoda kobieta grała na instrumentach muzycznych, recytowała poezję, posiadała umiejętności jak japońska gejsza. Dopiero gdy usunęła ciążę, postanowiła wyrwać się spod wpływów ojca. Obiecał, że zostawi ją w spokoju, tylko załatwi dla niego jeszcze jedną sprawę... – Zuza przerwała wypowiedź.

– Podmieni konie – dokończyłam za nią. – I może nawet wszystko poszłoby po jej myśli, gdyby nie trafiła na ciebie.

– Mam nadzieję, że poszło po jej myśli. – Zuza popatrzyła na mnie intensywnie. – Jej ojciec nie spodziewał się, że wpadniemy z wizytą; dla niego sprawa była zamknięta, przestał kontrolować każdy krok Carli. A ona nagle zniknęła, rozplynęła się... Uciekała przed nami, a jej własny tatuś zgubił przy tym trop. Podejrzewam, że nie przyjedzie do nas do Polski sprawdzić, co się stało z jego córką. A nawet gdyby przyjechał, to się nie dogada. Nasze pojawienie się w klubie spowodowało, że Carla wpadła w panikę, postanowiła się mnie pozbyć i uciec. Nie informując tatusia o swoich zamiarach, czyli ślad po Carli się urwał – zakończyła ucieszona.

– Skąd wiesz, że nie wpadł na jej trop? – Tomek popijał leniwie zimne piwo.

– Nie ma żadnych informacji w gazetach. Przeglądam internet i pan Farelli nie pojawia się jako gorąca ploteczka. Siedzi cicho, a to oznacza, że się boi. Nie wie, kto stoi za zniknięciem Carli i jak do niego doszło. Nie wie ani gdzie jest, ani komu opowiedziała o koniu. A konia ma w stajni, więc musi zamknąć dziób, żeby nikt się nim bliżej nie zainteresował – wyjaśniła dziewczyna.

– Eklerka ma u siebie, w stajni? – zdziwiłam się.

– Nie, nie Eklerka. Konia, którego podstawił pod Eklerka. Przewiózł go przez granicę z papierami Eklerka. Znanego reproduktora. Teraz będzie zbijał fortunę na sprzedaży koni wyścigowych.

– No proszę, czyli trzeba ścisnąć kciuki, aby Carla się nie odnalazła i wreszcie mogła zacząć normalne życie. Jeżeli w ogóle można mieć normalne życie po takich doświadczeniach. Idę sprawdzić, czy nasza pizza nie spaliła się na węgiel.

Wstałam z kanapy i weszłam za bar. Otworzyłam piec, a zapach pieczonej pizzy rozszedł się po mieszkaniu.

– Jest dobrze, upieczona akurat. Ja chyba zacznę się cieszyć, że mieszkałam w domu dziecka. W porównaniu do tego, co przeszła Carla, to sama radość.

– Nie opowiadałaś nam za dużo o życiu w domu dziecka. – Tomek podszedł i objął mnie w pól. – To nie należało do najlepszych wspomnień.

– Nie było tak źle. Niedziele spędzałam u babci Kasi, w jej starym domu w parku Szczytnickim, piekłyśmy pierniki, spacerowałyśmy, opowiadała o Paryżu. Dużo czytałam, tego nam nie zabraniali, wręcz przeciwnie, zachęcali do lektury. O dwudziestej pierwszej gasili światło, więc czytałam przy latarce. Wakacje spędzałam pracując na obozach albo koloniach, pilnowałam dzieci. I tyle. Puść mnie, bo trzeba wyjąć pizzę z pieca, poparzę cię.

Założyłam rękawicę kuchenną i wyswobodziłam się z objęć mojego amanta.

– Nie jesteś w romantycznym nastroju – stwierdził.

– Po tym, co usłyszałam, nie jestem. Zastanawiam się, co się stało z mamą Carli. Dlaczego nie stanęła po stronie córki?

– Mama to alkoholiczka, ululana od samego rana, zadowolona, że córka zdjęła z niej ciężar zaspokajania chorych potrzeb tatusia – poinformowała nas spokojnie Zuzanna.

– Nie mów, że wykorzystywał ją także seksualnie! – Gorąca blacha omal nie wyleciała mi z rąk na kafelki.

– Nie powiedziała tego dokładnie, ale mogłam się domyśleć. To dziecko na przykład... – zamilkła.

– Okropne. Ta historia odebrała mi apetyt, chyba tylko się z wami napiję. Co mamy? – zwróciłam się do Tomka.

– Szampana, wino, piwo – wyliczał. – Rzeczywiście nie do pozazdroszczenia, mam nadzieję, że skończyła się gehenna tej dziewczyny.

– Do pizzy pasuje wino i włoska muzyka – podsunęła Zuzanna, podchodząc do magnetofonu.

– Za włoską muzykę dziękuję, ale wino chętnie. – Usiedliśmy przy stoliczku w salonie, skuleni nad talerzami, Tomek otwierał butelkę, ja kroiłam mięsiste ciasto z ciągnącym serem. – To w takim razie posłuchamy bardziej klasycznej muzyki.

Z głośnika popłynął „Czarodziejski Flet” Mozarta.

– Pamiętasz tę restaurację, w której czekaliśmy na Jean-Lou? – zwróciłam się do Tomka. – Jak się nazywała? Chyba Le Petit Moigny. Też zamówiliśmy pizzę, w życiu się tak nie bałam, jak tam.



Sięgnęłam po pizzę na talerzu Tomka i oderwałam kawałek, ser ciągnął się długą nitką między talerzem a moimi palcami. Tomek spoglądał z dezaprobatą.

- Nałóż dla siebie, nie podjadaj mojej części. Poza tym to nie jest elegancki sposób.
- Opowiedz o tym. – Zuzanna z entuzjazmem spojrzała w moją stronę.
- Najpierw powiedz jak ci się układa z Jean-Lou.
- Nie jesteśmy razem, jeżeli o to ci chodzi – stwierdziła poważnie.

Nie uwierzyłam jej, możliwe, że sama nie wiedziała, jaką pozycję zająć. Sytuacja była dla niej zbyt nowa, a zainteresowanie Jean-Lou Carlą trudne do przetrwania; jednak intuicja podpowiadała mi, że Zuza nie jest obojętna na urok przystojnego Francuza.

## **Zakończenie**

*Wrocław, 31 grudnia 2017 r.*

Zabawa rozkręcała się w najlepsze. Po kilku głębszych goście stali się bardziej wyluzowani, śmiechy słychać było pomimo głośnej muzyki.

»Sylwester w wydawnictwie«.

Tak głosiło oficjalne zaproszenie rozesłane do naszych autorów. Pojawili się wszyscy jak jeden mąż. Tyczkowata Agata Chrzęszcz w powłóczystej, mieniącej szacie posyłała królewskie kiwnięcia dłonią wszystkim zgromadzonemu. Przypominała postać hrabiny z rysunkowej bajki o Rumcajsie, oglądanej w zachwycie przez wszystkich małych mieszkańców domu dziecka.

Zjawiskowa Basia, w błękitnej sukni zmysłowo podkreślającej ciało, sunęła lekko nad ziemią przytrzymywana silnym ramieniem mrocznie niepokojącego Marka. Stanowili piękną parę, jak z obrazów dawnych mistrzów; on ciemny, owinięty czarną peleryną, ona jasna i prawie przejrzysta.

Ja kiwałam głową wszystkim i każdemu z osobna, jak automat. Ubrałam małą czarną i podwójny sznur pereł do pępka, na głowę założyłam toczek z piórem, a co, jak Sylwester to Sylwester.

Prezes Wydajny tubalnym głosem zabawiał kilku gości anegdotkami z życia słynnych pisarzy, ubrany w smoking z czerwoną różą w klapie przypominał amanta włoskiego kina. Pani Gienia i jej trzy siostry, wszystkie z włosami upiętymi w perfekcyjne koki, w długich wieczorowych sukniach i kapciach na nogach, chodziły wśród gości, proponując przekąski. Zwyczaże ubraniowe pani Gieni zawsze mnie fascynowały, ale nie wiedziałam, że jej siostry zachowują się podobnie; z drugiej strony możliwe, że buty na obcasach byłyby dla nich niebezpieczne. Z tego, w czym zdążyłam się zorientować, wszystkie pracowały w biurach dobrze prosperujących firm, gdzie dyrygowały sekretariatem ręką mistrza. A w kapciach czuły się na pewno i przyjemniej i wygodniej.

Pan Józef z żoną i czwórką dzieci tańczyli jak na wiejskiej zabawie. A to w kółeczko, a to podskok, a to żona przelatuje między nogami. Oglądałam ich wyczyny z podziwem, gdyż pomimo tego, że najmłodszy w towarzystwie nie byli, to bawili się świetnie i bez skrępowania.

Razem z prezesem Wydajnym postanowiliśmy zaprosić najbliższych naszych pracowników zgodnie z firmowym hasłem, że jesteśmy jedną wielką rodziną.

Centrum zainteresowania stanowił brzuch Joli Smutny-Wydajny opięty czarną świecą bluzeczką. Ciekawscy mogli nawet dotknąć i poczuć kopnięcia dziecka. Nasza wielka rodzina powiększała się o nowego członka.

Dyskotekowy DJ puszczał kawałki dla wszystkich pokoleń od lat osiemdziesiątych do tegorocznych przebojów. Każdy miał możliwość pobawić się przy ulubionej muzyce.

Korzystając z ogólnego zamieszania, opuściłam podziemia i weszłam do hallu, drzwi wejściowe pan Józef przezornie zamknął na klucz, aby nieproszeni goście nie kręcili się po budynku. Winda otworzyła się natychmiast, nie było innych chętnych do korzystania z tego środka transportu. Wjechałam na ostatnie piętro. Biura – ciemne i opustoszałe – sprawiały ponure wrażenie, z dołu dochodziło dudnienie perkusji, pogłębiając nastrój niepewności. Włączyłam światło i usiadłam w obrotowym fotelu, chciałam zadzwonić do Tomka, aby złożyć mu życzenia Szczęśliwego Nowego Roku. Przyglądałam się zdjęciu babci ustawionemu na biurku, żalowałam, że nie mogła być razem ze mną, oglądać na własne oczy sukcesu, którym się cieszyłam. Rozmyślałam o moim obecnym życiu, o mężczyźnie, u boku którego codziennie się budziłam i zasypiałam. Życie we dwójkę okazało się dużo prostsze niż myślałam. Każde z nas miało swoje zajęcia i spotykaliśmy się wieczorem przy kolacji, omawiając mijający dzień. W soboty biegaliśmy nad Odrą,

wychodziliśmy do teatru czy kina albo odwiedzaliśmy Zuzannę. Ulokowała się w moim mieszkaniu, skąd miała dużo bliżej na Partynice, gdzie regularnie jeździła konno.

Niedzielne poranki spędzaliśmy w łóżku, czytając i popijając kawę, śniadanie przygotowywaliśmy na zmianę. Po południu szliśmy do mamy Tomka, zapraszała także obie wnuczki, proszony obiad przebiegał w miłej, rodzinnej atmosferze. Zarówno Julia, jak i Zuzanna często odwiedzały babcię, dlatego nie miała poczucia osamotnienia. Poza tym jej stałym towarzyszem został Boubou.

W poniedziałki dzwoniłam do Michaela uzgadniając szczegóły okładki dla *Tanga z koniem* oraz omawiając wydarzenia z całego tygodnia. Opowiadał mi o klubie, o Jean-Lou, a przede wszystkim o przebiegu historii miłosnej z Ann.

Winda brzęknęła, zatrzymując się na piętrze. Po chwili do biura weszła Zuzanna ubrana w zieloną sukienkę bez rękawów, na którą narzuciła kaszmirowy szal.

– Zobaczyłam światło. Pani prezes na posterunku – powiedziała, siadając w stylowym fotelu obok biurka.

– Prezes jest tylko jeden. Miałam złożyć życzenia twojemu wujkowi – wyjaśniłam, opadając na oparcie fotela. – Jestem zadowolona, że udało się nam dopiąć wszystkie rozpoczęte projekty. Twoja książka ukaże się na początku przyszłego roku. Ma dobre przyjęcie ze strony blogerów.

Kiwnęła głową.

– Nie cieszysz się?

– Cieszę. Jean-Lou przyjechał... – urwała, czekając na moją reakcję.

– Tak, widziałam się z nim, przecież zaprosiłaś go na nasze przyjęcie. Co prawda wymieniliśmy tylko uprzejmości, bo dopadła go Agata i uwiesiła się jego ramienia. Ciekawe, jak się porozumiewają?

– Agata mówi łamaną angielszczyzną. Towarzyszyłam im przez pewien czas, ale zobaczyłam, że znikasz z sali.

– Jean-Lou mieszka u ciebie?

Spojrzała na mnie zdziwiona.

– Mieszka w hotelu. Przecież mam tylko jedno łóżko.

No tak, nie wzięłam pod uwagę, że Zuzanna potrzebuje długiej gry wstępnej, zanim zdecyduje się z kimś zamieszkać.

– Chciałam pokazać, co mi przywiózł.

*Misère!* Mam oglądać sex-toy подарowany z okazji Nowego Roku! Dlaczego ludzie muszą się wszystkim chwalić? To prawda, że od czasu, kiedy zatrudniłam Zuzannę jako specjalistę od kontaktów z autorami, spędzamy ze sobą dużo czasu, przychodzi do mnie zarówno ze sprawami służbowymi, jak i prywatnymi, ale do rozmów o seksie jeszcze się nie posunęłyśmy. Jak ona sobie to wyobraża, że będę opowiadać o erotycznych wyczynach jej wujka?

– Tak – powiedziałam niepewnie.

– Na adres klubu przyszedł list, prawdopodobnie od Carli... – zaczęła i zamilkła na moment. – Nie ma adresata, a kopertę wyrzucili. W środku była druga koperta, z moim imieniem. Jean-Lou przywiózł ją, gdy przyjechał do Polski na narty.

– Na narty? – zdziwiłam się.

Zuzanna zaczerwieniła się po same cebulki włosów, zmieszana spoglądała na ścianę, na której zawiesiłam obraz Julii, rysunek ołówkiem, młody mężczyzna siedzący na krześle w pozycji »Myśliciela« Rodina.

– W Polsce też się jeździ na nartach.

– No, ale nie ma tutaj alpejskich kurortów. Gdzie jeździ, na Ślęży?

– Nie nabijaj się. – Zuzanna posłała mi mordercze spojrzenie. – Wracając do listu. W kopercie było to. – Położyła na biurku kartkę z kilkoma cyframi.

– Carla wysłała ci numery lotto, zagrasz i zostaniesz milionerką – roześmiałam się.

– To numer telefonu.

– Pewnie chce, żebyś skontaktowała się z jej tatusiem. Tak, to już mniej śmieszne – dodałam, widząc jej wzrok. – Trzymaj, jest na kartę, w razie czego wrzucę do Odry albo do fosy. – Podałam jej różowego iPhone'a.

Zuzanna drżącymi palcami wybierała numer. Włączyła głośnik, obie mogłyśmy słyszeć rozmowę. Po kilku sygnałach włączyło się nagranie. Damski głos mówił po francusku:

– Dzień dobry, klub jeździecki „Pod Jabłoniami” będzie zamknięty trzydziestego pierwszego grudnia i pierwszego stycznia z okazji świąt. Życzymy Szczęśliwego Nowego Roku.

– Wiesz, co to znaczy? – Popatrzyłam na jej pobladłą twarz i brązowe oczy, które robiły się coraz większe, ale nic nie mówiła. – Udało się Carli zatrzeć za sobą ślady, uciekła ojcu. Rozumiesz? W pewien sposób do tego się przyczyniłaś, w zamian sprawiła ci prezent

i wysłała list z numerem do klubu, w którym jest Eklerek. Zamiast jechać na narty, pojedziesz z Jean-Lou go odszukać!

To mówiąc, zerwałam się z fotela i podbiegłam do niej. Tuląc ją do siebie, czułam jak jej ciałem wstrząsa łkanie.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy doznałam prawdziwej ulgi.

## Podziękowania

Chciałabym podziękować wszystkim osobom, dzięki którym powieść *Tango z koniem* ujrzała światło dzienne:

**Michałowi Pawłowi Urbaniakowi** – prowadzącemu kursy dla pisarzy. „Pasja Pisania”. Pomogły mi one poznać wiedzę o literaturze, warsztacie pisarskim i wszystkich rzeczach, które literat chce wiedzieć, ale boi się zapytać.

**Krzysi Bezubik** za wyzwania „Piszę codziennie”.

**Patrycji Bukowskiej** za naukę reguł interpunkcji.

**Agnieszce Rachwał-Chybowskiej**, mojej pani redaktor, za cierpliwość w poprawianiu tekstu.

**Kindze Rak** za wiedzę o rynku książki, potencjale, analizie półki. Za warsztaty „Pierwsze Wydanie z Twardą Oprawą” pozwalające wejść do świata literatury.

**Jolancie Nieborak** za piękną okładkę.

**Pani Dorocie Tukaj** za życzliwość.